

 HARLEQUIN®

POWIEŚĆ  
HISTORYCZNA

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY  
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

JULIA  
LONDON

PERYPETIE PANNY  
PRUDENCE

**Julia London**

**Perypetie panny Prudence**

Tłumaczenie:  
Krzysztof Dworak

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Blackwood Hall, rok 1816*

Nie mówiło się o tym głośno, chociaż wszyscy dobrze wiedzieli, jaki los czekał dwudziestodwuletnią damę, którą nie interesował się żaden dżentelmen. Skazana była na staropanieństwo i dożywotnią rolę damy do towarzystwa dla dziecienniałych hrabin, dreptających po alejkach swoich wiejskich posiadłości.

Kobieta bez widoków na małżeństwo była w towarzystwie podejrzana. Musiało być z nią coś nie tak. Z jakiego innego powodu urodziwa dama z posagiem, przedstawiona wedle wszelkich reguł we dworze i na balu debutantek miałaby nie przyciągnąć ani jednego zalotnika? Istniały trzy możliwe wytłumaczenia.

Była pozbawiona manier.

Cierpiała na chorobę psychiczną.

Albo skandaliczne zachowanie jej sióstr przed czterema laty zrujnowało jej przyszłość. Całkowicie i nieodwołalnie.

To trzecie wytłumaczenie przyjęła panna Prudence Cabot parę dni po swoich dwudziestych drugich urodzinach. Zostało ono jednak natychmiast podważone przez jej niepoprawne starsze siostry, które przewracały oczami, głośno się sprzeciwiając, aż najmłodsza Mercy zaczęła gwizdać na nie jak na niesforne szczeniaki.

Pomimo oporu sióstr Prudence była przekonana, że się nie myli. Odkąd przed czterema laty zmarł jej ojczym, jej siostry zachowywały się skandalicznie. Honor publicznie oświadczyła się znanemu rozpustnikowi i bękartowi księcia w samym środku największej sali w domu gry. Chociaż Prudence uwielbiała towarzystwo George'a, nie umniejszało to skandalu ani niesławy, którą okrył nazwisko Cabot.

Grace nie pozostała zbyt długo w cieniu siostry i ukuła intrygę, aby zagarnąć majątek bogacza i w ten sposób ocalić rodzinę przed bankructwem. Przedziwnym zrządzeniem losu usidliła jednak nie tego mężczyznę, którego zamierzała. Sprawa pozostawała na ustach całego Londynu przez wiele miesięcy i chociaż mąż Grace, lord Merryton, okazał się znacznie sympatyczniejszy, niż Prudence początkowo się spodziewała, jej szanse na dobrą partię w żadnej mierze od tego się nie poprawiły.

Tymczasem jej młodsza siostra miała tak zadziorny charakter, że niemal zmusiła swoje opiekunki do wyprawienia jej do szkoły z internatem.

Tak oto Prudence znalazła się w samym oku cyklonu, otoczona skandalami i zuchwalością sióstr, gdzie wiodła ciche, spokojne, niedoceniane życie porządnej panny.

Oto, do czego doprowadziły ją dobre maniery... Tak przynajmniej sobie mówiła. Starła się być tą praktyczną wśród nieodpowiedzialnych sióstr. Z równym zaangażowaniem pobierała lekcje muzyki i opiekowała się matką i ojczymem, podczas gdy jej siostry dokazywały w towarzystwie. Robiła wszystko to, czego oczekiwano od debutantek, nie sprawiała żadnych kłopotów i dbała o przyzwoite zachowanie.

A skutek tego był taki, że to ona znalazła się na drodze do staropanieństwa!

Co prawda, Mercy też była „niezaślubialna”, ale wcale się tym nie przejmowała.

- Nie ma takiego słowa jak „niezaślubialna” - wytknęła jej pewnego razu Mercy, zerkając ironicznie znad binokli.

- Poza tym to kompletna bzdura - dodała protekcjonalnie Grace. - Dlaczego wygadujesz takie nonsensy, Pru? Żle ci tu z nami w Blackwood Hall? Nie bawiłaś się dobrze na festynie dla najemców?

Prudence w odpowiedzi zagrała dramatyczny akord na fortepianie. W tym stanie ducha żaden festyn nie był jej w głowie. Zanurzyła się w głośnych dźwiękach utworu i zatopiła w muzyce dalsze słowa Grace i Mercy. Nic nie zmieniłoby jej zdania.

Jeszcze tego samego tygodnia najstarsza siostra, Honor, zjechała z Londynu do Blackwood Hall razem z trójką dzieci i swym mężem, George'em. Skoro tylko usłyszała o rodzinnym zatargu, zaczęła czynić wysiłki, żeby udobruchać Prudence. Argumentowała, że dotychczasowy brak propozycji małżeństwa nie oznacza jeszcze, że wszystko stracone. Wskazywała też, że żywe usposobienie jej siostr nie mogło mieć wpływu na ten niedostatek. Przypomniała wreszcie, że Mercy, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, została przyjęta do prestiżowej Lisson Grove School of Art, aby studiować dzieła mistrzów.

- Nic dziwnego, bo przecież jestem utalentowana - wyjaśniła im bez zażenowania Mercy.

- Lord Merryton nie szczędził pieniędzy, nieprawdaż? - parsknęła Prudence.

- Istotnie - zgodziła się Grace. - Gdyby jednak rzeczywiście została wyklęta z towarzystwa, nigdy by jej nie przyjęli.

- I zrezygnowali z pieniędzy Merrytona? - Prudence ogarnął pusty śmiech. - Przecież nie muszą się z nią żenić!

- Wypraszam sobie - zachnęła się Mercy. - A mój talent?

- Cisza - osadziły ją jednym głosem Grace i Prudence. Mercy wsunęła binokle na nos i opuściła dumnie salon z wysoko uniesioną brodą.

Grace i Honor nie zwróciły na to najmniejszej uwagi.

Na nieszczęście Prudence temat jej zameścia jeszcze przez wiele dni wracał w rozmowach.

- Musisz wierzyć, że otrzymasz propozycję, najukochańsza siostrzyczko, a wtedy nie będziesz się posiadała ze zdumienia, że to wszystko to nie był zły sen - perorowała pewnego razu przy śniadaniu Honor.

- Honor, proszę cię, nie, ja cię błagam, żebyś zamilkła.

Honor nie posiadała się z oburzenia. Wstała nagle i opuściła jadalnię, po drodze niedelikatnie trącając Prudence w ramię.

- Auć! - jęknęła Prudence.

- Ona chce ci pomóc - pospieszyła Grace z odsieczą. - Honor chce tylko twojego dobra.

- O, nie tylko! - Zawołała Honor, wpadając ponownie do jadalni jak burza gradowa. Nie należała do omdlewających dziewcząt, które uciekały z płaczem w trakcie kłótni. - Otrząśnij się z tej chandry, Pru! Jest niestosowna i nieznośna.

- Wcale nie mam chandry - zaprotestowała Prudence.

- Właśnie, że masz! - wciąła się Mercy. - Wiecznie jesteś nabzdyczona.

- I humorzasta - dodała od serca Grace.

- Powiem ci coś, na co może zdobyć się jedynie kochająca siostra, moja droga. -

Honor nachyliła się nad stołem, zrównując spojrzenie z Prudence. - Jesteś piekielnym utrapieniem.

Powiedziała to jednak z uśmiechem i szybko się wyprostowała.

- Pani Bulworth napisała. Zaprasza, żebyś odwiedziła jej nowo narodzone dzieciątko. Zobacz się z nią. Nie posiada się z dumy i radości, a coś mi mówi, że wiejskie powietrze świetnie ci robi.

Prudence prychnęła na tak niemądry argument.

- Jak wiejskie powietrze mi pomoże, kiedy już jestem na wsi?

- Powietrze na północy jest zupełnie inne - oznajmiła poważnie Honor, a Grace i Mercy poparły ją, kiwając pospiesznie głowami.

Prudence pragnęła wyznać siostronom, że nie miała najmniejszej chęci na odwiedzi-ny Cassandry Bulworth, która właśnie powiła swoje pierwsze dziecko. Czuła, że spotkanie z nieprzytomnie szczęśliwą przyjaciółką unaoczni jej tym dobitniej własną ponurą sytuację.

- Niech jedzie Mercy!

- Ja? - zdumiała się siostra. - Nie mogę! W żadnym razie! Tak niewiele czasu mi zostało, żeby się przygotować do szkoły... Wszyscy uczniowie muszą złożyć pełną teczkę, a ja nie skończyłam jeszcze martwej natury...

- A co będzie z mamą? - zapytała Prudence, nie słuchając dalszego trajkotania Mercy. Siostry nie mogły zaprzeczyć, że ich matka potrzebowała stałej opieki.

- Zajmie się nią jej pokojówka Hannah z pomocą pani Pettigrew z wioski - odparła Grace. - Przecież jest również Mercy.

- Ja? - zawołała Mercy. - Przecież mówiłam...

- Dobrze wiemy, jak dużo masz przygotowań, Mercy. Można by odnieść wrażenie, że ty jedna idziesz w tym roku do szkoły. Mimo to będziesz tutaj z nami jeszcze cały miesiąc, więc może byś tak wzięła na siebie chociaż odrobinę obowiązków? - Grace odwróciła się do Prudence i uśmiechnęła słodko. - Dbamy o ciebie, Pru. Nie widzisz tego?

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - odparła Prudence. - Ale tak się składa, że działacie mi już na nerwy.

Honor westchnęła zachwycona i złożyła ręce na piersi.

- Czy to znaczy, że pojedziesz?

- Może to w ostateczności nie jest najgorszy pomysł. - Prudence pociągnęła nosem. - Skończę jak mama, jeśli zostanę tu choć chwilę dłużej.

- Co za wspaniała wiadomość! - zawołała Grace radośnie.

- Nie ma się z czego cieszyć - odparła ponuro Prudence.

- Ale jesteśmy takie szczęśliwe! - pisnęła Honor. - Z twojego powodu - dodała szybko i pobiegła dookoła stołu, żeby ją uściskać.

- Spotkasz się z ludźmi i na pewno wkrótce twoje samopoczucie się poprawi, ukochana.

Prudence była innego zdania. Właśnie wśród ludzi straciła nadzieję. Tam wszędzie otaczało ją szczęście, które dla niej było nieosiągalne. Choć pragnęłaby tego

z całego serca, nie umiała stłumić zazdrości. Zresztą ostatnio nawet blask słońca przypominał jej o nieosiągalnym szczęściu.

Zaraz jednak Mercy poczęła się głośno skarżyć, że nikt już na nią nie zwraca uwagi, więc Prudence podjęła twarde postanowienie, że wyjedzie i nic jej w tym nie przeszkodzi. Wszystko wydawało się jej lepsze niż ten radosny szczebiot od rana do nocy.

Wszystkimi przygotowaniami zajęła się Grace. Pewnego popołudnia ogłosiła wszem wobec, że Prudence będzie towarzyszyła w podróży na północ doktorowi Linfordowi z żoną, dokąd wybierają się w odwiedziny do jego matki. Linfordowie odstawią Prudence do wioski o nazwie Himple, gdzie pan Bulworth pośle umyślnego, aby przywiózł ją do nowo ukończonego dworu. Cassandra, która debiutowała w tym samym sezonie co Prudence, ale w przeciwieństwie do niej otrzymała kilka propozycji małżeństwa, będzie tam na nią oczekiwać.

- Niestety powóz Linfordów nie jest zbyt duży - zauważyła Mercy. Siedziała akurat przy sztaludze i rysowała miskę owoców. Wcześniej wyjaśniła im dumnie, że tak właśnie postępowali mistrzowie; najpierw szkicowali, a potem malowali. - Prudence będzie musiała przez wiele godzin prowadzić rozmowę.

Zmrużyła oczy i popatrzyła na swój szkic.

- A cóż złego w konwersacji? - zdziwiła się Honor, która czesała włosy swojej córki, Edith.

- Nic a nic, o ile ktoś pasjonuje się pogodą. Doktor Linford o niczym innym nie mówi. Ale ty nieszczęśliwie się nią interesujesz, prawda, Pru?

Prudence wzruszyła tylko ramionami. Niczym się szczególnie nie interesowała.

W dniu wyjazdu zniesiono kufer i sakwojaż Prudence do powozu, który miał ją zawieźć do Ashton Down, gdzie o pierwszej umówiona była z Linfordami. Do torby podróżnej spakowała najpotrzebniejsze rzeczy: kilka wstążek do włosów, jedwabną koszulę nocną, którą Honor przywiozła jej od najmodniejszej krawcowej w Londynie, urocze pantofle i zmianę bielizny. Pożegnała się z niezwykle uradowanymi siostrami i wyruszyła w drogę za kwadrans dwunasta.

Nieoceniony stangret z Blackwood Hall dowiózł ją do Ashton Down już dziesięć minut po dwunastej.

- Nie czekaj ze mną, James - poprosiła go Prudence, już czując się znużona. - Linfordowie wkrótce zajadą.

James nie wyglądał na przekonanego.

- Lord Merryton nie pochwała tego, żeby damy pozostawały choć przez chwilę bez opieki, panienko.

Ta uwaga rozsierzdziła Prudence.

- Powiedz mu, że nalegałam - odparła i odprawiła go ruchem ręki. - Tam połóż bagaże.

Uśmiechnęła się do Jamesa na pożegnanie, poprawiła czepek i przeszła kilka kroków do sklepiku z bakaliami, gdzie kupiła trochę suszonych owoców na drogę. Kiedy wyszła na ulicę, z ulgą zauważyła, że po powozie z Blackwood Hall nie było już śladu.

Wystawiła twarz na sierpniowe słońce. Dzień był jasny i ciepły, więc postanowiła poczekać na Linfordów w cieniu drzew po drugiej stronie ulicy. Usadowiła się wygodnie na ławce, złożyła rękawiczki na paczuszce słodyczy i leniwie obejrzała kwiaty posadzone w rabacie. Zaczynały już więdnąć. Pomyślała, że to tak samo jak ona, i westchnęła głośno.

Turkot nadjeżdżającego powozu wyrwał ją z zadumy. Podniosła się, omiotła dłonią sukienkę i zawiesiła pakuneczek na ręce. Jednak to nie pojazd Linfordów się zbliżał, tylko jeden z prywatnych dyliżansów, które przejeżdżały codziennie przez Ashton Down – jeden w południe, a drugi pod wieczór. Prudence ponownie ciężko usiadła na ławce.

Dyliżans zatrzymał się po drugiej stronie ulicy i z tylnego siedzenia zeskoczyło dwóch stajennych. Jeden otworzył drzwiczki. Wysiadła młoda para, kobieta trzymała na rękach niemowlę. Za nimi pojawił się dżentelmen tak szeroki w ramionach, że musiał wysiąść bokiem. Zeskoczył na chodnik, wylądował na nogach pewnie i poprawił kapelusz. Wyglądał tak, jakby dopiero co przyjechał z wykopalisk. Był ubrany w spodnie z kozłej skóry, batystową koszulę i ciemny płaszcz do kolan. Kapelusz miał znoszony, chociaż dobrej jakości, a buty wyglądały, jakby nikt ich od stu lat nie czyścił. Kwadratową szczękę okrywał cień zarostu.

Obrócił się powoli dookoła, nie zwracając uwagi na młodzieńców, którzy wyprzęgali konie i układali bagaże na krawężniku. Zobaczył jednak coś, co sprawiło, że podszedł do woźnicy i zaczął się z nim energicznie spierać.

Prudence zamrugała zaskoczona. Jakież to było interesujące! Wyprostowała się, rozejrzała i spróbowała się domyślić, co mogło tak rozsierdzić nieznanego. Wioska wydawała się całkiem zwyczajna, więc zupełnie niewinnie podniosła się i podeszła bliżej, udając, że interesuje się wyłącznie kwitnącymi różami.

– Ile razy mam powtarzać, że Wesleygh jest pół godziny piechotą stąd, nie więcej – bronił się woźnica.

– Mój dobry człowieku, nie całkiem mnie chyba rozumiesz – odezwał się nieznamy dżentelmen z mało dźwięcznym akcentem. – Wesleygh to dom, a nie osada. Kazano mi wierzyć, że trafię do posiadłości. Posiadłości! To taki duży dom z przybudówkami, gdzie kręcą się najróżniejsi ludzie i zajmują tym, co wy tu w Anglii robicie, cokolwiek to jest!

Gestykułując, nakreślił obraz wyimaginowanej posiadłości w powietrzu przed oczami woźnicy, ten jednak tylko wzruszył ramionami.

– Jadę tam, gdzie mi każą, a nikt mi nie mówił, żebym jechał do Wesleygh. I nie ma tam żadnej posiadłości.

– To niesłychane! – zawołał nieznamy. – Dobrze zapłaciłem za ten kurs!

Woźnica odwrócił wzrok, dżentelmen zaś zerwał z głowy kapelusz, ukazując grzywę gęstych, brązowych włosów, i cisnął go na ziemię. Kapelusz poszybował jednak z wiatrem i wylądował wprost pod nogami Prudence. Dżentelmen spojrzał za nim, dostrzegł Prudence na skraju zieleni i nagle ruszył energicznie w jej kierunku, wyciągając ściskany w ręce papier.

Prudence spanikowała. Rozejrzała się szybko za drogą ucieczki, ale nieznamy wyczuł jej zamiary.

– Błagam, niech pani poczeka – rzekł ponuro. – Ktoś musi przemówić temu czło-

wiekowi do rozsądku i nakłonić go, żeby mnie zawiózł do Wesleygh.

- Wesleygh czy Wesley? - zapytała niepewnie.

Dżentelmen zamarł w pół kroku. Popatrzył na nią oczami koloru złocistego topazu i zaraz je zmrużył, jakby podejrzewał podstęp. Podeszedł do niej z wahaniem.

- Czy będzie pani uprzejma? - zapytał przez zęby, niemal wtykając jej papier w twarz.

Prudence wzięła karteczkę w dwa palce i wyjęła z jego uścisku. Ktoś napisał na niej wielkimi, grubymi literami „West Lee, Penfors”.

- Hm - mruknęła. - Chodzi tu zapewne o wicehrabiego Penfors.

Zerknęła na nieznanomego, który wpatrywał się w nią posepnie.

- Lord Penfors rezyduje w Howston Hall pod Wesley.

- Przecież tak właśnie napisałem.

- Ale tu jest napisane West Lee.

- Sama pani widzi.

- Ależ nie, *sir*. Mówiłam: Wesley. I nigdy nie słyszałam o West Lee. - Prudence starała się jak najdobitniej podkreślić subtelne różnice w wymowie tych nazw. - Pan niestety przez pomyłkę trafił do Wesleygh.

Poczerwieniał do tego stopnia, że Prudence wyobraziła sobie, jak wybucha i jak śnieg opada w kawałeczkach na całą ulicę.

- Proszę o wybaczenie, ale panienka zdaje się mówić całkiem od rzeczy - wycedził. Sięgnął po karteczkę również dwoma palcami i wyszarpnął jej z ręki. - Trzy razy powtórzyła panienka „West Lee” i nie wiem doprawdy, czy to jakiś żart, czy może chodzi tu o coś całkiem innego.

- Wcale z pana nie żartuję - zaprotestowała, wstrząśnięta takim pomysłem.

- A więc musi chodzić o coś innego!

- Czyli o co? - Prudence nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Zapewniam, że nie należę do żadnego spisku, który ma na celu nie dopuścić pana do Wesley, *sir*.

Zmarszczył srogo brwi.

- Wspaniale, że panienkę rozbawiłem. Ale gdyby była panienka tak miła i wskazała mi drogę do choć jednego z tych West Lee, a najlepiej tam, gdzie rezyduje ten jegomość Penfors, będę niezmiernie zobowiązany.

- Och! - zmartwiła się Prudence.

- Och? - powtórzył i pochylił się nad nią. - Co oznacza „och”? I dlaczego patrzy panienka na mnie tak, jakby zgubiła mi psa?

- Pojechał pan nie w tym kierunku.

- Tak przypuszczałem - odparł sarkastycznie.

- Wesleygh jest kawałeczek drogi stąd, to pięć chałup na krzyż. Wesley za to jest na północy. - Pokazała kierunek, skąd przyjechał dyliżans.

Dżentelmen popatrzył w tamtą stronę.

- Jak daleko? - warknął niebezpiecznie niskim głosem.

- Nie mam całkowitej pewności, ale przypuszczam, że... dwa dni drogi?

Zacisnął zęby. Był tak potężny, że Prudence spodziewała się, że od jego gniewu zadrży ziemia.

- Ale właśnie tam znajdzie pan tego jegomościa, Penforsa - dodała pospiesznie i powstrzymała uśmiech. Absurdalnie było mówić tak o wicehrabim.



- Na północ? - Rozłożył ręce w geście rozpaczy.

Prudence cofnęła się ostrożnie o krok i skinęła głową.

Dżentelmen oparł ręce na biodrach i popatrzył na nią, po czym odwrócił się. Prudence była przekonana, że odejdzie, ale on obracał się dalej, aż zrobił cały obrót i popatrzył na nią znowu, zaciskając zęby jeszcze mocniej.

- Czy mogłaby mi panienka zasugerować, jak mam dotrzeć do tego właściwego West Lee, co jest o dwa dni drogi stąd?

- To nie jest West... - pokręciła głową zrezygnowana. - Może pan pojechać północnym dylizanssem. Przejeżdża przez Ashton Down dwa razy dziennie. Najbliższy powinien nadjechać lada moment.

- Rozumiem - odparł, choć było jasne, że niczego nie rozumie.

- Może też pan wykupić przejazd kurierem poczty królewskiej, chociaż to trochę kosztowniejsze od przejazdów pasażerskich. Kurier przejeżdża tylko raz dziennie.

Popatrzył na nią nieufnie.

- Tak czy inaczej będą to dwa dni?

Skinęła głową i uśmiechnęła się współczująco. Sama też nie chciała się gniesć przez dwa dni w dylizansie.

- Obawiam się, że tak.

Przeczesał ciemnobrązowe włosy palcami i mruknął pod nosem coś niewyraźnie. Prudence miała przeczucie, że wołałaby nie wiedzieć, co to było.

- Gdzie mogę opłacić przejazd?

Zerknęła, a raczej wychyliła się na bok, żeby popatrzeć za jego szerokimi plecami na gospodę.

- Pokażę panu, jeśli pan sobie tego życzy.

- Będę zobowiązany - odparł stanowczo.

Schylił się po kapelusz, otrzepał go z kurzu o kolano i włożył na głowę. Omiótł ją jeszcze spojrzeniem i ustąpił jej drogi, dając do zrozumienia, że chce, by go poprowadziła.

Prudence przeszła przez ulicę i zatrzymała się, kiedy dżentelmen instruował woźnicę, żeby wystawiono jego bagaż. Popatrzył jeszcze tęsknie za powozem odjeżdżającym na południe i ruszył za Prudence na podwórzec gospody. Weszli do głównego pomieszczenia, a stamtąd do niewielkiego biura o tak niskim stropie, że nawet Prudence musiała pochylić głowę. Wewnątrz panował wilgotny zaduch końskiego nawozu, dochodzący z przylegających do placówki stajni.

Dżentelmen, którego tu zaprowadziła, był wysokim mężczyzną i musiał się schylić. Tarł głową o sufit i opędzał się od pajęczyn, mrużąc pod nosem przekleństwa.

- Słucham. - Za niską ladą zjawił się urzędnik.

Nieznajomy podszedł bliżej.

- Chciałbym wykupić przejazd do West Lee.

- Wesley - mruknęła Prudence.

Westchnął ciężko.

- Tak, jak ona mówi.

- Trzy funty.

Dżentelmen wyjął z kieszeni portmonetkę. Przyglądał się uważnie każdej monecie z osobna, aż Prudence wskazała trzy z nich.

- Ach! - Podał urzędnikowi wybrane monety, a ten przekazał mu bilet.

- Woźnica otrzymuje koronę, a strażnik pół.

- Co takiego? Przecież właśnie dałem trzy funty.

Urzędnik schował pieniądze w kieszeni fartucha.

- To za przejazd. Woźnica i strażnik są opłacani przez pasażerów.

- To mi wygląda na jakieś szalbierstwo.

Urzędnik wzruszył ramionami.

- Chce się pan dostać do Wesleya?

- Dobrze już, dobrze.

Dżentelmen popatrzył na bilet i westchnął znowu. Przepuścił Prudence w drzwiach, przecisnął się przez nie i wyszedł za nią na podwórze. Tam przystanęli. Dżentelmen po raz pierwszy uśmiechnął się przy Prudence. Poczwała lekkie ukłucie pożądania. Miał olśniewający uśmiech, przekorny i szczery. Nie było w nim cienia sztuczności.

- Jestem pani wdzięczny za pomoc, panno...?

- Cabot - przedstawiła się. - Prudence Cabot.

- Panno Cabot - powtórzył i ukłonił się. - Nazywam się Roan Matheson.

Wyciągnął do niej dłoń. Prudence spojrzała na nią niepewnie. Matheson również.

- Czy coś jest nie tak? Mam brudną rękawiczkę? To prawda, proszę o wybaczenie, przebyłem długą drogę...

- Nie w tym rzecz - odparła i pokręciła głową.

- Ach, rozumiem. - Zdjął rękawiczkę i wyciągnął rękę ponownie. Miał potężną dłoń o mocnych i długich palcach oraz blizny na kłykciach. Widać było, że nie obawiał się pracy.

- Ręce mam czyste - dodał niecierpliwie.

- Słucham? Och, nie, ale to niezwykle.

- Coś nie tak z moją dłonią? - zdziwił się i podniósł rękę, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

- Ależ nie! - uspokoiła go szybko Prudence.

Zrozumiała, że zachowuje się niegrzecznie. Popatrzyła w jego oczy w kolorze topazów i spojrzała na ciemnobrązowe włosy z jaśniejszymi pasemkami. Nosił dłuższe włosy, niż nakazywałaby najnowsza moda, i zakładał je sobie niedbale za uszy. Był ujmująco nietutejszy i bardzo męski. Sprawiał wrażenie, jakby dla zabawy mógłby przenosić góry. Serce Prudence zabiło mocniej.

- To niezwykle, że wyciągnął pan do mnie rękę, żebym ją... uścisnęła? - zapytała niepewnie.

- Ach, tak! W jakim innym celu miałbym ją wyciągać, panno Cabot? To forma podziękowania albo gest powitalny...

Prudence szybko podała mu rękę, która wydała się jej niezwykle mała w jego dłoni.

Przechylił głowę na bok.

- Czy pani się mnie obawia?

- Co takiego? W żadnym razie! - zaprzeczyła żywo, chociaż musiała w duchu przyznać, że trochę się go lęka. A raczej tego, co w niej budził, gdy się jej przyglądał.

Zacisnęła palce, a on uściśnił ją mocniej.

- Och! - szepnęła.

- Za mocno? - zapytał.

- Nie, ani trochę - odparła szybko. Spodobało się jej, że trzyma ją za rękę, i ulotnie przebiegła przez jej głowę myśl, że mógłby położyć dłoń w innych miejscach jej ciała. - Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem do tego przyzwyczajona. Tutaj mężczyźni podają ręce innym mężczyznom, ale nie kobietom.

Matheson z ociąganiem cofnął rękę, ale spoglądał na nią niepewnie.

- Jak więc powinienem się zachować wobec kobiety?

- Należy się uklonić - wyjaśniła i zaprezentowała. - A dama w odpowiedzi dyga.

Jęknął ponuro i założył rękawiczkę.

- Czy mogę być brutalnie szczerzy, panno Cabot?

- Bardzo proszę.

- Przyjechałem z Ameryki w pilnej sprawie. Mam stąd odebrać siostrę, ale w tym kraju spotykają mnie ciągle nieporozumienia.

W tym momencie jego uwagę odwrócił nadjeżdżający powóz. Był to właśnie północny dyliżans, który zatrzymał się przed podwórzem gospody. Z dachu zeskoczyło dwóch młodych ludzi, dwóch zsiadło z tylnego siedzenia, jeden posługacz łapał na chodniku rzucane pakunki.

Powóz wyglądał na wypełniony po brzegi i Prudence zrobiło się żal pana Mathesona. Nie wyobrażała sobie, jak taki potężny mężczyzna będzie się poruszał w zatłoczonej budzie.

- Chyba już czas - rzekł i począł się kierować do dyliżansu, ale po kilku krokach zatrzymał się i popatrzył przez ramię.

- Nie jedzie pani?

Prudence nie posiadała się ze zdumienia. Naraz pojęła, że Matheson spodziewał się, że i ona czekała na dyliżans. Otworzyła usta, żeby wyjaśnić nieporozumienie i poinformować, że będzie jechała prywatnym powozem, ale nie mogła wykrztusić słowa. Poczwała dziwne mrowienie, niebezpieczne, podniecające...

Przecież nie mogłaby tego zrobić. Ale dlaczego? - pomyślała zaraz. Perspektywa podróży z Linfordami i rozmowy o pogodzie sprawiały, że jazda dyliżansem nie wydała się już taka przerażająca. Towarzystwo Mathesona było kuszącą odmianą, a od bardzo dawna nikt jej szczerze nie zaciekał. Na samą myśl o wspólnej podróży jej serce biło szybciej.

Rzuciła okiem na gospodę za plecami. To było czyste szaleństwo - wsiąść z nim do dyliżansu - ale zarazem o ileż bardziej interesujące od jazdy z Linfordami! Miała przy sobie potrzebne rzeczy, pieniądze i wiedziała, jak trafić do Cassandry Bulworth. Powstrzymywała ją tylko przyzwoitość, która doprowadziła ją do tak opłakanej sytuacji życiowej.

Spojrzała na Mathesona. Był bardzo pociągający, na swój amerykański sposób. Nigdy wcześniej nawet nie spotkała Amerykanina, ale dokładnie tak ich sobie wyobrażała: wiecznie zbuntowanych, a przy tym na tyle silnych, że byli w stanie opierać się konwenansom.

Ten mężczyzna był niezwykły, wyjątkowo przystojny i, na jej szczęście, całkiem zagubiony! Może nawet byłaby w stanie przekonać siebie, że wyświadcza mu zwy-

czajną przysługę, opiekując się nim po drodze.

Matheson źle zrozumiał jej ociąganie i spieszył się nieco.

- Proszę o wybaczenie, nie miałem zamiaru pani pospieszać.

Prudence uśmiechnęła się szeroko na myśl, że jego zdaniem chodziło jej o grzeczność, ale ów uśmiech jeszcze bardziej go zdeprymował.

- Do zobaczenia w dylizansie - dodał.

- Tak, na pewno się zobaczymy! - odparła z całym przekonaniem, jakie umiała z siebie wykrzesać.

Popatrzył na nią dziwnie, ale ukłonił się i poszedł do dylizansu, po drodze tylko schylił się i rzucił chłopakowi na dachu jedną z toreb podróżnych.

Prudence nie miała czasu do stracenia; wróciła do biura z mocno bijącym sercem. Kiedy weszła, zadzwonił dzwoneczek.

Urzędnik odwrócił się niechętnie.

- Tak, panienko?

- Poproszę bilet do Himple - odrzekła i otworzyła torebkę.

- Do Himple? - powtórzył z powątpiewaniem i popatrzył na nią, zaciekawiony.

- Tak. Czy ma pan może kartkę? Chciałabym zostawić wiadomość.

- Dwa funty - oznajmił i rozejrzał się po biurze. Znalazł kawałek papieru welinowego i wręczył jej razem z ołówkiem.

Prudence nakreśliła pospieszny list do doktora Linforda. Po uprzejmościach i życzeniach zdrowia dla jego matki wyjaśniła zmianę planów podróży.

*Proszę mi wybaczyć wszelkie niedogodności, na jakie Państwa naraziłam, ale postanowiłam skorzystać z wolnego miejsca w powozie przyjaciółki, która również wybiera się do Himple. Żałuję, że nie mogłam Państwa uprzedzić wcześniej, ale ta okazja pojawiła się w ostatniej chwili. Bardzo dziękuję za propozycję zaopiekowania się mną w drodze, ale zapewniam, że teraz też jestem w dobrych rękach.*

*Proszę przyjąć życzenia przyjemnej podróży i raz jeszcze dobrego zdrowia dla Pana matki.*

*P.C.*

Złożyła liścik i uśmiechnęła się do patrzącego na nią wilkiem urzędnika.

- Dziękuję - pożegnała się i opuściła biuro. Serce biło jej jak szalone. Nie mogła wprost uwierzyć, że zdecydowała się na coś tak śmiałego, tak ryzykownego! To było do niej niepodobne. Ale przy tym po raz pierwszy od wielu miesięcy, a może nawet lat, Prudence czuła, że przydarzy się jej coś niezwykłego. Nieważne, czy będzie to dobre, czy nie, cieszyła się na myśl, że nadchodziła zmiana i aż drżała z niecierpliwości.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wnętrze powozu powstało z myślą o czterech pasażerach, ale dodatkowe miejsca na dachu były już zajęte, więc Roan musiał znaleźć sobie kawałek niezwykle twardej ławki w środku pojazdu. Obijał się kolanami o kolana kościstego starca naprzeciwko, który otwarcie mu się przyglądał. Obok starca siedział młody, może czternaścieletni chłopak. Miał kapelusz tak mocno wciśnięty na głowę, że widać było tylko ostry nos i drobny podbródek. Na kolanach trzymał wytartą torbę, którą bezpiecznie otoczył ramionami.

Następne miejsca zajmowały siedzące naprzeciwko siebie dwie tęgie baby w przymałych czepkach. Wystające spod nich kosmyki kręconych włosów chowały za uszami. Roan nie wierzył, żeby były bliźniaczkami, ale podejrzewał, że są to siostry. Obie nosiły identyczne szare muślinowe sukienki z ogromną ilością koronek skrywających wydatne biusty. Najbardziej niezwykle było w nich jednak to, jakie ilości słów z siebie wyrzucały. Nie przestawały trajkotać ani na chwilę; do tego mówiły z tak mocnym akcentem, że Roan nic a nic nie rozumiał.

Szarpnęło powozem, kiedy zaprzęgano nowe konie. Roan wyciągnął z kieszeni zegarek, uważając, aby nikomu przy tym nie zrobić łokciem krzywy. Właśnie minęło wpół do pierwszej i wkrótce mieli odjeżdżać, a wciąż nie było śladu pięknej kobiety o orzechowych oczach, która bardzo mu pomogła.

Okazała się aniołem tego straszego dnia i tylko dzięki niej jego męki stały się znośne. Panna Cabot była niezwykle piękna, znacznie piękniejsza od kobiet napotkanych przed opuszczeniem Nowego Jorku i bez wątpienia najpiękniejsza spośród tych napotkanych w Anglii. Co prawda, zszedł z pokładu w dokach Liverpoolu, które nie należały do najatrakcyjniejszych miejsc na świecie, co jednak w niczym nie umniejszało urody oszałamiającej figury panny Cabot, jej pełnych różowych ust i czarnych rzęs ocieniających migdałowe oczy. Mieszały się w nich zieleń i brąz, jednak więcej było zieleni, więcej lata niż zimy. Przyciągnęła całą jego męską uwagę, kiedy pierwszy raz ją zobaczył.

Kobieta siedząca obok niego usadowiła się wygodnie na ławie, pozostawiając za ledwie kilka cali wolnego miejsca. Roan był przekonany, że nie wystarczyłoby ich nawet dla szczupłej panny Cabot. Zaczynał już nawet podejrzewać, że trafiła na górę, i właśnie w tym momencie zobaczył w drzwiczkach jej głowę.

- Ojej! - zawołała. - Chyba nie ma już miejsca.

- Nic podobnego - odrzekła jedna z kobiet. - Jeśli pan będzie łaskaw się przesunąć, znajdzie się kawałek ławki.

Roan zrozumiał, że dama w czepku mówiła do niego. Popatrzył na ścianę powozu, do której był przyciśnięty, i na kobietę zajmującą więcej miejsca, niż potrzebowała.

- Pani wybaczy, ale nie mam już miejsca.

- Och, tylko odrobinę - odparła pulchna dama i pomachała na niego ręką. Sama nie przesunęła się ani o włos.

- Dziękuję. Przepraszam - powiedziała panna Cabot, przeciskając się między kolanami Roana i kościstego starca i roztaczając woń drogich perfum. Wzdrygnęła się na widok kawałeczka ławki, który miała zająć.

- Prawda, że niewiele tu miejsca? - zauważyła jedna z kobiet. - Ale chucherko z ciebie, więc się zmieścisz.

Panna Cabot uśmiechnęła się niepewnie do Roana i jakimś cudem zdołała się obrócić w miejscu, jedynie muskając pasażerów rąbkiem sukienki. Usiadła na brzegu ławki z wyprostowanymi plecami. Roan zauważył, że jej kolana dotknęły kolan chłopca, który wyraźnie się zarumienił. On też był taki w jego wieku - bał się kobiet i zarazem robił, co mógł, żeby być przy nich jak najbliżej.

- Nie możesz siedzieć jak ptak na grzędzie, bo się wykończysz - rzekł do niej. - Proszę, usiądź wygodnie.

Panna Cabot pochyliła głowę. Roan widział tylko jej podbródek i usta, ale nie miał wątpliwości, że jest sceptycznie nastawiona do jego pomysłu. Pokręciła biodrami i usiadła głębiej o kilka centymetrów, wciskając się w wąski kawałeczek wolnej ławki. Jej sąsiadka odsunęła się odrobinę.

Kiedy wreszcie skończyła się sadowić i była mocno do niego przyciśnięta, Roan nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o kremowych pośladkach panny Cabot. Wyobrażał sobie ich gładką skórę i jędrny kształt podobny do serduszka...

Przestań! - upomniał się surowo. Nie powinien myśleć w ten sposób o kobiecie w wieku jego młodszej siostry.

Zacisnął zęby i wyprostował ramiona, ale nadal nie potrafił zignorować dotyku jej smukłego ciała. Tłumaczył sobie tę reakcję wielotygodniową podróżą okrętem wyłącznie w męskim towarzystwie i tym, że dopiero teraz od przybycia do Anglii pierwszy raz czuje bliskość kobiety.

Chociaż z drugiej strony musiał przyznać, że był też trochę łajdakiem. Tym bardziej że nie miał okazji dotykać żadnej kobiety, od ostatniego spotkania z Sussanną Pratt w Nowym Jorku.

- No i proszę - odezwała się panna Cabot żartobliwym tonem. - Jeśli droga będzie nie najlepsza, mogę zostać wystrzelona jak z katapulty.

Nikt się nawet nie uśmiechnął. Wszyscy obawiali się, że naprawdę może tak się zdarzyć. Chłopiec osunął się trochę i zniknął w kołnierzu płaszcza, a starzec nadal nie spuszczał oczu z Roana, który zaczynał się już obawiać, że jakimś cudem odczytał z jego twarzy erotyczne fantazje.

- Mimo wszystko zapowiada się dobry dzień na podróż - zagaiła radośnie panna Cabot.

Roan miał nadzieję, że nie okaże się kobietą, która we wszystkim dostrzega cudowne zrządzenie losu i odczuwa potrzebę dzielenia się swoim zachwytem.

- Rzeczywiście, przyjemny - odparła jedna z pulchnych dam i rozpoczęła niepowstrzymaną tyradę, z której Roan nie był w stanie nic zrozumieć.

Skorzystał więc z okazji, żeby przyjrzeć się pannie Cabot. Miała na sobie drogą sukienkę - nauczył się je rozpoznawać po opłaceniu kilku rachunków swojej siostry, Aurory, i doskonale znał cenę jedwabiu, brokatu, muślinu i pierwszorzędnej wełny. Jej dłonie sprawiały wrażenie delikatnych. Na pewno świetnie sobie radziła przy robotkach ręcznych. Dojrzał też niesforny kosmyk włosów na jej szyi w kolorze psze-

nicy.

Zastanawiał się, czy to nie oznaka braku lojalności wobec panny Pratt, że panna Cabot spełnia wszystkie jego wyobrażenia o atrakcyjnej kobiecie. Była jasnowłosa, elegancka i ucieleśniała jego najskrytsze męskie marzenia. Susanna tymczasem okazała się ciemnowłosa i bezkształtna. Roan nie zaliczał się do mężczyzn, którzy oceniają kobiety wyłącznie po wyglądzie, ale panna Pratt nie miała też niestety nic do powiedzenia. Kiedy przyjechała z Filadelfii i przyszła pod ramię ze swoim ojcem, Roan nie mógł uwierzyć, że zgodził się na połączenie ich rodzin przez małżeństwo.

Powóz ruszył z szarpnięciem i wyrwał go z zamyślenia. Panna Cabot oparła się o jego kolano. Podniosła wzrok i spojrzała przeprasząco.

- Proszę mi wybaczyć. Strasznie tu ciasno, prawda?

Poprawiła się i usiadła znowu wyprostowana, z dłońmi na podolku.

Nie miała jednak szczęścia. Z każdym wybojem i wyrwą w drodze musiała opierać się o jego udo i za każdym razem przypominała mu o swojej obecności. Roan wyglądał za okno i z całych sił starał się nie myśleć o jej nagim ciele w białej pościeli, złotych włosach rozrzuconych na poduszce i jędrnych piersiach. W końcu wziął się na sposób i z każdą nieprzyzwoitą myślą spoglądał na siedzącego naprzeciwko starca.

Jechali już całą godzinę, kiedy jedna z kobiet nagle wzięła głęboki oddech pośród niekończącej się paplaniny i oznajmiła głośno:

- Wiem, kim pani jest! Przecież to *lady* Merryton!

Wszystkie oczy zwróciły się na pannę Cabot.

- Nic podobnego - wyparła się.

- Nie? - Kobieta była nadal podejrzliwa.

- Zapewniam panią, że gdybym była *lady* Merryton, podróżowałabym prywatnym powozem. - Panna Cabot uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Chyba ma pani rację - zgodziła się rozczarowana dama.

Czy ta stara krowa myśli, że rodzina królewska jeździ dyliżansem? - dziwił się Roan. Co prawda, nie był na bieżąco w sprawach dworu, ale miał mgliste przeczucie, że *lady* musi oznaczać kogoś związanego z panującym rodem. Kiedy jego ciotka i wuj wrócili tego lata z Londynu - zostawiając tam Aurorę, którą powierzono ich opiece - bez końca rozprawiali o księżętach i hrabiach, i o tym, że Aurora tańczyła z takim czy innym lordem i była na kolacji u takiej czy innej *lady*. Roan nie zwracał na te rewelacje większej uwagi i dlatego nie orientował się za bardzo w znaczeniu tytułów, nabrał jedynie przekonania, że w Anglii aż się roi od członków rodziny królewskiej.

- Ale miałam przyjemność poznać *lady* Merryton - dodała niezobowiązująco panna Cabot.

Roan przekręcił głowę, żeby popatrzeć na jej twarz. Zastanawiał się, co to mogło znaczyć, że poznała *lady* Merryton. Czy to przypadkiem nie była hrabina? A jeśli tak, to czy to nie znaczyło, że była córką króla i królowej? A wtedy panna Cabot obracałaby się wśród królów i królowych!

- Skoro jednak nie jest nią pani, to co pani myśli o andronach, jakie napletli o tym małżeństwie? - większa dama parsknęła i pokręciła głową.

- To po prostu skandal - zgodziła się mniejsza.

Roan zauważył, że panna Cabot się zaczerwieniła. Nie wiedział, co mogą oznaczać androny, ale skoro kobiety nie mogły się doczekać wyrażenia swojej opinii, temat go zainteresował.

Obie damy najwyraźniej szykowały się do całej serii pytań, ale powóz akurat zaczął zwalniać. Roan wychylił się trochę i dojrzał rząd domów z białego wapienia, z kwiatami w oknach. Spodziewał się, że będą tutaj tylko zmieniali konie, ale i tak nie mógł się doczekać, kiedy wysiądzie i rozprostuje kości.

Wtoczyli się do wioski, dyliżans zjechał na bok i woźnica zeskoczył z kozła, żeby otworzyć drzwiczki i wystawić stopień. Roan zawsze zachowywał się jak dżentelmen, jednak tym razem wyskoczył pierwszy, żeby zaczerpnąć w płuca trochę świeżego powietrza i choć na chwilę zapomnieć o dotyku panny Cabot. Kiedy się w końcu odwrócił, wszyscy pasażerowie wydostali się już z dusznego wnętrza, a chłopiec pomagał starcowi usiąść na ławce pod ścianą. Dwie damy stały w identycznych pozach, podparte pod boki i nie przestawały rozmawiać.

Panna Cabot przystanąła w pewnym oddaleniu. Trzymała w rękach małą paczuszkę i wyglądała w swojej niebieskiej sukience niezwykle świeżo i radośnie jak kwitnący dzwoneczek.

Woźnica wkroczył w środek grupki dumnym krokiem, jakiego nie powstydziliby się niejeden burmistrz, w czym nie przeszkadzały mu brudne spodnie, znoszone buty i kamizelka za mała o dwa numery.

- Proszę państwa szanownych o uwagę - oznajmił podniosłym tonem. - Dyliżans odjedzie o wpół do trzeciej.

Roan rozejrzał się na wszystkie strony. Znajdowała się tu niewielka gospoda i kuźnia. Więcej atrakcji nie dostrzegał. Chętnie wychyliłby kufelek albo dwa, ale zamiast tego postanowił rozprostować trochę kości podczas przechadzki. Liczył, że łatwiej w ten sposób pozbędzie się wspomnienia rozkosznego cierpienia, jakie sprawiło mu dotykanie pięknej młodej kobiety przez ostatnie półtorej godziny. Musiał też ukoić nadszarpnięte nerwy i odzyskać cierpliwość.

Przystanął, ale spokój nie nadchodził. Roan nie należał do ludzi drażliwych. Przeciwnie, w największym zamieszaniu był dla bliskich uosobieniem spokoju. Ale tutaj sam został pozbawiony jakiegokolwiek oparcia. Od dwóch dni podróżował sam po obcym kraju, a ziemia nadal kołysała się pod jego stopami po miesiącu, który spędził na morzu. Całkiem stracił rezon, kiedy w Liverpoolu po wielu bezowocnych próbach porozumienia się z miejscowymi pojął, że oni też mówili po angielsku. Dowiedział się, dokąd powinien jechać, ale po dwóch dniach podróży na południe okazało się, że powinien był jednak obrać kierunek północny.

Na domiar złego był przyzwyczajony do najlepszych powozów i pierwszorzędných zaprzęgów, a nie rozklekotanych dyliżansów na wyboistych gościńcach, gdzie siedział ściśnięty obok ropuchy i kobiety, której skóra zdawała się delikatna i gładka jak masło.

Zatrzymał się na środku drogi i głęboko odetchnął gorącym powietrzem. Krótka przechadzka nie poprawiła mu samopoczucia. Podniósł twarz do nieba i ryknął rozłoszczony swoimi niepowodzeniami, siostrą i całym światem.

Dopiero to przyniosło mu trochę ulgi. Roan odwrócił się na pięcie i skierował swoje kroki z powrotem do wioski. Zastał tam pannę Cabot, która przysiadła na murku



i posilała się czymś z pakuneczku. Obok przysiadły na kufrze siostry i też coś jadły.

Roan podszedł bliżej. Nie chciał być wścibski, ale nie mógł się oprzeć zerknięciu do paczuski. Widok jedzenia przypomniał mu, że przez ostatnią dobę nic nie jadł.

Panna Cabot podniosła głowę i spojrzała na niego orzechowymi oczami spod rąbka czepka.

- Och, panie Matheson.

- Panno Cabot. - Roan uchylił kapelusza.

Wyciągnęła do niego płócienną chustkę z mnóstwem słodyczy.

- Może ma pan ochotę na smakołyk?

Roan przyjrzał się bliżej proponowanym delicjom. Przypominały ciastka, jakie w dzieciństwie piekła dla niego Nelly, długoletnia kucharka rodziny.

- Nie, dziękuję - odmówił grzecznie. Nie był jeszcze na tyle zdesperowany, żeby odbierać jej jedzenie.

- Na pewno? - Wybrała jedno ciasteczko i wrzuciła do buzi. Na moment zamknęła oczy. - Mmm! Pyszne!

Ku jego zażenowaniu w tym momencie zaburczało mu w brzuchu. Panna Cabot uśmiechnęła się słodko i jeszcze raz podniosła skrawek płótna.

- Proszę przynajmniej spróbować.

- To na pewno żaden kłopot? - zapytał z grzeczności, chociaż już wyciągał rękę.

Przyglądała mu się uważnie, kiedy wkładał smakowity kąsek do ust. Nie mógł zaprzeczyć, że ciasteczka były wyjątkowo smaczne.

- Proszę się częstować do woli.

- Może jeszcze jedno - odrzekł z wdzięcznością i wyciągnął rękę, a panna Cabot wsunęła mu w dłoń od razu trzy. Roześmiała się perliście.

- Można by pomyśleć, że nic pan dziś nie jadł, panie Matheson.

- Nie jadłem od wczorajszego ranka.

- Co takiego? Ale dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Podczas podróży nie zawsze jest czas na posiłek. Byłem przekonany, że do tej chwili będę już na miejscu.

Panna Cabot zeskoczyła zwinnie z murka i przykucnęła obok torebki. Przetrzaśnięła jej zawartość i wyjęła ze środka jeszcze jedno zawiniątko. Natychmiast mu je podała.

Roan odwinął materiał i znalazł w środku bochenek chleba.

- Mam też ser - dorzuciła.

- Proszę się nie kłopotać...

- Nalegam, panie Matheson. Moja młodsza siostra wrzuciła mi to do bagażu. - Uśmiechnęła się znowu, a jej oczy rozbłysły ciepło. - Liczyła, że napadną nas bandyci, i chciała, żebym była dobrze przygotowana do spędzenia wielu dni w puszczy.

- Liczyła na to?

- Uwielbia dramatyzm. Proszę jeść, jest tego mnóstwo.

- Jestem niezmiernie zobowiązany - rzekł i odgryzł wielki kawał chleba. Jadł dużo bardziej żarłocznie, niżby sobie tego w głębi ducha życzył. Tymczasem panna Cabot ponownie usadowiła się na murku. Poczęstował się serem i dopiero zdał sobie sprawę, jak bardzo był głodny.

- Hola! - zawołały do panny Cabot siostry, wymachując rękami, chociaż siedziały najwyżej dwa metry dalej.

- Rozwiązałyśmy zagadkę - wyjaśniła jedna podniesionym tonem.

- O tak, co to była za zagadka! - dodała druga.

- To prawda - wtrąciła ta bardziej pulchna.

- Jaka to zagadka? - zapytała panna Cabot.

- Ty nią jesteś, moja droga. Ale wszystko wydedukowałyśmy. Jesteś *lady* Altringham - rzekła dumnie mniejsza z nich.

- Och, nie! - roześmiała się panna Cabot. - Przecież ona jest dwadzieścia lat starsza ode mnie.

- Och... - westchnęła większa, rozczarowana.

- Ale miałam przyjemność ją poznać - dodała panna Cabot. - Razem z jej córką byłyśmy przedstawione.

- Ojej! - jęknęła mniejsza w uniesieniu.

- Przedstawione? - Roan liczył na wyjaśnienie.

- Królowi, proszę pana! - odparła jedna z dam wyniośle, jakby każdy to wiedział.

Roan popatrzył niepewnie na pannę Cabot.

- Czy to z powodu pani dokonań?

Panna Cabot roześmiała się radośnie.

- W żadnym razie! Umiałam jedynie dygnać.

- A ja jestem ciekawa, skąd się pan wziął, *sir*, że pan takich rzeczy nie wie! - Jedna z dam nie posiadała się ze zdumienia.

- Prawda, że całkiem nic nie rozumie? - zgodziła się z nią druga i dodała protekcyjnie: - Przecież wszyscy wiedzą, że prezentacja we dworze to najważniejsza chwila w życiu młodej damy z towarzystwa.

Roan jednak nadal nie rozumiał.

- W jakim celu się to odbywa?

- W jakim celu? - parsknęła pierwsza, wyraźnie oburzona. - Czy pan by nie chciał zostać przedstawiony królowi?

Namyślił się chwilę i uznał, że gdyby spotkanie przedłużyło wizytę w Anglii, najchętniej by odmówił.

- Skąd pan jest? - zapytała dama.

- Z Ameryki - wyjaśnił. - Z Nowego Jorku.

- A dlaczego pan przebył taką długą drogę?

Roan nie uważał, żeby to była jej sprawa, ale z grzeczności odpowiedział.

- Przyjechałem po siostrę, która spędziła w tym kraju kilka miesięcy. Czy mogę liczyć na pani aprobatę?

Kobieta nic nie odpowiedziała, tylko zwróciła się do panny Cabot.

- Skoro nie jest pani *lady* Altringham, to kim? Jaka młoda dama podróżuje bez eskorty?

Roan też się nad tym zastanawiał i tylko ciekawość powstrzymała go od wzięcia jej do ust płóciennego zawiniątka od chleba. Przyjrzał się pannie Cabot i odniósł wrażenie, że stara się ukryć poczucie winy. Mam nadzieję, że to nie druga Aurora - pomyślał.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię. Panna Cabot. Z kim mam przyjemność roz-

mawiać?

- Pani Tricklebank - odparła mniejsza. - A to moja siostra, pani Scales.

Panna Cabot zerknęła na Roana.

- Panie pozwolą, że przedstawię im pana Mathesona.

Od wymiany grzeczności ocalił Roana woźnica, który ogłosił, że dylizans odchodzi za kwadrans.

- Ojej! - zawołała pani Tricklebank, przerażona. - Chodź, Ruth. Szybciej! Nie chcemy, żeby ruszył bez nas.

Obie damy zakreśliły się wokół, zebrały bagaże i popychając się nawzajem, pobiegły do powozu, jakby dzieliło je od niego przynajmniej pół mili, a nie zaledwie kilka metrów.

Roan zawiązał resztę chleba i sera, trochę zawstydzony, jak dużo zjadł.

- Dziękuję za pani życzliwość, panno Cabot. Uzupełnię pani prowiant.

Uśmiechnęła się do niego tak promiennie, że od razu zrobiło mu się lżej na duszy.

- Proszę się nie kłopotać. Dzisiaj wieczorem będę na miejscu.

- Jest pani pewna? Te dwie damy mogą przekonać woźnicę, żeby przeprowadził dochodzenie.

Panna Cabot roześmiała się.

- Są niegroźne, tylko chyba za bardzo lubią barwę swoich głosów.

Uśmiechnęła się życzliwie i zeskoczyła z murka. Podniosła sakwojaż, a Roan zaoferował jej swoje ramię. Przyjęła je z taką delikatnością, że prawie nie poczuł jej dotyku. Nie chciałby, żeby młoda kobieta dobrego stanu narażała swoją reputację, jak zwykła to robić jego siostra.

- Jak to jest, że podróżuje pani bez opieki? - zapytał. - Bez choćby służącej?

Uśmiechnęła się rozbijającąco.

- Czy to nie dziwne, że ludzie przejmują się takimi drobiazgami?

Istotnie, drobiazg! - pomyślał Roan. Dokładnie takiej odpowiedzi mógłby się spodziewać po swojej siostrze.

- Nie przejmuję się - zaznaczył - a jedynie zastanawiam.

- Dziękuję, panie Matheson, że się pan nie przejmuję. - Uśmiechnęła się ponownie, ale tym razem z większą rezerwą.

Roan byłby gotów postawić całą swoją fortunę, że z owa piękna kobieta coś ukrywa. Dość miał już jednak w Anglii własnych kłopotów, żeby szukać następnych.

Po powrocie do pojazdu Roan zauważył, że chłopiec zajął miejsce na dachu, choć nadal tak samo ścisnął swoją zniszczoną walizkę. Pomógł pannie Cabot wsiąść, przytrzymując smukły nadgarstek i kładąc jej dłoń na plecach. Zaczekał, aż usiadła, i zajął do środka, zastanawiając się, jak mu się uda ponownie wcisnąć obok niej i naprzeciwko starca.

- A nie wygodniej byłoby panu tam? - zapytała panna Scales, wskazując skrawek siedziska między siostrą a starcem.

Po czym zwróciła się do panny Cabot.

- Ten dżentelmen zajmuje strasznie dużo miejsca.

Roan nie mógł uwierzyć, że otyła dama ponownie wytyka mu jego rozmiar. Na szczęście był dobrze wychowany i nie odpowiedział.

- Wszystko jedno, tu czy tam - odparła łagodnie panna Cabot i odrobinę przesu-

nęła się. Roan zerknął znużony na zwolniony kawałek ławki i poprosił ją wzrokiem o jeszcze jeden wysiłek. Przewróciła oczami i wepchnęła się w pulchny bok pani Scales.

Wtedy dopiero wszedł i jakoś udało mu się zasiąść na zwolnionym miejscu. Panna Cabot uwolniła ramię zza jego pleców i usiadła wyprostowana, ale tym razem jej łokieć znalazł się przy jego żebrach. Roan był pewien, że przy każdym podskoku będzie dotkliwie odczuwał jego obecność.

Kiedy powóz ruszył, pani Scales wbiła podejrzliwie wzrok w pannę Cabot.

- Czy mogę zapytać, dokąd pani jedzie, panno Cabot?

Roan poczuł, że poprawiła się w miejscu. Wyraźnie pytanie było jej nie na rękę.

- Jadę odwiedzić przyjaciółkę, która właśnie urodziła swoje pierwsze dziecko.

- Och, bobasek! - jęknęła rozanielona pani Tricklebank.

- Tak, bobasek - ochoczo zgodziła się panna Cabot. - Biedna mama poprosiła mnie, żebym jak najszybciej do niej przyjechała. To pierwsze dziecko, więc zupełnie sobie nie radzi.

- A nie przysłała nikogo po panią? - niewzruszenie dopytywała się pani Scales. - Chyba powinna pani mieć w podróży opiekę.

Odcień różu zabarwił smukłą szyję panny Cabot.

- Nie było na to czasu. Przyjaciółka nie ma nikogo do pomocy przy dziecku, a mąż jest w dalekiej podróży.

- Aha... - Pani Scales zawiesiła złowroźbnie głos.

Sytuacja stawała się dla Roana nieznośna. Jakim prawem pani Scales oceniała pannę Cabot? On też jej nie wierzył i był przekonany, że niejedno ukrywa, bowiem dobrze znał uniki młodych kobiet.

- Cóż za ciekawy zwyczaj - zauważył, spoglądając surowo na panią Scales. - Czy w każdym dylizansie odbywają się przesłuchania współpasażerów, czy tylko na tej trasie?

Pani Scales zamrugała kilka razy i wydeła wargi, a panna Cabot odwróciła wzrok i udała, że wygląda za okno. Ale Roan dostrzegł jej uśmiech.

Powóz kołysał się łagodnie na kołach i powieki pasażerów stawały się coraz cięższe. Wkrótce panna Cabot zapadła w drzemkę. Roan próbował dla przyzwoitości przerzucić jej głowę na panią Scales, ale tamta również zasnęła i nic z tego nie wyszło. Głowa panny Cabot, choć w czepku, spoczywała na jego ramieniu.

Roan też prawie zasnął, kiedy wybój na drodze potrząsnął panną Cabot, która wbiła mu łokieć pod żebra. Podejrzewał nawet przez chwilę, że zmiażdżyła mu wątrobę. Zaraz jednak powóz się uspokoił i pasażerowie spali dalej, poza starcem, który wciąż wpatrywał się w Roana.

Nagle powóz szarpnął w prawo, rzucając wszystkimi, i zatrzymał się. Z zewnątrz dało się słyszeć głośne przekleństwo woźnicy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Prudence obiała sobie podbródek o coś twardego, a jej ręka zapadła się w czymś miękkim. Pierwsza niepewna myśl była taka, że to nabita poduszka, ale kiedy otworzyła oczy, natychmiast zdała sobie sprawę, że brodą dotknęła ramienia pana Mathesona, a ręką jego... podbrzusza!

Matheson spoglądał na nią ze złośliwą satysfakcją, gdy stopniowo docierała do niej bezlitosna rzeczywistość. Jęknęła z rozpaczy i poczuła, że policzki jej czerwienieją. Natychmiast się wyprostowała i poprawiła czepek.

- Co się stało? - zapytała, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, żeby nawet skrawkiem ubrania nie dotykać Mathesona. Niestety, chociaż usiadła na samej krawędzi ławki, jej biodro nadal stykało się z jego udem i czuła przez sukienkę każde napięcie silnych mięśni.

Sytuacja była dwuznaczna i dziwnie dla Prudence ekscytująca. Znieruchomiała na kilka sekund, żeby zapamiętać wrażenia tej chwili.

- Spodziewam się, że połamaliśmy koło - odpowiedział Matheson. W tym samym momencie konie szarpnęły powóz, który przechylił się na prawy bok. Woźnica zaklął znowu głośno i siarczyście. Pulchne damy spąsowiały.

Matheson chwycił za klamkę i wyskoczył na zewnątrz jak wystrzelony z procy, zostawiając za sobą oniemiałych towarzyszy podróży. Pojazd przechylał się niebezpiecznie na bok zajmowany przez dwie damy. Prudence uznała, że jeśli obie w jednej chwili zechcą wysiąść, tak jak miały w zwyczaju, powóz może się całkiem przewrócić. Na wszelki wypadek sama też wyskoczyła na drogę i wylądowała na plecach woźnicy, który stanął przy drzwiach właśnie po to, żeby pomóc pasażerom wysiąść.

- Co się stało? - zapytała go, korzystając z okazji.

- Obręcz nam trzasnęła, panienko - wyjaśnił.

Pośród mężczyzn, którzy oglądali zniszczone koło, Prudence dostrzegła Mathesona. Nie miała jednak pojęcia, czy zna się na kołach, czy też znalazł się tam wyłącznie z ciekawości.

Między zebranymi rozgorzała dyskusja, tymczasem Matheson przykucnął i sięgnął ręką pod podwozie, drugą trzymając się boku powozu. Nawet jej się spodobała ta niezwykła swoboda, z jaką podchodził do zagadnień mechanicznych. Nie spotkała dotąd dżentelmena, który osobiście angażował się w ich rozwiązywanie.

Wyprostował się i wytarł rękę o spodnie, zostawiając smugę smaru, jednak nie zrobiło to na Prudence złego wrażenia, a nawet wydało się jej przewrotnie pociągające.

- Oś jest cała - zawyrokował.

Pomiędzy mężczyznami rozgorzała gorętsza dyskusja. Wyglądało na to, że nie zgadzają się ze sobą. W końcu woźnica poprosił damy i starca, aby odeszli od powozu i nie przeszkadzali w naprawie.

Mężczyźni zebrali, co było pod ręką, żeby podłożyć pod dyliżans na czas zdejmowania koła.

- Mój sakwojaż! - zawołała Prudence, skoczyła na ratunek i w ostatniej chwili wyrwała torbę podróżną z rozgorączkowanych dłoni.

Pani Tricklebank i pani Scales znalazły sobie do siedzenia głązy ocienione konarami drzewa, biorąc pod swoje skrzydła starca i chłopca. Dla Prudence nie wystarczyło miejsca, więc przysiadła przy drodze na kufrze.

Powóz ustawiono na kamieniach i bagażach, następnie zdjęto koło. Pan Matheson był w centrum wydarzeń i używał swej niezwykłej siły. Prudence zastanawiała się, czy w swojej pracy zarobkowej ma na co dzień do czynienia z pojazdami, bowiem nie znajdowała innego wytłumaczenia jego zaangażowania. Ludzi do pracy nie brakowało. Jedyne, co jej przychodziło do głowy, to to, że z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu lubił taką pracę.

Starzec sarkał przez chwilę i kręcił się niespokojnie, szukając wygodnej pozycji, aż siostry znalazły się na skraju głązów.

- Co prawda jest nieokrzesanym Amerykaninem - zauważyła z westchnieniem pani Scales - ale bez wątpienia przystojny z niego mężczyzna.

Prudence zamrugowała kilka razy ze zdumienia. Spojrzała na panią Scales i zobaczyła, że razem z siostrą otwarcie podziwiają pana Mathesona.

- Pani Scales, jest pani wulgarna! - odezwała się pani Tricklebank, nie przestając pożerać Mathesona wzrokiem. Obie przechylały głowy jak kwoki, napawając się jego muskularną figurą. Istotnie, otaczający go Anglicy sprawiali przy nim anemiczne wrażenie.

Matheson zdjął marynarkę i Prudence wyraźnie dojrzała pod cienką koszulą rysującą się mięśnie grzbietu. Muskularne uda naprężyły się, kiedy się pochylił. Ciepłe ciarki przebiegły jej po plecach. Rozpięła dwa górne guziki koszuli.

- Gorące dziś popołudnie... - zauważyła, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Nikt też jej nie odpowiedział.

W trakcie tego przedstawienia rozgorzała między mężczyznami kolejna dyskusja. Tym razem woźnica wczołgał się pod dyliżans, aż wystawały tylko jego buty, a pozostali zabezpieczali niepewnie stojący pojazd. Kiedy wreszcie woźnica wyczolgał się na zewnątrz, przekazał im wiadomość tak złowroźbną, że wywołała jeszcze gorętszy spór.

- Dość! - zawołał w końcu woźnica.

Matheson oddalił się od grupy na kilka kroków i wziął głęboki oddech.

- Jak myślisz, czym się zajmuje? - zapytała rozmarzona pani Scales, całkiem nieporuszona toczącą się kłótnią. - Wydaje się taki... silny!

- Niezwykle - przyznała pani Tricklebank. - Może to kowal?

- Za dobrze się ubiera jak na kowala - wtrąciła Prudence.

Pani Tricklebank wyciągnęła wachlarz, rozłożyła go z trzaskiem i zaczęła się energicznie wachlować.

- Ma pani rację, raczej nie pochodzi z gminu.

Matheson odwrócił się i wrócił do powozu, gotów stawić czoło pozostałym. Poluzował kołnierz, przemówił surowo i podkasał rękawy, ukazując przedramiona grube jak sztachety, po czym podszedł do koła i podniósł je wysoko.

Siostry westchnęły, a Prudence razem z nimi. To był niespodziewany pokaz nadzwyczajnej siły. Prudence chętnie by zobaczyła, co Matheson zamierzał zrobić, ale woźnicy jego pomysł najwyraźniej się nie spodobał. Matheson oddał mu więc koło, chwycił marynarkę i odszedł od powozu.

Kiedy Matheson mijał kobiety, pani Tricklebank zawołała:

- Co się stało?

- Co się stało? - warknął Matheson i odwrócił się twarzą do dam. - Już wam mówię, co się stało. Ten głupiec, woźnica, woli czekać na następny dyliżans, zamiast samemu naprawić koło.

Ze złością rozwinął rękawy i zerknął przez ramię.

- Można by się spodziewać, że człowiek utrzymujący się z powożenia będzie miał przy sobie przynajmniej najprostsze narzędzia.

Włożył marynarkę i przeciągnął ręką po włosach. Mruknął jeszcze coś pod nosem i na dobre odwrócił się od powozu. Zrobił kilka kroków w stronę łąki i stanął plecami do kobiet na szerokich nogach i ze skrzyżowanymi ramionami.

Przez chwilę Prudence myślała, że zamierza odejść. Mogła sobie nawet wyobrazić, jak Matheson wchodzi w wysoką trawę i z zaciśniętymi zębami maszeruje aż na brzeg morza, gotów wsiąść na pierwszy statek do Ameryki, jaki napotka.

- Dlaczego tak go to zmartwiło? - zapytała pani Scales.

- Bo Bóg jeden wie, kiedy nadjedzie następny dyliżans! - zawołał do niej przez ramię.

Kobiety wymieniły znaczące spojrzenia. Wszyscy wiedzieli, że każdego dnia przemierzały tę trasę dwa dyliżanse oraz poczta królewska. Nie było wątpliwości, że wkrótce nadjedzie pomoc, ale nikt nie powiedział tego Mathesonowi, gdyż sprawiał on wrażenie skrajnie wzburzonego. Jego rozdrażnienie nagle wydało się Prudence zabawne. Starła się zachować powagę, ale nie udało się jej powstrzymać uśmiechu.

Niestety właśnie w tym momencie pan Matheson odwrócił się w ich stronę. Na widok jej rozbawienia surowo zmarszczył czoło.

- Co to znaczy? Dlaczego pani się uśmiecha? - zapytał ze złością. - Czy zrobiłem coś śmiesznego?

Wszystkie głowy zwróciły się na Prudence, co jeszcze bardziej ją rozbawiło. W akcie desperacji pochyliła głowę i zakryła usta ręką, ale od powstrzymanego śmiechu drżały jej ramiona.

- Po prostu wspaniale! - rzekł na to Matheson, nie zdradzając oznak zniecierpliwienia ani nawet zdziwienia.

- Proszę mi wybaczyć - odparła Prudence i wstała, chociaż nie przestawała się uśmiechać. - Bardzo proszę... ale jest pan tak poirytowany...

Zmierzył ją wzrokiem, jakby nie rozumiał ani słowa. Czuła jego spojrzenie na ramionach i piersiach, gdzie spoczęło na dłużej.

- Oczywiście, że jestem poirytowany! - przyznał, a Prudence nie umiała rozstrzygnąć, czy nie podoba mu się to określenie, czy też fakt, że ona nie jest również rozeźlona. - Mam do załatwienia ważną sprawę, a te wszystkie opóźnienia mogą doprowadzić do prawdziwej katastrofy!

- Najpierw pojechał pan w niewłaściwym kierunku, a teraz pękła obręcz?

Wbił w nią złowrogie spojrzenie.

- Och, przepraszam, nie wiedziałam, że to była tajemnica. Ale wkrótce nadjedzie następny dyliżans - dodała radośnie. - Codziennie jeżdżą tędy jeszcze co najmniej dwa dyliżanse.

- To wspomniała wiadomość, panno Cabot - odparł cierpko. - A czym się zajmiemy podczas oczekiwania? Może jednak powinniśmy spróbować rozwiązać nasz problem?

- Ja na pewno nie będę czekała na stojąco - oznajmiła dumnie pani Scales.

Nikt nie rwał się już do pracy. Mężczyźni porozsiadali się na bagażach, damy i starzec na kamieniach, tylko pan Matheson wyrażał parskaniem swoje zniecierpliwienie i krążył w tę i we w tę. Od czasu do czasu przystawał i wyglądał, mrużąc oczy, tam skąd przyjechali, jakby starał się przebić wzrokiem zagajnik, za którym ginął zakręt drogi. Potem wracał, mijał mężczyzn siedzących przy kole, dochodził do łąki i chwilę później powtarzał marszrutę.

Pani Scales przyglądała się Prudence równie wytrwale, jak ona wodziła wzrokiem za Mathesonem.

- Wspominałaś, że nie było nikogo, kto by cię mógł eskortować, kochanie? - zapytała nagle.

Prudence miała już dość jej wścibstwa, ale na szczęście wychowała się z trzema siostrami i umiała sobie doskonale radzić z intrygami. Uśmiechnęła się słodko.

- Nic takiego nie mówiłam, pani Scales. Skąd pani to przyszło do głowy? A może znajdziemy sobie jakąś rozrywkę na czas oczekiwania?

- Co tu można robić? - parsknęła Scales.

- Zorganizować zawody - zaproponowała naprędce Prudence.

- Litości! - jęknął Matheson.

- Właśnie tak! - upierała się Prudence.

- Jakie zawody? - dziwiła się pani Scales. - Nie mamy kart ani gier.

- Wyścigi - wtrąciła się podniecona pani Tricklebank. Zarówno siostra, jak i starzec posłali jej lodowate spojrzenie.

- A kto twoim zdaniem miałby wziąć w nich udział, Nino?

- Może wybierzemy inny rodzaj rywalizacji? - podsunęła Prudence. - Na przykład...

- Zawody strzeleckie.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział przy nich starzec. Wszystkie oczy zwróciły się na niego i przez chwilę panowało milczenie.

- Myślałam raczej o zagadkach lub innej, spokojniejszej dyscyplinie... - zastanowiła się Prudence. - Ale dobrze, niech będą zawody strzeleckie.

- To absurdalne! - wykrzyknęła pani Scales. - A poza tym, kto weźmie w nich udział?

- Panowie na pewno - zdecydowała Prudence. - Jeszcze nie spotkałam dżentelmena, który unikałby rywalizacji.

- Nie jestem pewien, czy chciałbym widzieć broń palną w rękach naszych towarzyszy podróży - wtrącił Matheson.

Prudence rozejrzała się po beczynnych mężczyznach i musiała mu w duchu przyznać rację. Ale pani Scales patrzyła na nią z taką uwagą, że nie mogła się wycofać.



- W takim razie ja będę w nich uczestniczyła.

Propozycja Prudence wywołała lawinę prychnięć, a pan Matheson otwarcie się roześmiał.

- To niedorzeczne!

Prudence otworzyła usta ze zdziwienia.

- Skąd ta pewność? - zaprotestowała. - Uczyłam się strzelać.

- A po cóż to, na Boga? - zawołała pani Scales w świętym oburzeniu. - Jest tak, jak się obawialiśmy, pani Tricklebank. Społeczeństwo się rozpada, damy już nie są damami!

Prudence poczuła się teraz podwójnie urażona.

- Słucham? To chyba oczywiste, nauczyłam się strzelać, bo to pasjonujący sport!

- W tej sprawie nie ma nic oczywistego. - Pani Scales otworzyła z trzaskiem wachlarz i zaczęła się wachlować do taktu z panią Tricklebank.

- Podoba mi się ten pomysł - oznajmił nagle pan Matheson. Skrzyżował ramiona i przyglądał się Prudence z uśmiechem. Czy mu błyszczały. - Nawet bardzo. Możemy na razie ograniczyć rywalizację do nas dwojga, a potem każdy będzie mógł stać w szranki ze zwycięzcą.

Prudence rozejrzała się po zebranych. Spodziewała się, że jakiś dżentelmen podejmie wyzwanie, ale nikt się nie wyrywał.

- Co dalej, panno Cabot? - odezwał się Matheson. - Przecież to był pani pomysł.

Teraz nie wydawał się Prudence już taki dobry. Zazwyczaj nie wypowiadała się tak śmiało i bezczelnie. Miała okazję spojrzeć na świat oczyma swoich aroganckich sióstr, jednak wciąż zadawała sobie pytanie, jak one to robią. Jak udaje im się przejść od słów do czynów?

Pan Matheson przyglądał się jej stanowczo zbyt niecierpliwie. Sprawiał wrażenie, jakby się nie mógł doczekać, kiedy wreszcie włoży w jej rękę pistolet. Uśmiechnął się szerzej.

- Może zechcą państwo robić zakłady? - zaproponował, zwracając się w stronę dam.

- Zakłady! - ucieszył się starzec.

- Och, tak! - zgodziła się pani Scales. - Umiem docenić dobry zakład.

Natychmiast sięgnęła do torebki. Prudence patrzyła na nią jak oniemiała. Pani Scales podniosła nagle wzrok.

- Tak? - rzuciła zniecierpliwiona. - Przecież sama pani zaproponowała.

- Dobrze - zgodziła się Prudence niechętnie. Wyrzucała sobie niemądry pomysł. Co prawda, uczyła się strzelać, bo hrabia, jak mówiła na swojego ojczyma, nalegał, aby pasierbice uprawiały jeździectwo, strzelanie z broni palnej, łucznictwo i uczestniczyły w polowaniach. W tych dyscyplinach miały osiągnąć taką biegłość, żeby bez trudu rywalizować z mężczyznami. Niestety, Prudence tak długo nie miała już z mężczyznami do czynienia, że całkiem wyszła z wprawy.

- Będziemy potrzebowali celu - podsunął Matheson tonem niekwestionowanego faworyta. Prudence zauważyła, że ta maniera jest równie irytująca w przypadku Amerykanów, co Anglików.

- Ja coś mam - powiedział starzec i wyjął z kieszeni butelkę. Podniósł ją do ust, wypił resztę zawartości i podał Mathesonowi.

- Doskonały cel - oświadczył. - Dziękuję panu.

Wyraźnie bawiła go ta sytuacja. Mrugnął nawet do Prudence, kiedy ją mijał. Butelka wydała się jej bardzo mała.

- Nie mam pistoletu - zauważyła w nadziei, że będzie to wystarczający argument do rezygnacji z zawodów.

- Proszę skorzystać z mojego - odparł Matheson i wyjął broń. - Sugeruję, żeby zdjęła pani rękawiczki.

Siostry prześcigały się w niemych zachwytach nad zachowaniem Mathesona, który odszedł kilkanaście kroków i postawił butelkę na kamieniu.

Kiedy wrócił, nakreślił obcasem linię na ziemi.

- Proszę mi podać rękę - zwrócił się do Prudence.

- Moją rękę?

Niecierpliwie chwycił jej dłoń i wcisnął w nią pistolet. Zamknął jej palce na rękojeści, ścisnął lekko i uśmiechnął się szelmowsko.

- Damy mają pierwszeństwo - powiedział i cofnął się o krok.

Prudence przyjrzała się broni. Miała perłową rękojeść i srebrną lufę, przypominała pistolet, którym chwalił się przed kolegami jej przyrodni brat, Augustine. On jednak trzymał broń w szkatułce w Beckington House, a nie przy sobie. Pistolet Mathesona był też mniejszy od tego, z którego uczyła się strzelać.

- Umiesz go obsługiwać, prawda? - zapytał, gdy oczekiwanie się przedłużało.

- Tak! - Podniosła pistolet w górę. - To chyba jest spust?

- Mogłem to przewidzieć. - Zrobił krok do przodu, chwycił jej nadgarstek i obrócił ją plecami do siebie. - Czułbym się spokojniej, gdyby pani nie mierzyła nim we mnie.

- Och, bardzo mi przykro.

Pochylił się nad jej ramieniem i wymierzył trzymany przez nią pistolet w cel. Pokazał też, jak odciągnąć iglicę.

- Czy życzy sobie pani próbną rundę?

- Nie ma takiej potrzeby. - Chciała mieć cały ten cyrk jak najszybciej za sobą.

Kącik jego ust uniósł się nieznacznie i Prudence musiała szybko odwrócić wzrok. Kształt jego pełnych ust rozpraszał ją, a potrzebowała absolutnej koncentracji.

- Ogłaszam rozpoczęcie konkursu - oznajmił Matheson i cofnął się do grupki mężczyzn, którzy podeszli bliżej.

Mierząc do celu, Prudence słyszała za plecami przytłumione rozmowy i brzęk monet wpadających do kapelusza, który starzec pożyczył od młodzieńca na zakłady.

- Proszę zaczynać, panno Cabot, nie chcemy, żeby nas tu noc zastała - rzucił Matheson, a ktoś zachichotał.

Prudence rzuciła mu przez ramię lodowate spojrzenie i uniosła broń. Pistolet był ciężki, a butelka ledwo widoczna. Miała wrażenie, że dzieli ją od niej wielka odległość. Ręka zaczęła jej drżeć. Zamknęła jedno oko, wycelowała i pociągnęła za spust.

Brzęk tłuczonego szkła przestraszył ją niemal równie mocno, jak odrzut broni. Nie spodziewała się, że w ogóle trafi, a już na pewno nie w sam środek butelki. Westchnęła zachwycona i obróciła się w miejscu.

- Widzieliście? - zapytała z dumą.

- Oczywiście, że tak - zachnęła się pani Scales. - Przecież jesteśmy tuż za tobą!

Prudence pisnęła z radości.

- Teraz pana kolej, panie Matheson - zawołała pogodnie. Dwóch mężczyzn podeszło obejrzeć rozbitą butelkę. - Wygląda na to, że będziemy potrzebowali nowego celu.

Ukłoniła się i podała mu pistolet.

Cień uśmiechu przemknął po jego twarzy.

- Rzeczywiście - odrzekł i spojrział na nią tak, jakby podejrzewał, że wygrała za pomocą jakiejś sztuczki. Wziął broń, którą Prudence wyciągała do niego w uroczystym geście.

- Mam cel! - zawołała pani Scales i podniosła nad głowę małe lusterko.

- Ruth, to przecież prezent od pana Scalesa!

- Cyt! Przecież może mi dać następne, prawda? Proszę robić zakłady!

Ktoś wziął od niej lusterko i zaniósł na miejsce butelki.

- Proszę patrzeć, panno Cabot, jak należy strzelać - zawołał pan Matheson i podszedł do linii. Jedną rękę założył za plecy, w drugiej wyciągnął pistolet, wymierzył i strzelił. Lusterko stoczyło się z kamienia. Dwaj dżentelmeni poszli się mu przyrzec, a Prudence szybko do nich dołączyła, żeby zobaczyć na własne oczy. Jeden nachylił się za kamieniem i podniósł lusterko w górę. Było prawie nietknięte, jedynie jeden róg ramki odłamał się albo został odstrzelony.

- Wygrałam! - krzyknęła Prudence radośnie. - Spudłował pan!

- Nic podobnego - bronił się Matheson, wskazując odpryśnięty róg. - Przecież kawałka brakuje.

- To był rykoszet - zauważył jeden z mężczyzn. - Tutaj trafił pan w kamień, widać ślad. A pocisk...

- Tak, tak, widzę - przyznał Matheson niechętnie. - Tak czy inaczej, cel został trafiony. Mamy remis.

- Kto więc otrzyma nagrodę? - poskarżyła się pani Scales, gdy nagle doszedł ich turkot kół powozu.

Prudence nie usłyszała odpowiedzi na to pytanie. Na chwilę serce zamarło jej w piersi, gdy zobaczyła nadjeżdżający pojazd. To nie był drugi dyliżans, lecz powóz doktora Linforda. Serce Prudence podskoczyło jej do gardła. Ogarnęła ją panika. Wystarczyłoby, żeby doktor Linford ją zobaczył, a nie tylko przejrzałby jej fortel, ale też zażądałby, aby udała się z nim w dalszą drogę. O wszystkim dowiedziałaby się jej szwagier, lord Merryton, i byłby bardzo niezadowolony okazaniem przez nią brakiem przyzwoitości. Zawsze przykładął dużą wagę do reputacji i dobrego imienia rodziny. Hojnie łożył też na utrzymanie Prudence, Mercy i ich matki, więc owa wpadka mogła się okazać tragiczna w skutkach.

Rozglądała się przerażona za jakąkolwiek kryjówką, ale łąka była porośnięta zbyt nisko i jedynie potężna postać Mathesona mogła jej zapewnić osłonę.

- Co, u licha?

Matheson spróbował się odwrócić, ale Prudence przytrzymała go za ramię.

- Błagam, proszę nic nie mówić!

- Czy pani się chowa? - zapytał.

- To chyba widać!

- Dobry Boże - mruknął i znieruchomiał. - Panno Cabot...

Prudence była przekonana, że zaraz kategorycznie rozkaże jej wyjść z za swoich pleców.

- Widać pani piórko - dokończył.

- Bardzo pana proszę, zapłacę panu...

- Zapłaci pani? Niech to szlag, piórko pani wystaje!

Nagle zrozumiała. Piórko od kapelusika! Szybko wyrwała je i rzuciła na ziemię. Przycisnęła się do jego pleców, niemal zlewając się z nim w jedno. Czuła bijący od niego zapach i ciepło jego ciała. Przycisnęła policzek do jego pleców i przez ułamek sekundy czuła się całkowicie bezpieczna.

- Co pani robi? - zapytał łagodnie.

- Chowam się - szepnęła. - Przecież mówiłam.

- Rozumiem, że się pani chowa, ale pani mnie też dotyka!

- Oczywiście! - szepnęła zirytowana. - Gdybym mogła, zaszyłabym się pod pana marynarką! Na tym polega chowanie się!

- Dzień dobry! - usłyszała wołanie doktora Linforda. - Czy możemy w czymś pomóc?

Była pewna, że jej godzina wybiła. Czekają ją poniżenie przed Mathesonem i towarzyski skandal, a i tak wszystko to wydawało się jej nieistotne wobec faktu, że Mathesonowi nie spodobało się, że go dotknęła.

- Odwróć się - rzekł.

- Nie - pisnęła Prudence głosem, który przypominał wręcz skomlenie. - Błagam...

- Odwróć się i idź w stronę drzew za głazami. Nikt cię tam nie dojrzy, a nawet jeśli, to nie rozpoznają cię z takiej odległości.

- Nie mogę...

- Nie może pani pozostać zbyt długo za moimi plecami, panno Cabot. To dopiero wygląda podejrzanie! Proszę iść, a ja panią zasłonę.

Odjęła policzek od bezpiecznego ciepła jego pleców. Miał oczywiście rację; nie mogła długo się za nim ukrywać. Zerknęła na drzewa, o których mówił.

- Panno Cabot?

- Tak? - odpowiedziała z uczuciem.

- Proszę puścić mój płaszcz i się odwrócić.

- Och. Już... - Niechętnie posłuchała i spróbowała wygładzić zmarszczki, które powstały od jej kurczowego chwytu.

Matheson rozprostował ramiona i poprawił mankiety.

- Odwróciła się pani?

- Tak - odparła i zrobiła zwrot. - Teraz.

- W takim razie proszę iść, zanim pasażerowie zaczną się zastanawiać, dlaczego udaję drzewo na środku tej łąki.

Prudence wykonała jego polecenie, nerwowo zaciskając dłonie. Szybkim, miękkim krokiem ruszyła w stronę drzew, całą siłą woli powstrzymując się od biegu. Kiedy dotarła do bezpiecznego cienia drzew, odwróciła się szybko i zderzyła z piersią Mathesona.

Chwycił ją za łokieć i nachylił się, zaglądając jej stanowczo w oczy pod skrajem czepka. Prudence miała wrażenie, że przejrzał ją na wylot.

- Zadam pani jedno pytanie i chcę usłyszeć prawdę. Czy pani ma kłopoty?

- Nie! - odparła z całym przekonaniem. Właśnie udało jej się ich uniknąć. - Nic podobnego.

- Czy mam na to pani słowo?

Prudence zadrżała. Miała wrażenie, że Matheson wie o niej wszystko. Odwróciła głowę, ale on położył jej rękę na policzku i zmusił, żeby popatrzyła mu w oczy. Otworzyła usta, ale szybko zmieniła zdanie i tylko pokiwała głową.

Matheson przyglądał się jej z uwagą przez dłuższą chwilę. Prudence uznała, że szuka oznak nieszczerości, i czuła się całkiem bezbronna. Spuściła wzrok z jego złotobrzązowych oczu i zatrzymała się na ustach. Była pewna, że nigdy wcześniej nie spotkała mężczyzny z takimi ustami. Nawet teraz, kiedy bała się o swoje bezpieczeństwo, na ich widok ogarniało ją niewytłumaczalne uniesienie.

- Proszę tu poczekać - rzekł i ruszył z powrotem do dyliżansu.

Na miejscu toczyła się żywa dyskusja, a w samym jej centrum znajdowała się pani Scales. Pan Matheson wskazał ręką powóz Linfordów. Pani Scales podniosła z ziemi swoją torbę i koszyk z prowiantem i ruszyła tam pospiesznie, a siostra deptała jej po piętach. Przy drzwiczkach powozu wybuchł jednak następny spór.

Kilkoro osób przerzuciło bagaże i po chwili pani Scales, pani Tricklebank i starszy pan wsiedli do powozu Linfordów. Powóz ruszył, ominął ostrożnie unieruchomiony dyliżans i podążył w dalszą drogę.

Prudence odetchnęła z ulgą. Uśmiechnęła się szeroko, kiedy było już jasne, że udało się jej całkiem uniknąć spotkania z doktorem Linfordem. Pogratulowała sobie sprytu. Nigdy nie sądziła, że jest podstępna, a okazało się, że przebiegłość ma we krwi. Ogarnęło ją uniesienie. Nareszcie w jej życiu wydarzyło się coś ciekawego! Nie minął nawet jeden dzień, a już czuła, że odzyskuje pewność siebie.

Powóz Linfordów zniknął i pan Matheson zaczął iść w jej stronę. Wyciągał nogi, aż unosiły się za nim poły jego płaszcza. Prudence była pewna, że nie zrobiła nic złego. Świetnie się bawiła w towarzystwie przystojnego dżentelmena i nikt nie mógł się o niczym dowiedzieć. Do domu Cassandry przyjedzie o czasie i nikt nawet nie będzie przypuszczał, że miała tyle przygód!

Naraz przyszła jej do głowy straszna myśl. Co będzie, jeśli pani Scales albo pani Tricklebank wspomną jej nazwisko pani Linford? Na pewno domyśli się nawet tego, że celowo uniknęła spotkania, chowając się w lesie!

W jednej chwili z euforii popadła w przerażenie. Ta przygoda mogła całkowicie zrujnować jej reputację! Czy była jeszcze dla niej nadzieja?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Z każdym krokiem Roana panna Cabot coraz bardziej chowała głowę w ramionach, co niewątpliwie świadczyło o tym, że miała coś na sumieniu. Coraz bardziej przypominała mu Aurorę. Roan kochał siostrę, wręcz uwielbiał ją – ale była też najbardziej bezczelną kobietą, jaką spotkał w życiu. Bez troską, niedbającą o konsekwencje swoich czynów i przez to wciąż na nie narażoną. Oczywiście na swój ponury sposób podziwiał jej niezależność, jednak nie mógł jej bezwarunkowo ufać.

Kiedy patrzył na pannę Cabot, która wyglądała tak, jakby chciała uciec, ogarniała go podobna nieufność. Roan miał ochotę złapać ją za ramiona i porządnie potrząsnąć, powstrzymał się jednak. Podparł się pod boki i wbił w nią nieubłagane spojrzenie.

– Dobrze więc – mruknął ponuro. – Siostrzyczki pojechały. Może pani spokojnie wyznać swoje grzechy.

– O czym pan mówi? Nic takiego nie zrobiłam – odparła bez przekonania.

– Kradzież? – zapytał beznamiętnie.

Oddech uwiązł jej w gardle.

– Morderstwo?

– Panie Matheson!

– Proszę nie udawać niewiniątka, panno Cabot. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego pani miałaby się ukrywać przed doktorem.

Panna Cabot zbladła. Nie miała nic na swoją obronę; przygryzła nawet dolną wargę, co w mniemaniu Roana było u kobiety tożsame z przyznaniem się do winy. Nie wiedział tylko, czy powinien udzielić jej nagany, czy samemu też ugryźć jej wargę. Ten drugi pomysł wydał mu się niezwykle kuszący, ale wtedy pomyślał ponownie o Aurorze i pokusa ustąpiła jak ręką odjął.

– Proszę natychmiast przyznać, że pani miała podróżować tamtym powozem.

Prudence uniosła głowę i ścisnęła się rękami w talii.

– Tak – przyznała.

Roanowi przeszło przez myśl wiele możliwych wersji wydarzeń. Żadna nie była zbyt korzystna.

– Czy on jest... czy ma pani z nim romans?

– Co? Nie! – odparła, czerwieniejąc.

– Może jest pani z nim zaręczona? – zapytał na wypadek, gdyby unikała zawarcia małżeństwa. Tak właśnie mogłaby się zachować Aurora.

– Przecież on jest żonaty, nie widział pan jego żony?

– W takim razie o co chodzi, panno Cabot? Dlaczego chowała się pani za drzewami jak kryminalistka? – Myśl o Aurorze rozbudziła w nim wściekłość.

– Nie jestem kryminalistką! – zapewniła gorąco.

– Hmm... – mruknął Roan z powątpiewaniem.

– To prawda... – Podniosła rękę. – To prawda, że doktor Linford miał mnie od-

wieźć do Himple, gdzie czekać będzie pan Bulworth, który z kolei zabierze mnie do mojej przyjaciółki Cassandry. Ale dylizans też się zatrzymuje w Himple.

Roan czekał na dalszą część tej historii. Przynajmniej na wyjaśnienie, dlaczego w ogóle wybrała dylizans, ale panna Cabot wzruszyła ramionami, jakby powiedziała dość.

Matheson był innego zdania.

- Dlaczego pani z nim nie pojechała? Po co pakować się do przepełnionego dylizansu z szemranym towarzysztwem, skoro mogła pani podróżować powozem na resorach? - dopytywał się.

Panna Cabot położyła rękę na czole.

- Trudno to wytłumaczyć.

- Tak? Jedyna trudność polega na tym, że nie umie pani otwarcie powiedzieć, co zrobiła. Trudno mi sobie nawet wyobrazić... - Roanowi zaświtała nagle inna myśl i w jednej chwili ogarnął go gniew. Chwycił ją za łokieć. - Czy on próbował... panią wykorzystać?

Spojrzał przez ramię na współpasażerów. Był gotów wyprząc konia i dogonić łajdaka na oklep, gdyby się okazało, że jego podejrzenia są słuszne. Złamałby mu kark...

- Ależ nie! Doktor Linford jest dobrym, uczciwym człowiekiem!

- Więc o co tu, do cholery, chodzi?

Panna Cabot wyprostowała się dumnie i wyrwała rękę z jego uścisku.

- Nie muszę się przed panem tłumaczyć, panie Matheson.

- To prawda - przyznał. - A ja nie muszę pani pomagać. Wyjaśnię woźnicy, że przy pierwszej sposobności należy poinformować pani opiekunów...

- Dobrze! - skapitulowała. - Spodziewałam się, że podróż z Linfordami będzie nużąca. Wybrałam dylizans, bo miałam wrażenie, że będzie...

Machnęła ręką. Roan nie domyślił się, co miała na myśli.

- Że dylizans będzie jaki?

Omiotła go szybkim spojrzeniem i zarumieniła się.

- Ciekawszy - wyjaśniła pod nosem.

Ta odpowiedź nie miała dla Roana najmniejszego sensu. W jego przekonaniu wybór pomiędzy wygodnym, wyściełanym pluszem powozem a twardymi ławkami w dylizansie był oczywisty, tym bardziej dla damy. Pomysł wydał mu się tak absurdalny, że wybuchnął szczerym śmiechem.

Panna Cabot otaksowała go wzrokiem.

- Cieszę się, że pana rozbawiłam.

- Rozbawiła mnie pani? Jestem po prostu porażony pani niefrasobliwością!

Jęknęła urażona i odwróciła do niego plecami. Zamierzała pójść w las, na oślep. Roan jednak pochwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Dobrze już, dobrze. Niech pani trochę poluzuje gorset - powiedział. - Jednak dylizans? Pani wybaczy, ale to chyba najgorszy środek transportu, jeśli pominąć morze. Dlaczego miałoby to być dla pani ciekawe? Już przyjemniejszy byłby spacer... po rozżarzonych węglach!

Wyrwała mu się i złożyła ręce na brzuchu. Spojrzała na niego kątem oka i zarumieniła się mocniej.

- Żałuję, że to dla pana nie do pojęcia.

Roan zamrugał. Powoli docierało do niego, co mogły znaczyć jej słowa, i ta myśl sprawiła mu dużą przyjemność.

- Rozumiem - rzekł jowialnie, uśmiechając się szeroko.

- Wcale pan nie rozumie.

- A jednak... Chciała pani podróżować ze mną - powiedział i trącił ją łobuzersko w ramię.

- Nadmiernie pan sobie pochlebia - odparła ze złością.

- Nie muszę, zrobiła to już pani za mnie. - Ukłonił się teatralnie. - Przyznaję, jestem zaskoczony. Oczywiście, w Nowym Jorku nie mogę się opędzić od propozycji, przecież jestem przystojny i mam znaczny majątek... - droczył się z nią.

- Jednak podziw tak uroczego angielskiego kwiatuszka niezwykle poruszył moje serce - dodał.

- Dobry Boże, chyba umrę - jęknęła panna Cabot i odwróciła głowę.

Roan roześmiał się.

- Proszę, niech pani tego nie robi. - Położył jej rękę na ramieniu i odwrócił ją z powrotem do siebie. - Jest pani zbyt urocza, żeby umierać, szczególnie po tym wszystkim, przez co już pani przeszła.

Ścisnął jej ramię. Chciał już ją wypuścić, ale zamiast tego jego dłoń osunęła się na jej nadgarstek.

Prudence cmoknęła z niesmakiem i odwróciła głowę.

- Przekomarzam się z panią, panno Cabot. I muszę przyznać, że jest mi naprawdę bardzo przyjemnie. - Położył rękę na jej talii i przyciągnął ją odrobinę bliżej. - Pochlebia mi zainteresowanie kogoś tak pięknego jak pani.

- Och, Boże! - jęknęła i zaczerwieniła się po uszy. - Proszę się ze mną nie drażnić. Już i tak jestem przerażona.

Nie próbowała jednak się uwolnić z jego uścisku.

- Tym razem mówiłem szczerze. Choć jednak sprawia mi to wiele przyjemności, wie pani równie dobrze jak ja, że nie powinna się włóczyć po ostępach z obcymi mężczyznami. Ktoś mógłby wykorzystać sytuację. Podczas następnego postoju wynajmę dla pani osobny powóz do samego Hipple.

- Himple! - poprawiła go i niechętnie zrobiła krok w tył. - Sama tam dotrę, proszę się mną nie przejmować.

Zupełnie jak Aurora, pomyślał i wspomniął jej słowa: „To moje życie i mogę je sobie zrujnować. Nie powinienes się mną tak bardzo przejmować”.

- To bardzo ważne, panno Cabot. Chyba pani nie chce, żeby jedna nierozważna chwila całkiem zrujnowała pani życie?

- Ma pan rację, to jest istotne. Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Gorzej już raczej nie będzie.

Cóż to ma znaczyć? - zastanawiał się Roan. - Dlaczego twierdzi, że już jest stracona? A może, podobnie jak Aurora, ma skłonność do nadmiernego dramatyzowania?

- Hola! Dyliżans! - zawołał ktoś od strony drogi. Pozostali pasażerowie podnieśli okrzyki radości i zaczęli zbierać bagaże. Drugi dyliżans przystanął za pierwszym. Roan popatrzył przez ramię, po czym znowu spojrzął na pannę Cabot. Chłonał jej



pełne usta oraz rumieńce na policzkach i zastanawiał się, dlaczego najbardziej pociągają go kobiety, które sprowadzają na niego kłopoty. Po Susannie Pratt nie spodziewałby się, że kiedykolwiek zdobyłaby się na takie zachowanie. Dlatego właśnie byłaby z niej doskonała żona. Tak w każdym razie sobie w duchu powtarzał. Nie zaproponował jej jeszcze małżeństwa, ale tego właśnie od niego oczekiwano. Sam też tego od siebie oczekiwał. Właśnie dlatego, że to nie Susanna stała tu teraz z nim pośród drzew.

Powtarzał to sobie bez końca.

- Powiniennem się zająć naprawieniem koła - zauważył, odwracając wzrok od jej orzechowych oczu.

- Oczywiście. - Prudence zatrzymała jeszcze na moment jego spojrzenie i powoli zaczęła się uśmiechać. - Dziękuję, że mnie pan nie wydał przed doktorem Linfordem.

Roan westchnął.

- Uśmiech pięknej kobiety zawsze był dla mnie największą nagrodą. To brzemię, które muszę dźwigać.

Prudence uśmiechnęła się szerzej.

- Zaczekam na kamieniach. - Wyminęła go z naturalną elegancją. Chwilę później siedziała już na głazie z torbą podróżną na kolanach i rozglądała się z leniwym zainteresowaniem, jakby to był piknik.

Przechodząc obok niej, Roan nie mógł pohamować uśmiechu. Dotknął mimochodem jej ramienia.

- Nie zdążyłem pani podziękować - zauważył.

- Za co? - zdziwiła się.

- Za wyrazy uznania - wyjaśnił i puścił do niej oczko.

Panna Cabot mruknęła coś pod nosem i odwróciła głowę, kręcąc na palcu niesforne kosmyk włosów.

Matheson zdjął płaszcz i przystąpił z innymi do pracy. Drugi woźnica miał wszystkie potrzebne narzędzia, chociaż Roan nie wątpił, że sam sprawniej poprowadziłby naprawę. Doskonale znał się na usterkach wozów. Prowadził razem z rodziną składy drewna i sprowadzał je niekiedy aż z Kanady. Była to ciężka praca i Roan wielokrotnie sam brał w niej udział. Lubił wysiłek.

Obrożcz została ponownie przytwierdzona do koła, a koło zamontowane na osi. Mężczyźni zaczęli na nowo układać bagaże w dylizansie, zaprzęgnięto konie i woźnica zaprosił pasażerów do środka.

Roan włożył płaszcz, wyciągnął ze sterty bagaży swoją torbę, po czym odwrócił się, żeby odprowadzić pannę Cabot.

Nie było jej jednak na kamieniach. Wyszedł na łąkę, przyjrzał się linii drzew i popatrzył na drogę, tam również jej jednak nie dostrzegł. Być może wsiadła do drugiego dylizansu? - przeszło mu przez myśl, ale wśród pasażerów czekających na zajęcie miejsca, też jej nie wypatrzył.

Obszedł pierwszy powóz i zajrzał jeszcze do środka. Byli już tam dwaj dżentelmeni, którzy wcześniej jechali na górę, a obok nich siedział młodzieniec ukryty w płaszczu, wciąż trzymając na kolanach zniszczoną torbę. Ani śladu panny Cabot.

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Odwrócił się do woźnicy, który doglądał

zaprzęgnięcia koni.

- Widział pan może pannę Cabot?
- Tę ślicznotkę? - Woźnica puścił do Roana oko.
- Tak, właśnie tę.

Woźnica pokręcił głową.

- Stawiam, że poszła za głosem natury.

Oczywiście! - pomyślał Roan z ulgą i jeszcze raz spojrzął na linię drzew za łąką.

- Wsiadaj pan - pospieszył go woźnica. - Już i tak mamy duże opóźnienie.
- Ale brakuje nam pasażerki! - przypomniał mu Roan.

Woźnica popatrzył w las.

- Nie zajmuję się szukaniem zaginionych owieczek. - Wdrapał się na kozioł. -

Wszyscy wiedzieli, że ruszamy. Jedzie pan?

Roan rzucił mu lodowate spojrzenie.

- Zostawi pan młodą kobietę samą na środku pustkowia?

Drugi dyliżans ruszył z miejsca.

- A ile mam czekać, Jankesie? Muszę pilnować rozkładu jazdy i dowieźć pozostałych pasażerów. Nie mamy dość prowiantu, żeby tu nocować. Dobrze będzie, jeśli dojadę przed zmierzchem do Stroud.

Roan odwrócił się jak fryga.

- Panno Cabot! - zawołał z całych sił. - Panno Cabot, proszę natychmiast wracać!

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Czekali. Roan przechadzał się nerwowo wzdłuż powozu.

- No, dalej! Ruszajmy! - dał się słyszeć ze środka męski głos.

- Ostatnia szansa, Jankesie - zwrócił się do Roana woźnica.

- Co będzie z bagażami? - zapytał, wskazując pakunki przytroczone do pojazdu.

Sam pomagał przytwierdzać je do powozu, a teraz jej sakwojaż i jego kufer znajdowały się na samym dnie.

- Wszystkie zapodziane bagaże są przechowywane na najbliższej stacji. - Woźnica podniósł lejce. - Wsiada pan?

Roan popatrzył przez ramię na pustą łąkę.

- A niech to! - warknął woźnica. - Dłużej nie czekam!

Szarpnął za lejce, gwizdnął przeciągle, koła zaskrzypiały i dyliżans ruszył. Spod końskich kopyt podniósł się kurz, który opadł na buty i torbę Roana.

Gdzież się ona, u licha, podziewa? - złościł się w duchu. Obrócił się wokół własnej osi, ale dojrzał tylko dwie krowy, które pały się w oddali.

Nie rozumiał, dlaczego tak się przejął. Czy nie dość miał własnych problemów? Musiał zostawić w Nowym Jorku kwitnący interes, żeby przywieźć Aurorę do domu. Takiego miał w życiu pecha; ojciec był za stary, żeby uganiać się za marnotrawną córką, a brat Roana, Beck, był jeszcze młodszy od Aurory. On jeden mógł sprowadzić siostrę do domu, żeby wywiązała się z danej obietnicy i poślubiła pana Gundersona.

Podejrzewał jednak, że wbrew zapewnieniom Aurora wcale go nie kochała. Wydawało się to mało prawdopodobne, szczególnie w świetle tego, że zaręczyny zostały zaaranżowane przez ich ojca.

Rodin Matheson był wizjonerem i odkrył sposób na zapewnienie utrzymania dla

całych pokoleń Mathesonów, wraz z niezliczonymi ciotkami, wujami i kuzynami. Wydanie córki za męża za syna właściciela imperium Gunderson Properties gwarantowało, że drewno Mathesonów posłuży do budowania całych dzielnic Nowego Jorku. Posunięcie było genialne, a Aurora zgodziła się łatwo już po kilku spotkaniach z Samem Gundersonem.

- Uwielbiam pana Gundersona - wyznała marzycielsko.

I tak pewnie było w tamtej chwili. Na tym też polegał problem z Aurorą. Z chwili na chwilę jej zapatrywania mogły się diametralnie zmienić.

Tymczasem pan Pratt zaproponował swojemu przyjacielowi Rodinowi, że jego syn Roan doskonale nadawałby się na męża dla jego córki Susanny. Pratt był właścicielem kilku hut i Rodinowi zaświtał znacznie ambitniejszy plan. Wyjaśnił Roanowi, że Pratt Foundries, Gunderson Properties i Matheson Lumber mogą razem stworzyć wiodące przedsiębiorstwo budowlane działające w szybko rozbudowującym się mieście.

Propozycja była dość niecodzienna, ponieważ Roan na oczy nie widział Susanny, która akurat spędzała wakacje w Filadelfii, ale Pratt zapewniał, że jego córka jest uroczą, śliczną i subtelną młodą kobietą i stanowi doskonały materiał na żonę. Roan nie był z natury sentymentalny i do kwestii małżeństwa podchodził równie praktycznie, co do prowadzenia przedsiębiorstwa. Uważał to po prostu za kolejną kwestię, którą należało rozwiązać. Nie szukał kandydatek na żonę, bo cały czas poświęcał sprawom Matheson Lumber. Wychodził z założenia, że bliskość przyjdzie z czasem, a wraz z nim uczucie. Jego rodzice tak właśnie postąpili i byli ze sobą szczęśliwi. Nad płodzeniem dzieci się tym bardziej nie zastanawiał, bo chętnie wykonałby przypadające mu zadanie. Przynajmniej tak sądził, zanim spotkał Susannę Pratt.

Przyjechała do Nowego Jorku tuż przed tym, jak jego ciotka i wuj wrócili z Anglii. W niczym nie przypominała anioła, odmalowanego przez pana Pratta. Roan nie był w stanie znaleźć w niej ani jednej atrakcyjnej dla siebie cechy. Nie mógł przyjąć do wiadomości, że właśnie jej ma się oświadczyć. Z początku miał sobie za złe, że daje się zwieść nieciekawej powierzchowności, i starał się doszukać w niej zalet charakteru. Nie znalazł jednak nic interesującego. Nie mieli żadnych wspólnych tematów, ale nawet to niewiele by pomogło, gdyż Susanna była chorobliwie nieśmiała i nawet nie patrzyła mu w oczy.

Przed powrotem wuja i ciotki Roan zamierzał porozmawiać z Susanną o jej prawdziwych pragnieniach, bo może i ona chciałaby uniknąć małżeństwa pod przymusem. Wtedy jednak dowiedział się o Aurorze i zapomniał o własnych problemach. Musiał ją jak najszybciej sprowadzić do domu.

Przemierzenie Atlantyku zajęło mu kilka tygodni i przez cały ten czas Roan przeklinał w duchu siostrę. Im dłużej Susanna uważała go za przyszłego męża, tym trudniej będzie mu później wyplątać się z tej historii. Teraz był nawet zły na Aurorę, że nie była w tym West Lee, do którego przyjechał, tylko w West Lee na północy.

Miał dość kłopotów z jedną nieodpowiedzialną i niepoprawną młodą damą. Nie obchodziło go już, że panna Cabot ma oczy koloru latorośli, która porastała jego rodzinny dom, ani to, że wsiadła do dyliżansu ze względu na niego.

Przekonywał się w duchu, że nie jest za nią odpowiedzialny, ale wiedział już, że to wszystko na próżno. Już drugi raz tego dnia Roan zerwał z głowy kapelusz i cisnął

na ziemię ze zdenerwowania. Niech szlag trafi Anglię! – klął w duchu. – I kobiety też!

Kopnął na dokładkę kapelusz i spoglądał ponuro, jak szybuje na drugą stronę drogi.

Wreszcie westchnął zrezygnowany i poszedł po niego. Okazało się, że posłał kapelusz kopniakiem prosto do błotnistej rowu. Wyrzucił z siebie stek przekleństw i nawet go nie podniósł.

Wolał sobie w najbliższej miejscowości sprawić nowy. Przerzucił torbę przez ramię i ruszył w drogę.

Teraz musiał tylko się domyślić, gdzie się podziała ta wcielona diaboliczna.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Prudence wcale nie zamierzała uciekać. Tak samo jak inni czekała niecierpliwie, aż powóz zostanie naprawiony i będzie się można wybrać w dalszą drogę. Ale naprawa się przeciągała, a ona zaczęła sobie wyobrażać, co ją może spotkać w najbliższej wiosce. Przede wszystkim doktor Linford z żoną, nieukrywający swojego niezadowolenia i oburzenia. Albo, co gorsza, doktor Linford z żoną i przedstawicielem władzy, który odesłałby ją, poniżoną, do Blackwood Hall.

Oczywiście wyobraźni widziała, jak odwożą ją niczym skazanego przestępcę, a w mijanych wioskach kobiety i dzieci rzucają w nią zgniłymi warzywami. Po publicznym upokorzeniu czekałyby ją wymówki lorda Merrytona. Merryton był dziwnym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Trzymał się na uboczu, a choć Grace tłumaczyła, że taką ma po prostu naturę, w Londynie miał opinię nieczułego i wyniosłego. Po dwóch latach jedzenia przy jego stole i mieszkania w jego domu Prudence poznała go jako niezwykle uprzejmego i życzliwego człowieka, wiedziała też, że wyjątkowo ją lubi.

Był jednak ogromnie przywiązany do moralnego zachowania i jeśli cokolwiek mogło go wyprowadzić z równowagi, to skandal i szarganie imienia jego rodziny. Ponadto był jej dobroczyńcą i serdecznym przyjacielem, więc Prudence nie chciała go zawieść. Miała o nim bardzo dobre zdanie ale, niestety, nie o nim myślała, gdy dała się porwać przygodzie w Ashton Down.

Kiedy przyglądała się pracy przy powozie, zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna na własną rękę poszukać drogi powrotnej do Blackwood Hall, żeby opowiedzieć o wszystkim lordowi i błagać go o przebaczenie.

Po chwili namysłu popatrzyła tęsknie ostatni raz na szerokie barki i potężne uda pana Mathesona, podniosła torbę podróżną i ruszyła z powrotem do domu. Chciałaby podziękować mu za pomoc, ale wołała nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Postanowiła, że w pierwszym napotkanym gospodarstwie zaproponuje kilka szylingów za odwiezienie do Ashton Down, a jeśli natrafi na wioskę, będzie się trzymała na uboczu, dopóki nie będzie pewna, że doktor Linford już odjechał. Spodziewała się, że będzie jej szukał w dylizansie.

Szła dziarskim krokiem i starała się wzbudzić w sobie pewność siebie. Nie wszystko stracone, powtarzała w duchu. Była pewna, że miała w sobie co najmniej tyle samo sprytu, co Honor i Grace, a zatem powinna bez trudu znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Nie uszła zbyt daleko, kiedy dogonił ją odgłos nadciągającego dylizansu. Cała odwaga natychmiast ją opuściła. Obawiała się, że woźnica będzie nalegał, żeby wsia-  
dła... Tej jednej przeszkody nie wzięta pod uwagę. Była jednak zdeterminowana, żeby nie dać się odstawić prosto w ręce doktora Linforda.

- Nie ugniesz się - powtarzała sobie po cichu. - Masz prawo iść tą drogą, gdzie ci się żywnie podoba.

Uniosła wysoko brodę, czekając na dyliżans. Dopiero w ostatniej chwili zrozumiała, że woźnica wcale nie zamierza się zatrzymać i pytać o jej zdrowie. Z krzykiem uskoczyła z gościńca akurat w porę, żeby przepuścić pędzący pojazd.

Kiedy ją wyminął, Prudence, kaszląc, otrzepała się z kurzawy.

- Mógł chociaż zwolnić, żeby sprawdzić, czy nic mi się nie stało - mruknęła niepokieszona. Po chwili jednak wyprostowała się dumnie i z nową determinacją wróciła do marszu.

Zdażyła zaledwie przejść kilka kroków, kiedy znowu usłyszała nadjeżdżający powóz. Nauczona doświadczeniem zeszła pospiesznie z drogi i przystanęła na poboczu.

Ten dyliżans jednak zwolnił. Woźnica ściągnął lejce, zaprzęg przeszedł do stępa, wreszcie całkiem się zatrzymał. Znajomy woźnica przyglądał się jej przez chwilę z niedowierzaniem, po czym splunął w pył drogi.

- Panienko, koło już naprawione - oznajmił. - Proszę wsiadać.

- Dziękuję, ale wolę się przejść - odparła beztrąsko.

- Przejść? Dokąd? Na wiele mil wokoło nie ma żywego ducha!

- Na wiele mil? - powtórzyła, starając się nie poddać zwątpieniu. - O ilu milach pan mówi?

- Będzie z pięć.

- To dobrze, że włożyłam swoje mocne buty - skłamała. - Piękna pogoda na przechadzkę. Bardzo dziękuję, jednak odmawiam.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Matheson w środku nie wyśmiewa jej lekko-myślności i właśnie dlatego nie chce się pokazać. Wolałby pewnie nie być kojarzony z debiutantką, która postanowiła się wybrać na pieszą wycieczkę w bucikach, które lepiej by się sprawdziły w sali balowej.

- Jak sobie panienka chce - odparł woźnica i podniósł lejce do góry.

- Proszę pana! - powstrzymała go Prudence, zanim zdążył popędzić konie. - Proszę dopilnować, żeby mój bagaż trafił do Himple.

Otworzyła torebkę i wyszukała kilka monet. Przeskoczyła przez rów z powrotem na drogę.

- Bardzo pana proszę. Jeśli zostawi go pan u poczmistrza, ktoś się po niego zgłosi. - Wspięła się na stopień i podała woźnicy kilka szylingów.

- Panienka podróżuje sama? - zawołał jeden z mężczyzn z dachu. Prudence zignorowała zaczepkę.

Serce zabiło jej szybciej, nie tylko ze strachu, ale również z nie całkiem dla niej zrozumiałej złości. Wyobraziła sobie Mathesona, który w kabinie wywraca oczami, a może nawet wymienia z chłopcem porozumiewawcze uśmiechy. Mogła nawet uznać, że zasłużyła na takie potraktowanie, ale i tak wcale jej się ono nie podobało.

- Jest panienka zdecydowana? - upewnił się woźnica, chowając monety do kieszeni.

- Całkowicie. Dziękuję. - Prudence zeskokczyła ze stopnia.

Woźnica machnął lejcami i zaprzęg ruszył. Drugi raz Prudence omal nie została zrzucona z drogi. Zatoczyła się kilka kroków do tyłu i tylko gałąź uchroniła ją przed wpadnięciem do błotnistego rowu.

Patrzyła za dyliżansem, póki nie zniknął w cieniu drzew.

Pięć mil do wsi, powtórzyła w duchu. Rozejrzała się dookoła, ale nie było nikogo, prócz niej. Słyszała tylko szum wiatru w koronach drzew i cichnący turkot oddalającego się dyliżansu. Pierwszy raz w życiu Prudence była całkiem sama. Pamiętała jednak, co mawiała jej matka, zanim całkiem postradała rozum. Nikt nie może naprawić naszych błędów, każdy z nas musi to zrobić sam. Im prędzej obierzemy właściwy kurs, tym szybciej osiągniemy właściwy cel podróży.

Prudence nie była wcale pewna, czy obrała właściwy kurs, ale już nic na to nie mogła poradzić. Nie zamierzała też zalewać się łzami. Nie znosiła kobiet, które z napotkaniem pierwszej przeciwności losu zdawały się na litość. Postanowiła iść, choćby w tych pantoflach, które powstały z myślą o wypielegnowanych trawnikach. Musiała tylko chwilę odpocząć...

Postawiła torbę podróżną na ziemi i usiadła na niej ze złożonymi kolanami, rozrzucając stopy, żeby utrzymać równowagę. Zaplotła ramiona wokół kolan, przycisnęła do nich czoło i zamknęła oczy.

Jak mogła być tak nierozumna? – wyrzucała sobie. Z wolna zaczynała widzieć swoją sytuację w innym świetle. Co jej przyszło do głowy, żeby próbować dorównać w lekkomyślności siostrze? – zastanawiała się. – Przecież nigdy nie będzie taka, jak one. Nie umiałyby dla byle zachcianki pozbyć się poczucia odpowiedzialności. Choćby była niezadowolona ze swojego życia, teraz narażała się na znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo. Była sama na pustej drodze i stanowiła wymarzoną ofiarę dla wszelkiej maści rabusiów, złodziei i innych łotrów, o których wołała nawet nie myśleć. Choćby Cyganów!

Dreszcz ją przeszedł, kiedy przypomniła sobie okropne historie, jakie opowiadała Mercy.

– Proszę, proszę! – usłyszała za plecami męski głos. Przestraszyła się tak bardzo, że w jednej chwili podskoczyła, zachłysnęła się własnym okrzykiem i w efekcie wyładowała obok improwizowanego siedziska.

Pan Matheson bez namysłu wyciągnął do niej ręce i pomógł jej się podnieść. Prudence tak bardzo ucieszyła się na jego widok, że aż zarzuciła mu ręce na szyję.

Być może był tym równie zaskoczony jak ona, bo chociaż ją objął, to całkiem zniechęcony. Przez chwilę stali tak w milczeniu, potem Roan położył jej ręce na biodrach i delikatnie, acz stanowczo odsunął od siebie. Patrzył na nią przy tym tak, jakby postradała zmysły.

– Bardzo pana przepraszam – powiedziała Prudence. – Poczułam po prostu ogromną ulgę. Dlaczego idzie pan pieszo?

– A czy to nie oczywiste? Idę pani na ratunek.

Prudence poczuła, że się rumieni. Ogarnął ją wstyd i zarazem radość.

– Bardzo mnie pan przestraszył – dodała, przyciskając dłonie do piersi. – Myślałam, że umrę.

– Cieszę się, że pani tego nie zrobiła – odparł. – Ale co, u licha, pani tu robi? Dlaczego opuściła pani dyliżans? Dokąd pani, do cholery, idzie?

– Do najbliższego gospodarstwa albo wioski. Chciałam komuś zapłacić za odwiezienie do Ashton Down.

Zmrużył oczy i popatrzył w dal, którą wskazała palcem.

– Cóż za nedorzeczny pomysł! – rzekł zdumiony. – Przecież miała pani miejsce

w dylizansie.

- Bałam się, że pani Scales opowie wszystko, co się działo, i wspomni moje nazwisko...

- To bardzo prawdopodobne - zgodził się, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie. - A pani w związku z tym postanowiła... uciec?

- Nic podobnego - obruszyła się, chociaż nie mogła zaprzeczyć, że właśnie tak zrobiła. - W związku z tym postanowiłam poszukać drogi powrotnej do Blackwood Hall. Wolałabym, żeby moi bliscy dowiedzieli się o tych... wypadkach z moich ust.

- Hm - mruknął i skrzyżował ramiona na piersi. Popatrzył na Prudence z góry, przyprawiając ją o ciarki. - Doszłaś do wniosku, że podejdziesz do dowolnego właściciela pojazdu i nakłonisz go do odwiezienia cię do tego holu?

Prudence musiała przyznać, że nie brzmiało to zbyt rozsądnie. Podrapała się po skroni i popatrzyła na Roana z ukosa.

- Nie ma pan powodu do takiego samozadowolenia, panie Matheson. Ale ma pan rację, że to nie było mądre.

- Niemądre? To wierzchołek góry lodowej. Chętnie wyłuszczę pani całą jej lekko-myślność, ale mogę to zrobić w drodze do najbliższej wioski. Postaramy się znaleźć dla pani jakiś środek transportu. W tej chwili najbardziej miałbym ochotę przełożyć panią przez kolano, bo Bóg widzi, że zachowywała się pani jak dziecko.

- Nawet jeśli tak było, to nie jest pan moim ojcem, panie Matheson - bąknęła urażona.

- Pani ojcem? - wykrztusił. - Dopiero co stuknął mi trzeci krzyżyk, a i tak jestem od pani dwa razy rozsądniejszy.

- To dlaczego trafił pan do Wesley zamiast do Wesleygh?

Z tym Roan nie mógł dyskutować.

- Na razie pozwolę pani na te przytyki. - Pogroził jej palcem. - Przynajmniej do czasu, kiedy będzie pani mogła bezpiecznie wrócić do domu.

Schylił się po jej torbę.

- Sama ją poniosę, dziękuję panu - powiedziała urażonym tonem.

- Na miłość... Przecież do wsi jest kawał drogi!

- Jestem tego w pełni świadoma. Dzieli nas od niej pięć mil. Ale potrafię sama unieść swój bagaż.

Zmełł w ustach przekleństwo i zarzucił na ramię własną torbę.

- Idziemy? - zapytał niecierpliwie.

- A mam jakiś wybór? - Prudence ruszyła w drogę, a torba objęła się jej nieprzyjemnie o nogi. - A gdzie pana kapelusz?

Roan się skrzywił.

- Przepadł - odpowiedział szorstko. - Dlaczego wy wszystkie panny jesteście takie same?

Był wyraźnie poirytowany, jakby ciągle tylko wpadał pod lasem na niezamężne kobiety.

- My? Czyżby pan miał rozległe doświadczenia w tym temacie?

- Dostatecznie bogate - odparł. - A jak pani myśli, dlaczego znalazłem się w tym przez Boga zapomnianym...

Prudence rzuciła mu przeszywające spojrzenie.



- Pani wybaczy. W tym obcym kraju.

- Pojęcia nie mam - odpowiedziała niefrasobliwie. - Pewnie chce pan pouczyć wszystkie młode panny, jak się należy zachowywać.

- Niestety, brak mi na to czasu. Wystarczy, jeśli uda mi się pouczyć jedną. I proszę sobie wyobrazić, że wcale nie mam tu pani na myśli.

Prudence odrzuciła głowę.

- Nie byłabym wcale zdziwiona, gdyby chciała ona być jak najdalej od pana i jego oceny.

- Nie uda się jej ode mnie uwolnić - odparł cierpko.

- A czy komukolwiek się to udało? - uśmiechnęła się złośliwie.

Przez chwilę szli w milczeniu. Prudence zastanawiała się, czego się dopuściła siostra Roana, że aż postanowił osobiście ściągnąć ją do domu.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytała.

- Sam chciałbym to wiedzieć. Mam szczerą nadzieję, że panna Aurora Priscilla Matheson bawi właśnie w West Lee.

Machnął ręką na subtelne różnice w wymowie nazwy miejscowości.

- Może opowiem pani historię tej młodej damy? Wuj i ciotka zabrali ją na wiosnę do Londynu. Miał to być jej prezent ślubny, okazja do zobaczenia kawałka świata, zanim poślubi pana Gundersona. Aurora jest jednak niezwykle impulsywna i łatwo dała się przekonać przyjaciółom, których zresztą dopiero co poznała w Londynie, żeby zostać miesiąc dłużej, niż zakładano. Kiedy nadszedł czas wyjazdu, odmówiła powrotu z wujostwem i napisała do ojca, że sama wróci za miesiąc.

- Jest tu sama? - Prudence zdumiała śmiałość Aurory.

- Spodziewam się, że tak - odparł Matheson. - Taka już jest moja mała siostrzyczka. Nie słucha głosu rozsądku. Wywołała w rodzinie niemałe zamieszanie. Jej małżeństwo z Gundersonem będzie dla nas niemal równie lukratywne...

Roan ugryzł się w język. Zamilkł i popatrzył w dal.

- Wracając do rzeczy - podjął po chwili - jak się domyślasz, pan Gunderson nie jest wniebowzięty. Zostałem posłany z misją odnalezienia Aurory i zapobieżenia utracie jej reputacji, planom matrymonialnym i dobru całej naszej rodziny.

- Jak się pan dowiedział, gdzie jej szukać? - zaciekawiała się Prudence.

- W zasadzie nie jestem tego wcale pewien. W ostatnim liście, jaki odebraliśmy przed moim wypłynięciem, pisała, że została zaproszona do tego Penforsa. Z daty nadania wywnioskowaliśmy, że akurat teraz powinna zatrzymać się właśnie u niego.

Prudence prawie się roześmiała na głos. Z największym trudem przyszło jej uwierzyć, że jest jeszcze młoda kobieta, która o głowę przerosła jej siostry w nieodpowiedzialnym zachowaniu. Porzuciła rodzinę, aby przemierzać daleki obcy kraj i najwyraźniej nie przejmowała się wcale swoją cnotą. Prudence zapragnęła poznać pannę Aurorę Priscillę Matheson. Przyjemnie było jej słuchać o jej niefrasobliwości i odwadze.

Ku swojemu zdziwieniu, złapała się na tym, że myśli o młodej Aurorze z podziwem. Matheson też zwrócił na to uwagę.

- Czyżby się pani uśmiechnęła? Bawią panią szaleństwa mojej siostry? Jest pani w mniejszości, bo w mojej rodzinie nikomu nie jest do śmiechu. Dużo zależy od jej

małżeństwa. A ona zachowuje się, jakby postradała rozum.

- Nie można jej mieć za złe, że zapragnęła poznać smak przygody. Stan paniński bywa bardzo nużący. Nic tylko przesiadywanie w salonie i rozmowy o pogodzie.

Prudence przerzuciła torbę do drugiej ręki, a Matheson parsknął.

- Aurora nigdy w życiu nie przesiadywała w salonie. Korzystała ze wszystkiego, co Nowy Jork ma do zaoferowania społecznie uprzywilejowanej kobiecie. Ma tłumy przyjaciół, chodzi na przyjęcia i jej pupa od miesiący nawet nie dotknęła salonowego fotela.

Prudence popatrzyła na niego oniemiała.

- Co się stało? - Roan nie zrozumiał. - Ach, zapomniałem, że powinienem oszczędzać uszy delikatnego angielskiego kwiatuszka.

- Nie jestem żadnym kwiatuszkiem! Skąd ten pomysł?

- To moja ciotka. Przestrzegła mnie, że jesteście bardzo wrażliwe i żebym uważał, co mówię. Wyjaśniła mi, że angielskie debutantki są delikatniejsze od kobiet, do których jesteście przyzwyczajeni w Ameryce.

Prudence poczuła się urażona.

- To nieprawda! My też jesteśmy silnego charakteru - zawołała. - Tylko popatrz, idę pieszo i niosę własną torbę!

- A to ci wyczyn! - odparł z udawanym podziwem, ale zaraz wyjął jej torbę z dłoni i wziął ją w tę samą rękę, co własną. - Proszę się nie złościć, panno Cabot. Na pewno jest pani twarda. Ale przy tym, mam nadzieję, bardziej rozsądna od mojej siostry.

Na widok jego uśmiechu zrobiło się jej lekko na sercu. Zarumieniła się i odwróciła wzrok, absurdalnie dumna z tego, że nazwał ją twardą.

Roan westchnął.

- Nie umiem się długo gniewać na Aurorę. A ojciec przez całe życie ją rozpieszczał. Nie jest winna temu, jak została wychowana. Jest też jedyną kobietą w naszym rodzeństwie, obok mnie i mojego brata Becka.

- A czy pan Beck Matheson też jest nieodpowiedzialny?

- Wręcz przeciwnie. Podobnie jak ja jest ostrożny, rozważny i przedsiębiorczy - odrzekł z dumą Matheson.

Prudence to rozbawiło.

- Przedsiębiorczość to bardzo amerykańska cecha, prawda?

- Oczywiście - odparł i spojrział na nią z ukosa. - Cała Ameryka jest przedsiębiorcza.

- Z tego, co słyszałam, lubicie ciężką pracę.

Uśmiechnął się.

- Przecież nie wolno nią gardzić! - odparł i wymierzył jej łokciem żartobliwego kuksańca.

- Jaką ciężką pracą para się pana rodzina?

- Zajmujemy się drewnem.

Prudence domyśliła się, że chodzi o handel. Miała niejasne wrażenie, że w Ameryce wszyscy zajmują się handlem. Jednak drewno wydawało się bardzo pospolitym towarem. Uznała, że skoro w Ameryce nie ma szlachty, to być może nawet wszyscy muszą tam zarabiać na swoje utrzymanie.

- Prowadzi pan wycinkę drzew? - zapytała, spoglądając nieufnie na jego dłonie.

Matheson się roześmiał.

- Ściąłem kilka drzew w swoim życiu, ale to nie jest mój fach. Nasza rodzinna firma jest jednym z największych przedsiębiorstw handlujących drewnem w Ameryce. Kupujemy je w Kanadzie i organizujemy transport do Nowego Jorku, gdzie sprzedajemy je przedsiębiorcom budowlanym. Zaopatrują się u nas między innymi Gunderson Properties, jedna z największych takich firm w mieście. Małżeństwo Aurory i Sama Gundersona zagwarantuje popyt na nasz towar. Niedawno zawarliśmy też partnerstwo z Pratt Foundries.

- Och - wtrąciła Prudence.

- Do budowania potrzeba drewna i stali. Współpraca z Gundersonem i Pratem będzie bardzo lukratywna dla wszystkich zainteresowanych i zapewni utrzymanie wielu pokoleniom naszych rodzin.

Wszystko to brzmiało dla Prudence niezmiernie przedsiębiorczo i było bardzo ciekawe. Nikt wcześniej nie rozmawiał z nią na takie tematy.

- To ambitne zamierzenie - oceniła.

- Bardzo ambitne - zgodził się. - Ojciec zadbał o nawiązanie tych relacji. Zależą one jednak... od porozumień... małżeństw.

Nikt nie musiał Prudence tłumaczyć, jak porozumienia i małżeństwa przyczyniały się do powstawania fortun.

- Dość już jednak mówiliśmy o mnie - uciął. - Czy pani ma dużo rodzeństwa? I czy dorównują pani w porywczosci charakteru?

Prudence roześmiała się.

- Mam trzy siostry, panie Matheson.

- Proszę, mów mi Roan.

Roan, powtórzyła w myślach. To imię brzmiało bardzo po amerykańsku. Pasowało do kogoś, kto powalał drzewa, kuł stal i wznosił wielkie budowle.

- Moje siostry są znacznie bardziej porywcze ode mnie, o ile może pan w to uwierzyć. Pośród nich to ja jestem uważana za najbardziej odpowiedzialną.

- Niemożliwe! - zawołał z niedowierzaniem i wybuchnął śmiechem.

- Przynajmniej tak było do dzisiaj - poprawiła się i roześmiała wraz z nim. - Jest Honor, pani Easton, i Grace, *lady* Merryton; jest hrabiną. Mercy Cabot jest ode mnie dwa lata młodsza i przysięga, że nigdy nie wyjdzie za mąż, ale za to zostanie sławną artystką.

- Cztery siostry, a jedna z nich jest nawet hrabiną i należy do rodziny królewskiej! Angielscy królewicze na pewno was uwielbiają!

- Do rodziny królewskiej? Skąd ten pomysł?

Roan uniósł brew.

- Przecież jest hrabiną. To nie to samo?

Prudence wybuchła takim śmiechem, że gdyby nie przytrzymała się jego ramienia, mogłaby stracić równowagę.

- Grace jest hrabiną - wyjaśniła, kiedy już odzyskała oddech. - Ale to nie znaczy, że jest z rodziny królewskiej. Wydaje ci się, że ilu jest w Anglii książąt krwi?

Wydał policzki w zastanowieniu.

- Dwunastu? - podsunął niepewnie, a kiedy Prudence zachichotała, dodał: - Przyznaję, że jestem ignorantem w sprawach monarchii. Dla nas wszystko to wydaje się

niepotrzebnie skomplikowane.

- A mnie się zdawało, że Amerykanie świetnie monarchię rozumieją.

- Być może masz rację, ale nie jesteśmy już poddanymi korony, więc nigdy nie przywiązywałem do tego wagi. Jeśli kiedyś odwiedzisz Amerykę, na pewno zrozumiesz dlaczego.

Prudence oczyma wyobraźni zobaczyła tłum ludzi z widłami i kosami, którzy wyzwalają się spod władzy monarchii brytyjskiej.

- Nigdy nie opuściłam Anglii - wyznała w zadumie. - Ale *sir* Luckenbill odwiedził Nowy Jork.

- A kto to taki?

- To przyjaciel męża mojej siostry, niekiedy przychodzi do nas na obiad. Jest znanym uczonym. - Tak w każdym razie sam o sobie mówił, chociaż natura jego naukowej wiedzy umykała Prudence i jej siostram.

- I jak mu się podobało?

Uśmiechnęła się do niego.

- Czy naprawdę chce pan usłyszeć prawdę?

- Tak.

- Twierdzi, że w porównaniu do Londynu sprawia dość prymitywne wrażenie. A ludzie... - zawiesiła głos. - Ludzie wydawali mu się dosyć prostacy.

Matheson roześmiał się, niczym nieurazony.

- To dlatego że w Ameryce mężczyźni są naprawdę mężczyznami. Nie nosimy w mankietach jedwabnych chustek i nie wachamy soli trzeźwiących.

- Angielscy dżentelmeni wcale nie wachają soli! - Prudence udawała oburzoną, ale niewątpliwie niektórzy nosili jedwabne chustki w mankietach. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby Roan trzymał chustkę w mankiecie.

- Gdybyś miała braci, zrozumiałabyś, co mam na myśli. - Nagle złapał ją za łokieć i pociągnął do siebie, żeby nie potknęła się o króliczą norę.

- Mam jednego brata - odparła Prudence, przeskakując wykrot. - Hrabia Beckington jest moim ukochanym przyrodnim bratem.

- Hrabia, tak? Czy przynajmniej on jest królewskiej krwi?

Prudence zachichotała.

- Nie jest!

Ciągle trzymając jej łokieć, ryknął do nieba z udawaną rozpaczą:

- Jaki jest sens tych wszystkich tytułów? - Kiedy jego głos wybrzmiał w otaczającej ich ciszy, dodał spokojniej: - Po co ich używać, skoro nie mają z królem nic wspólnego?

- Chciałby pan, żebym mu to wytłumaczyła? - zapytała, a on puścił jej ramię.

- Nie - odparł krótko. - Historia nigdy nie była dla mnie ważna. Po co ciągle patrzeć wstecz? Najbardziej mnie interesuje chwila obecna. Arytmetyka, nauki ścisłe... Demokracja... Ale to nieistotne, znacznie bardziej mnie teraz ciekawi, dlaczego brat nie odwiózł pani na miejsce? Nie powinien pani pozwalać podróżować samej.

- A dlaczego ktoś miałby mi na cokolwiek pozwalać albo nie? Augustine nie jest moim panem. Ponadto ciekawie brzmi ten zarzut w pana ustach, skoro sam pan nawet nie wie, gdzie jest jego siostra.

- Celny cios, panno Cabot. Jednak, gdybym spodziewał się, że zostanie sama, nigdy bym jej na tę podróż nie zezwolił. - Puścił do niej oczko. - Jakie ma wytłumaczenie pani hrabia?

- Augustine nie ma pojęcia, gdzie jestem albo gdzie być powinnam. Jest zajęty swoim londyńskim życiem. Lubi pan ferować opinie, panie Matheson.

- Doprawdy? - Zdziwienie Mathesona zabrzmiało całkiem szczerze. Zatrzymał się na chwilę, żeby przemyśleć jej słowa, i odstawił torby. Skinął głową. - Może mieć pani rację. Ale nie będę za to przepraszał.

Uśmiechnął się i odsunął kosmyk włosów z jej policzka.

- Łatwo panią wyprowadzić z równowagi, panno Cabot.

- Wcale nie jest mnie łatwo wyprowadzić z równowagi - odparła i przewróciła oczami. - Tylko usadzeni przez kobiety mężczyźni mogą to powiedzieć.

Roześmiał się i jeszcze raz pogładził jej policzek, po czym odchylił rąbek jej czepka.

- Czy mogę prosić, żeby go pani zdjęła? Bardzo chciałbym zobaczyć pani twarz.

Prudence poczuła, jak jakaś niewidzialna siła przyciąga ją do niego. Popatrzyła mu w oczy, poluzowała wstążki czepka i opuściła go na kark.

Przyglądał się jej niespiesznie, podziwiał włosy, które jej zdaniem musiała mieć w strasznym nieładzie. Spojrzał w jej lekko uśmiechniętą twarz i opuścił wzrok niżej, na skraj stanika.

Ponownie dotknął jej policzka wierzchem dłoni.

- Dziękuję. Widok pięknej kobiety zawsze mnie... ożywia.

Prudence przez całe życie słyszała, że jest piękna, ale kiedy powiedział to Roan Matheson, uwierzyła mu bez wahania. Jego podziw wywołał falę ciepła, która rozlała się po całym jej ciele. Idąc, wspominała dotyk jego palca na policzku i płomień w jego oczach.

Znowu zapadła między nimi cisza. Prudence wyraźnie czuła przy sobie jego obecność i emanującą od niego siłę. Ciężar bagażu nie robił na nim najmniejszego wrażenia.

Rozpaczliwie szukała tematu, który odwróciłby jej myśli od jego spojrzenia.

- Jak pana siostra poznała lorda Penforsa? - zapytała.

- Tak jak Aurora poznaje większość swoich znajomych. Po prostu wplątuje się w sytuacje, w które nie powinna. A pani go zna?

- Tyle co zasłyszałam. Wiem, że przebywa głównie w swoim majątku ziemskim, ma żonę, ale jest bezdzietny. Zamierza pan ją odnaleźć, i co potem?

- Odwiozę ją do domu, a potem przekażę w ręce narzeczonego i będę im życzył szczęścia.

Prudence nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Przecież jak dotąd nie słuchała pana rad, więc skąd przekonanie, że teraz to się zmieni?

- Świetne pytanie. Może będę nawet zmuszony zakuć ją w kajdany i zanieść do domu na własnym grzbiecie. Teraz pora na moje pytanie. Co pani robi, kiedy już znajdzie się w drodze powrotnej?

Przypomnienie Blackwood Hall natychmiast otrzeźwiło Prudence. Perspektywa spędzenia tam długiej zimy nie była zbyt kusząca.

Skubała wstążki czepka w zastanowieniu.

- Aha! - zawołał.

- Aha? - zapytała. - Co ma pan na myśli?

- To, że rozumiem.

- Co pan takiego rozumie?

- Przecież to oczywiste - odrzekł, a w jego oczach zabłysło rozbawienie. - Nareszcie wszystko zaczyna się układać w spójną całość. Jechała pani odwiedzić „przyjaciółkę”...

Powiedział to tak, jakby nie wierzył, że w ogóle istniała jakakolwiek przyjaciółka.

- Pojechała pani dyliżansem, żeby pożerać mnie wzrokiem...

- Ale pan ma tupet!

- A potem postanowiła pani nagle wracać do domu. Na pewno czeka na panią jakiś dżentelmen. Jeśli miałbym zgadywać, to nie może się pani zdecydować, czy powinna go bardziej ośmielić, czy też chciałaby pani, żeby on bardziej ośmielił panią.

Rozumowanie owo było dla Prudence tak niedorzeczne, że wybuchła serdecznym śmiechem. Matheson przystanął na środku drogi, położył torby na ziemi i wziął się pod boki.

- Co takiego powiedziałem? - zapytał, dotknięty do żywego.

- Nie mógłby się pan bardziej pomylić! - zawołała radośnie. - Może w Ameryce jest inaczej, ale u nas, kiedy w rodzinie panny doszło do skandalu, nikt się nie wrywa, żeby się jej oświadczać. Nie ma żadnego dżentelmena. Mogę nawet powiedzieć, że definitywnie go brakuje!

Prudence wypowiedziała te słowa i położyła sobie dłonie na ustach. Jeśli istniałyby przykazania debiutantek, pierwsze i najważniejsze brzmiałoby: „Nigdy się nie przyznawaj, że nikt się tobą nie interesuje”.

Co gorsza, Matheson patrzył na nią tak, jakby nagle zaczęła mówić po chińsku.

- No proszę, niech się pan śmieje - zachęciła go i machnęła ręką. - Nie cofnę już tego, co powiedziałam. Taka jest prawda.

- Bardzo przepraszam - odrzekł, kręcąc głową. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Prudence jęknęła.

- Może pan sobie żartować do woli.

- Wcale mi nie jest do śmiechu. Gdyby w Ameryce tak piękna kobieta, jak pani, panno Cabot, nie miała jeszcze świetnie sytuowanego narzeczonego, ustawiałyby się do niej kilometrowe kolejki adoratorów. O skandalach nikt by nawet nie pomyślał.

Zamrugnęła zdziwiona. Znowu poczuła ciepło rozlewające się po jej ciele.

- Wszyscy pragnęliby pani uwagi - dodał i popatrzył na nią z takim uwielbieniem, że mimowolnie szeroko się do niego uśmiechnęła. - Właśnie dlatego takie kobiety jak pani nie powinny samotnie wędrować po pustkowiu. Mężczyźni są łajdakami i zawsze będą za panią chodzili. To silniejsze od nich.

Prudence nie wiedziała, że umie się uśmiechnąć tak szeroko.

- W Blackwood Hall wszędzie chodzę sama...

Zbył to machnięciem ręki.

- To nie to samo. Tutaj, pozbawiona jakiegokolwiek opieki, może pani paść ofiarą

takich mężczyzn, jak ja.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Takich jak pan!

- Tak. Zwykłych łajdaków. - Zaśmiał się niewesoło.

- Przecież pan nie jest łajdakiem!

- Przeciwnie, panno Cabot - odparł z przewrotnym uśmiechem. - Proszę nie dać się zwieść pozorom. Czy nikt pani nie ostrzegał przed pragnieniami mężczyzn?

Na radosne uniesienie Prudence padł lekki cień niepokoju. Pamiętała słowa lorda Merrytona: „Nigdy nie ufaj dżentelmenowi, Prudence. Każdy nosi w sobie przemożne pragnienie i nie jest ono wcale przystojne”.

- Niech pani na mnie nie patrzy jak spłoszona łania! - rzucił niecierpliwie. Sięgnął po torby i od niechcienia położył jej rękę wokół talii, nagłąc ją do marszu. Wbrew obawom spodobało się Prudence, jak swobodnie zachowuje się przy niej ten samozwańczy łajdak.

- Przypomina mi pani moją siostrę. I nie mógłbym pani zrobić jakiegokolwiek krzywdy. - Porównanie z siostrą sprawiło Prudence zadziwiająco dużą przykrość. - O jaki skandal chodziło?

- Proszę?

- Powiedziałaś, że dżentelmeni nie walą do pani drzwiami i oknami z powodu jakiegoś skandalu. Co to był za skandal?

Prudence nie widziała powodu, żeby ujawniać rodzinne problemy.

- Moje siostry wyszły za mąż w nietypowy sposób - odparła ostrożnie.

- Były zmuszone do małżeństwa?

- Zmuszone? - powtórzyła, żeby zyskać na czasie.

- Chodzi mi o to, czy były w ciąży.

Prudence stłumiła okrzyk oburzenia, słysząc tak straszne podejrzenie. Była zarazem wstrząśnięta, bo dotąd nikt nie poruszył tego tematu przy niej tak otwarcie. Chyba nie znała drugiego słowa, które tak skrętnie ukrywano za eufemizmami.

- W żadnym wypadku!

- Nie? - wzruszył ramionami. - To jakie są inne... nietypowe... powody zawarcia małżeństwa?

- Chodziło o coś znacznie poważniejszego.

Pan Matheson zaśmiał się cicho i ścisnął ją lekko.

- Pani jest zabawna, panno Cabot. Ma pani w sobie coś z purytanki, prawda? A przy tym bywa pani przedziwnie śmiała, szczególnie jak na kobietę, która idzie pustą drogą przy obcym mężczyźnie.

- Już wcale nie uważam pana za obcego.

- Ale to niczego nie zmienia. Przecież nic pani o mnie nie wie. Przypomina mi pani pewnego mężczyznę, którego spotkałem na północy stanu, kiedy mój koń okulał. - Matheson rozpoczął opowieść o długiej i niebezpiecznej podróży przez amerykańskie bezdroża. Podczas tej wędrówki Matheson doszedł do wniosku, że powinny istnieć lepsze sposoby transportu pomiędzy miastami na południu a północą. Matheson miał w tej sprawie wyrobioną opinię i wkrótce okazało się, że udział Prudence w rozmowie nie jest wcale konieczny.

Zanim dotarli do wioski, znała już wszystkie argumenty na rzecz budowy kanału

i była tym tematem zupełnie wykończona. Była też obolała po długiej wędrówce i miała poobcierane stopy.

Wioska nie wyróżniała się niczym szczególnym. Składała się z kilku chat, kuźni oraz małej gospody i pocztowej stacji wymiany koni. Miejscowość sprawiała wrażenie opuszczonej, tylko jedna staruszka doglądała przydomowego ogródka. Kawalek dalej znajdowało się jeszcze kilka budynków gospodarczych, być może były wśród nich spichlerze.

Przed gospodą nie stał już ani jeden dyliżans. Prudence ucieszyła się też, że nie ma nawet śladu powozu Linfordów.

Z westchnieniem ulgi przycupnęła na murku naprzeciwko gospody. Najbardziej na świecie pragnęła zdjąć buty i rozmasować sobie stopy, ale na razie wystarczyło jej, że nie musi już robić ani jednego kroku więcej.

Matheson tymczasem odstawił obie torby i rozejrzał się ciekawie, jakby przez pięć mil nie dźwigał żadnego ciężaru.

- Czy pani jest głodna? - zapytał. - Ja byłbym gotów zjeść konia z kopytami.

- Nie, dziękuję - odparła i popatrzyła na Roana odrobinę zasmucona. Żałowała, że ich wspólna przygoda dobiegła końca. Skończyły się jej preteksty, żeby przebywać dłużej w jego towarzystwie. - Dziękuję, że mnie pan odprowadził, panie Matheson. Wiem, że spieszy się pan do siostry. Proszę się nie obawiać, spokojnie zaczekam na powrotny dyliżans.

Matheson wydawał się zaskoczony.

- Mam na imię Roan. I z przyjemnością zaczekam z panią.

- Nie musi się pan już mną opiekować. Jest tu tylko ta starowinka. - Skinęła głową w stronę siwowłosej kobieciny. - Powóz na pewno wkrótce nadjedzie. Jestem całkowicie bezpieczna.

Uśmiechnęła się, ale Matheson nie odpowiedział tym samym. Spochmurniał i wyglądało na to, że rozważa, co powinien zrobić.

- Jest pani pewna?

- Całkowicie.

- W takim razie wsiądę do najbliższego powozu na północ.

Prudence poczuła się zawiedziona, choć sama go przed chwilą odprawiła. Był już jednak na tyle uprzejmy, że wytrwał przy niej, pomimo jej niecodziennego zachowania.

Uśmiechnęła się więc do niego znowu i powiedziała pogodnie:

- Życzę panu szczęścia, *sir*. Oby pan szybko spotkał się z siostrą.

Kiwnął jej głową w podziękowanie i przestąpił na drugą nogę.

- Powodzenia, panno Cabot. - Ociągał się przez chwilę; zmarszczył czoło i nie ruszył się z miejsca. Popatrzył na nią uważnie, rozprostował dłoń i przyjrzał się swoim palcom. - Czyli... wraca pani do Blackwood Hall, tak?

Rozejrzała się niepewnie. Pomyślała, że przy odrobinie szczęścia mogłaby jeszcze dotrzeć do Himple i oszczędzić sobie upokorzenia, z jakim wiązałby się powrót.

- Może jednak zdecyduję się na odwiedzin u przyjaciółki w Himple. To już całkiem niedaleko stąd.

Ośloniła oczy od słońca i wyjrzała na drogę, ale znikła ona za zakrętem. Podniosła się i stanęła niepewnie na poobcieranych stopach, ale i tak nie zobaczyła w od-



dali Himple. Musiała przyznać przed sobą, że nie ma pojęcia o prawdziwej odległości do celu podróży.

- To chyba dobry pomysł - zgodził się Matheson i podszedł bliżej, żeby zrobić to samo.

- Niczego już nie jestem pewna - odparła. - Ale kiedy moja rodzina się o tym dowie, już nigdy nie pozwolą mi opuścić Blackwood.

Popatrzyła na niego z ukosa.

- A pan by mnie wypuścił?

- W żadnym wypadku. - Roan spojrział przez ramię.

- Zatem sam pan rozumie...

Nagle Matheson złapał ją za ramię i obrócił tak, że stała teraz plecami do drogi.

- Co to ma znaczyć?

- Proszę wejść pod drzewo.

- Pod drzewo? Ale dlaczego...

- Proszę natychmiast się cofnąć! - dodał stanowczo i popchnął ją lekko raz i drugi, aż znalazła się w cieniu niskich gałęzi sykomory. - Niech się pani skurczy.

- Czy to w ogóle jest możliwe? - Prudence chciała się obrócić, żeby zobaczyć, co takiego zwróciło jego uwagę, ale jego uścisk się wzmocnił.

- Proszę tego nie robić...

Ale było za późno. Prudence wiedziała już, co się stało. Z jednej z chałup wyszedł właśnie doktor Linford i kierował się w ich stronę.

Prudence odwróciła się prędko i oparła plecami o pień drzewa.

- Och, nie... nie... - szeptała nieprzytomnie. Wyobrażała sobie, jak doktor Linford każe jej pod przymusem jechać ze sobą do domu. - A gdzie jest jego powóz?

- U podnóża pagórka - wyjaśnił Matheson. - Proszę nie wpadać w panikę.

Podszedł bliżej, niemal jej dotykając.

- Jak mam nie panikować? Przecież mnie zobaczy! - złapała się za wyłogi jego płaszcza i próbowała się skurczyć.

- Proszę się nie ruszać, zwraca pani uwagę...

- Jestem skończona! - wyszeptała, szarpiąc kłapy płaszcza.

- Panno Cabot - rzekł poważnie.

Prudence nie wiedziała, jak to się stało. Nie zdążyła nawet się zorientować w sytuacji, gdy jego usta znalazły się na jej ustach. Miał miękkie, gorące i sprężyste wargi i przylgnął do niej całym ciałem.

Było cudownie.

Kolana się pod nią ugięły, a Matheson objął ją, przycisnął do siebie mocniej i wsunął język między jej wargi. Na szyi położył ciepłą dłoń i całując ją, pieścił kciukiem policzek. Z pierściami przyciśniętymi do jego piersi naszała ją nagle absurdalna myśl, czy Roan czuje, jak mocno bije jej serce. Smakował jej usta, jakby to był niezrównany przysmak. Prudence z oddali usłyszała swój jęk. Natychmiast zaczął całować ją jeszcze żarliwiej, jego język zanurzył się głębiej, dotykał jej zębów, języka i policzków. Dłoń trzymał na jej twarzy.

Czuła szalone uniesienie, miała wrażenie, że cała się skrzy, choć nie był to jej pierwszy pocałunek. Bała się, że może stracić rozum od tak czułej pieśczoły jego pocałunku. Przycisnął ją do pnia drzewa, a jej ciało zareagowało instynktownie na

jego pożądanie. Ona także zapragnęła go otoczyć i poczuć w sobie. Nigdy wcześniej nie przeżyła nic równie zmysłowego ani równie podniecającego. Nie chciała, by w ogóle ta chwila kiedykolwiek dobiegła końca.

Ale właśnie wtedy wszystko się skończyło.

Matheson oderwał od niej usta, popatrzył jej w twarz i przeciągnął kciukiem po jej dolnej wardze.

- Właśnie dlatego nie powinna pani nigdy podróżować sama, panno Cabot - wyjaśnił jej bez tchu. - Łajdacy są wszędzie, kręcą się po wszystkich zakamarkach globu. Wolałbym tego nie mówić, ale czy pani nie ostrzegałem?

- Och! - jęknęła w odpowiedzi.

- Łajdak to nie jest pochlebne określenie. - Wychylił się i wyjrzał zza drzewa. - Nie widzę go.

- Ach! - odparła z uśmiechem.

Popatrzył znowu na nią.

- Dobry Boże! - mruknął, wziął ją za rękę i odprowadził od drzewa. - Chyba trzeba będzie się zaopatrzyć w konie.

- Słucham?

Ścisnął jej dłoń.

- Teraz już nie mogę pani zostawić samej, prawda?

- A mnie się wydawało, że przypominam panu jego siostrę - zauważyła.

Ściągnął brwi.

- W tej chwili przypomina mi pani jedynie kusicielkę - odparł szorstko.

Prudence uśmiechnęła się szerzej, na co Roan pokręcił głową.

- Umie pani jeździć konno, prawda? Lepiej ruszajmy do tego... gdzie my w ogóle jedziemy?

- Do Himple - przypomniała mu z uśmiechem.

- Himple - powtórzył, przewrócił oczami i westchnął ciężko.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W tym kraju zawsze ceniono konie. Niełatwo było je kupić, szczególnie kiedy nie znało się miejscowych realiów. Roan stanowczo nakazał pannie Cabot pozostać na zewnątrz, kiedy on będzie negocjował w stacji pocztowej cenę transportu. Chciała go od tego odwieść, zwracając uwagę na jego obcy akcent, który mógł utrudnić wzajemne zrozumienie. Roan wskazał na to, że pojawienie się samotnej i pozbawionej opieki panny również mogłoby utrudnić wzajemne zrozumienie. Pannie Cabot nie podobało się, że jej to wypomina, więc go oczywiście nie posłuchała.

To był dramat jego życia. Kobiety nigdy go nie słuchały. Ani matka, ani siostra, ani jego kochanki. Żadna z nich nie brała sobie do serca jego najrozsądniejszych rad, ale panna Cabot przerosła je wszystkie. Na dokładkę miała też irytujący nawyk mówienia wtedy, kiedy wolałby, aby milczała.

Miał nadzieję, że przynajmniej Susanna Pratt będzie mu bardziej posłuszna, ale za słabo ją znał, żeby cokolwiek przypuszczać. Wydawała mu się całkiem przyjemną młodą kobietą. W obecnej chwili za wszelką cenę starał się odszukiwać w niej wszystkie pozytywne cechy.

W pocztowej stacji wymiany koni zwracała uwagę przede wszystkim liczba worków z korespondencją zwieszających się z sufitu. Roan przecisnął się między nimi i przeszedł po skrzypiącej podłodze do kontuaru.

Za ladą siedziało dwóch starszych urzędników. Żaden z nich nie poruszył się na widok Roana. Sprawiali wrażenie, jakby siedzieli tam od zarania dziejów, przyśrubowani do stołków. Na pierwszy rzut oka dziwiło, że nie spowijają ich pajęczyny. Jeden zapuścił śnieżnobiałą brodę, drugi dla odmiany utracił większość włosów, ale w ramach zadośćuczynienia jego brwi stały się wręcz nieprawdopodobnie krzaczaste.

- Moje uszanowanie - ukłonił się Roan.

Starzec z brwiami skinął głową, brodacz najwyraźniej nie dosłyszał.

- Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie dostanę w okolicy wierzchowca.

- Co pan mówi? - zapytał brodacz. - Czy chce pan kupić konia?

Roan wolał się nie zastanawiać, jakie inne wierzchowce posiadają w okolicy.

- Tak - potwierdził. - Dwa konie.

- Dwa - powtórzył brodacz tonem wskazującym, że dwa konie to zbyt wiele.

- Tak, potrzebuję dwóch - podjął Roan. - Moja... żona i ja...

Niełatwo mu przyszło wykrztusić to słowo, nie wierzył jednak w to, że miał inne wyjście. Nie mógł wyznać, że podróżuje sam z niezamężną kobietą. Nie interesowało go zdanie zmurszałych starców na jego temat, ale nie chciał, żeby wzięli na języki pannę Cabot.

- Żona - powtórzył łysy starzec o krzaczastych brwiach i wymienił spojrzenia z brodaczem. Roan poczuł się nieswojo. Zastanawiał się, czy nikt z powozu nie wspomniał tu o nich. Może ktoś prosił, żeby wyglądali pannę Cabot?

- Dwa - przypomniał brodacz koledze.

- Czy jest jakiś problem? - zapytał Roan.

- Dylizans pocztowy będzie przejeżdżał w ciągu godziny - zauważył łysy. - Pana żona może kupić bilet.

- Oczywiście - zgodził się Roan. - Byłoby to doskonałe rozwiązanie, gdyby nie miewała w powozie zawrotów głowy.

Starcy skwitowali to milczeniem.

- Jest bardzo delikatna - wyjaśnił, niemal cedząc ostatnie słowo przez zęby. Panna Cabot nie sprawiła na nim wrażenia ani trochę delikatnej.

- O'Grady, co mieszka kawałek dalej - odparł wreszcie brodacz. - On zabiera niepotrzebne dla poczty.

Roan próbował dojść, co te zagadkowe słowa oznaczają, kiedy otworzyły się drzwi za jego plecami.

- Pani - ogłosił łysy.

- Przepraszam. Dobry wieczór panom. - Panna Cabot podeszła do Roana i uśmiechnęła się do niego. - Udało się?

- Tak - odparł Roan z naciskiem i objął ją delikatnie w talii. - Lepiej się poczujesz na zewnątrz...

- Czuję się świetnie - odparła radośnie i zrzuciła jego rękę. - Znalazłeś dla nas konia?

- Pan O'Grady ma najwyraźniej konie do sprzedania.

- Żona powinna poczekać, to kawałek drogi - poradził łysy.

- Żona... - odezwała się panna Cabot, ale Roan szybko się wtrącił.

- Dziękujemy! - zawołał i tym razem chwycił ją pewniej. - Na północ, prawda?

Pytanie zadał jeszcze głośniejszym głosem, jednocześnie przyciskając pannę Cabot do swojego boku i obracając ją tak, że jej twarz znalazła się przy samej jego piersi. Trzymając ją wciąż w ten sposób, obrócił się do wyjścia.

- Tak, na północ - potwierdził jeden z urzędników.

Roan otworzył drzwi i wypchnął pannę Cabot na zewnątrz.

Obróciła się jak fryga i stanęła naprzeciwko niego z rękami na biodrach.

- Powiedziałeś im, że jestem twoją żoną?

- Powiedziałem tobie, żebyś poczekała na zewnątrz.

- Czekałam. Ale potem zaczęłam się zastanawiać, dlaczego miałabym cię słuchać. Ile może zająć pytanie o konia? Po co im naopowiadałeś takich bzdur? Jakbym nie miała dość problemów.

- Chyba lepiej się nie przyznawać, że podróżuję z panną, z którą nie jestem w żaden sposób związany i którą ledwie znam.

- Och! - Prudence całkiem straciła pewność siebie.

- Może więc pójdziemy poszukać tego O'Grady'ego? - uciał Roan i schylił się po torby. Zaczął iść, nie oglądając się za siebie.

Panna Cabot dogoniła go w chwilę później, szurając rozchodzonymi pantoflami.

- Gdzie on mieszka? - zapytała oschle po półgodzinie maszerowania w milczeniu.

- Nie jestem całkowicie pewien.

Znowu zapadła między nimi cisza. Tylko niekiedy panna Cabot wzdychała ciężko. Na domiar złego ponownie wciągnęła czepek i Roan nie mógł już bezkarnie podzi-

wiać jej urody.

Po dłuższej chwili Prudence odezwała się ponownie.

- Nie mogę... - szepnęła boleśnie. - Nie wiem, czy dam radę...

- Tam! - Roan wyciągnął palec. W oddali rozciągała się łąka, na której dojrzał pięć pasących się koni. - To musi być nasz cel.

Na tę wiadomość Prudence znalazła w sobie jeszcze siły i przyspieszyła kroku.

Łąka była okolona kamieniami. Na jednym z nich panna Cabot prędko usiadła, ściągnęła pantofle i westchnęła.

- Nasze następne zadanie będzie polegało na odnalezieniu właściciela tych zwierząt - odezwał się Roan. - Nie może być daleko. Czy mogę ufać, że pozostaniesz tutaj, na tym ogrodzeniu, podczas gdy ja się rozejrzę?

- Tak - obiecała, patrząc na swoje stopy. Pończochy przesiąkły od popękanych pęcherzy.

Roan przykląkł przy niej i wziął w dłonie stopę Prudence.

- Nie! - przestraszyła się. - Co robisz?

Zignorował jej protest i zaczął delikatnie masować podeszwę jej stopy i już po chwili Prudence całkiem się rozluźniła.

- Nie powinienś - zaprotestowała słabo, kiedy ujął w dłonie drugą stopę. - To nieprzyzwoite... - dodała już z zamkniętymi oczami.

Uśmiechnął się zadowolony z widoku błogości, która zagościła na jej twarzy. Ani na chwilę nie zaprzestał masażu.

- To nie są odpowiednie buty do pieszych wędrówek po Anglii.

- To francuskie pantofle - odrzekła głucho.

- A co to ma do rzeczy? Są do niczego.

- To chyba oczywiste! Przecież nie powstały z myślą o maszerowaniu - odparła urażona, otwierając szeroko oczy.

Roan przestał czule ugniatać jej stopę, ale Prudence trąciła go nagląco drugą.

- Nie miałam zamiaru chodzić w nich po Anglii - podjęła, kiedy wrócił do masażu.

- Nie masz innych butów w torbie?

- Mam. Jedwabne - odparła. - W Ameryce pewnie przytwierdzacie sobie do nóg płaty bydlęcej skóry, żeby wam pasowały do spodni, i paradujecie w tym, udając modę.

Roan nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Proszę o wybaczenie, *milady* - wydusił w rozbawieniu. - Nie miałem zamiaru obrażać pani wyśmienitych francuskich pantofli.

- Mmm... - mruknęła udobruchana i znowu zamknęła oczy.

Kiedy Roan zakończył pieszczotliwy masaż, podniósł się i otrzepał spodnie, a panna Cabot rozprostowała nogi i wyciągnęła ukojone w bólu stopy.

- Czy mogę pani zaufać? - upewnił się Matheson.

- Tak. Idę z panem - odpowiedziała, przechylając głowę na bok.

- Nie słyszałaś, co mówiłem? - podszedł do niej i złapał ją pod brodę. Panna Cabot uśmiechnęła się do niego. - Nie. Zostaniesz dokładnie tutaj, na tym ogrodzeniu, a ja pójdę się rozejrzeć.

Prudence złapała go nieśpiesznie, wyprostowała się i tak bardzo zbliżyła twarz do jego twarzy, że wyraźnie dojrzał ciemnobrązowy rdzeń w orzechowych tęczówkach

jej oczu.

- Idę z tobą - powtórzyła dobitnie. - Jesteś tu obcy i nie umiesz załatwiać spraw.

Roan nie przyjął tego do wiadomości.

- Czego nie umiem?

- Gadać z farmerami. - Skrzywiła się, na nowo wciągając buty na nogi. Nie zwracała uwagi na niedowierzanie, z jakim na nią patrzył.

- Zostań - próbował jej perswadować.

- Nie. - Poruszała niepewnie nogami w kostkach, po czym złożyła ręce na podółku i spojrzała w górę na Roana. - Zamierzasz się na mnie przez cały dzień patrzeć czy jednak postaramy się zdobyć konia?

Roan westchnął zrezygnowany. Umiał rozpoznać wzrok upartej kobiety. Wyciągnął do niej rękę.

Przecięli pastwisko, przyglądając się pasącym się koniom. Nie były to młode zwierzęta, a jedno miało dziwny guz na zadzie, po prawej stronie.

- Ojej! - szepnęła panna Cabot.

Roan ocenił je jednak inaczej. W jego oczach były to silne i niedrogie wierzchowce.

- Nadadzą się - orzekł.

Po drugiej stronie pastwiska, na łące poniżej, Roan dojrzał kilka chat. Z kominów dobywał się jasny dym. Przystanął.

- Jak tu uroczo! - zachwyciła się panna Cabot.

Roan spojrzał na nią, nie rozumiejąc, o czym mówi. Na jej buzię padły promienie słońca i rozjaśniły piegi na jej nosie. Wyglądała niezwykle rześko, w świetle wydarzeń mijającego dnia.

- Nie uważasz?

Niechętnie zwrócił spojrzenie na sioło. Na jednym podwórzu taplała się w błocie maciora, dookoła kręciło się kilka kur. W cieniu drzewa przy chacie skrył się pies. Wyciągał nos do wiatru, łowiąc obce zapachy.

- Uroczo? Nie powiedziałbym - odrzekł, spoglądając na psa, który mierzył go wzrokiem. - Zaczekaj tutaj.

Zrobił ostrożnie kilka kroków. Pies poderwał się na cztery łapy, zamierdał ogonem i rozszczękał się ostrzegawczo.

Z wnętrza jednej z chat wyłonił się mężczyzna. Ruszył w stronę Roana jak wypasiona krowa, krocząca leniwie do obory. Z bliska Roan dostrzegł, że brakuje mu zęba i oka po jednej stronie twarzy, jakby to były pamiątki po bardzo nieprzyjemnej przygodzie. Zaciekawilo to Roana, ale przede wszystkim zależało mu na dobieciu targu i nie chciał ryzykować niechęci gospodarza.

- Tak? - zapytał farmer, wyrażając połowę zaciekawienia. Spoglądał za plecami Roana na pannę Cabot, która splotła dłonie i odganiała się stopą od kury, która dziobała przy niej ziemię.

- Dzień dobry! - rzekł Roan. - Czy nie rozstałby się pan przypadkiem z parą koni?

Spojrzenie gospodarza powędrowało do pięciu koni na pastwisku.

- Tak? - powtórzył, zbijając Roana z pantafelku. Nie wiedział, czy ma ponowić ostatnie słowa, czy ciągnąć myśl dalej. Wybrał tę drugą ewentualność.

- Potrzebujemy też dwóch siodeł, jeśli łaska. Podróżujemy do West Lee.

- Wesleyh? Dyliżans jedzie na południe. - Gospodarz machnął od niechcenia ręką w stronę wioski, skąd właśnie przyszli.

- Nie do tego West Lee. Do tego na północy.

- Chodzi o Wesleya? - Gospodarz ściągnął brwi. - To czego mówicie Wesleyh?

Roan wziął głęboki oddech. Nadal nie słyszał żadnej różnicy między tymi nazwami.

- Podróżuję na północ i potrzeba mi dwóch koni, a pan ma ich pięć na swoim państwie. Może któreś są na sprzedaż?

Stary gospodarz przez chwilę mierzył w milczeniu Roana wzrokiem.

- Piętnaście funtów.

Roan wprost oniemiał na tak wygórowaną cenę.

- Piętnaście funtów za dwie chabety?

- Nie za dwie, *sir* - wyjaśnił cierpliwie starzec. - Za jedną.

- Za jednego konia? - Roan gestykulował zawzięcie. - Nie są warte nawet ćwierć pensa!

- Ojej, ćwierć pensa? Tyle na pewno są warte. Może chodzi ci raczej o funta?

Roanowi ledwie udało się powstrzymać przekleństwo, które na głos panny Cabot cisnęło mu się na usta. Spojrzał wymownie na pokrzywy, wplątane w jej sukienkę, i odrzekł cicho i spokojnie:

- Chodziło mi o ćwierć pensa. - Ponownie zwrócił się do starca: - Mogę pana na chwilę przeprosić?

Odwrócił się do panny Cabot, położył jej ręce na ramionach, obrócił ją w miejscu i odprowadził poza zasięg słuchu gospodarza.

- Co pani, u licha, wyprawia? Proszę mi dać dobić targu z tym starym capem.

- Dobrze już, dobrze - odpowiedziała jakby nigdy nic. - Ale ćwierć pensa to naprawdę bardzo mało. Nawet bardzo stara szkapa byłaby warta więcej. Pokazać ci?

Sięgnęła do swojej torebki, ale natychmiast ją powstrzymał.

- Wiem, ile to ćwierć pensa. Naprawdę myślałaś, że wyruszyłem beztrąsko do Anglii, nie dbając o zwyczaje i nie wiedząc nic o walucie?

- No, cóż... - Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok, jakby dokładnie odgadł jej myśli. - W końcu zaproponowałaś ćwierć pensa...

- Nie zamierzam ci teraz tłumaczyć niuansów negocjacji handlowych! - warknął pod nosem. - Wracam do tego wieśniaka i nie chcę od ciebie usłyszeć już ani jednego słowa.

Odwrócił się od niej i podszedł do starego gospodarza, który podparł się łokciami o drewniane ogrodzenie. Pies warował mu u stóp.

- Dam panu dziesięć funtów za dwa - zaproponował Roan i sięgnął do kieszeni po portfel.

- Piętnaście za jednego - przypomniał mu starzec.

- Nedoręczność - odparł Roan. - Panu się zdaje, że ja chcę je rozmnażać? Że chcę sobie wyhodować stadko nędznych, garbatych chabet?

Stary wzruszył ramionami.

- To może dwadzieścia funtów?

Panna Cabot znowu nadeszła, przystanąła u boku Roana i uśmiechnęła się do starego farmera.

- Całkiem rozsądna propozycja - wtrąciła. - Chociaż dwadzieścia funtów to fura pieniędzy. Czy pan wie, że nasz strażnik łowiecki, pan Cuniff, sprzedał za dwadzieścia funtów powóz i posłał za to najmłodszego do szkoły? To niemal fortuna.

Roan chciałby posłać Prudence do wszystkich diabłów, najchętniej z kopniakiem na rozpęd, ale stary go zaskoczył: bowiem uśmiechnął się.

- Co racja, to racja - odpowiedział.

- Gdyby pan był skłonny przyjąć dwadzieścia funtów, pozostałabym pana dłużniczką. Mój kuzyn - dodała, spoglądając na Roana - nie ma za dużo pieniędzy. Byłabym wdzięczna, gdyby znalazł pan sposób, aby zgodzić się na tę cenę.

Uśmiechnęła się słodko i na chwilę stała się wręcz uosobieniem anioła na ziemi.

- Dobrze, dla panienki specjalnie się zgodzę na tę cenę - odrzekł stary.

Roan jęknął i wbił w Prudence wściekłe spojrzenie. Nie mógł uwierzyć, że zgodziła się na sumę o dziesięć funtów większą od tej, którą zamierzał zapłacić. I to od razu za dwa konie! Miał w każdym razie nadzieję, że stary mówił o dwóch, a nie o jednym.

- W tej cenie powinniśmy też dostać siodła - dodał. - Ja mogę jechać na oklep, ale na pewno nie moja kuzynka.

- W tej cenie dostaniecie tylko jednego konia bez siodła - odpowiedział farmer.

- Co? - zawołała panna Cabot. - Mówiliśmy o dwóch!

- Mówiliśmy tylko o cenie, panienko, a nie za ile zwierząt. Ja powiedziałem piętnaście za jednego. Panienka na to, że dwadzieścia. To ma się rozumieć, że też chodziło o jednego.

Prudence zabrakło słów. Skołowana szukała wzrokiem ratunku u Roana.

- Nie to miałam na myśli - wydukała. Nagle obróciła się wściekła w stronę starca.

- Proszę posłuchać, łaskawy panie...

Roan pojął, że musi jej przerwać, zanim zdąży napytać sobie biedy.

- To nie w porządku...

- Ależ nie, nie - wciął się i dodał cicho: - Nic już nie mów. Ani słowa...

- Przecież on...

- On ma konie - przypomniał jej w nadziei, że wyczyta mu w oczach, jak bardzo ważne jest teraz milczenie.

- Nie możesz się zgodzić - szepnęła żarliwie.

- Ty już się zgodziłaś - odszepnął równie gorąco. Zerknął przez ramię na O'Grady'ego, który patrzył na nich z pewnym rozbawieniem.

Roan odsunął Prudence kilka kroków do tyłu i stanął tak blisko niej, że widział wyraźnie doskonałość jej gładkiej skóry, jasny meszek na skroniach i leciutkie zmarszczki od uśmiechu w kącikach oczu. Zwrócił uwagę na usta, które zupełnie niedawno całował zapamiętane, a które teraz wydały mu się jeszcze pełniejsze.

Ściągnęła złotowłose brwi.

- Jesteś wyczerpany i ja także - powiedziała Prudence, przywracając Roana do rzeczywistości. - Ale nie pozwolę ci kupić konia w tak wygórowanej cenie.

Sięgnęła po torebkę.

- Proszę to odłożyć albo będę musiał odebrać ci ją siłą, panno Cabot. Mam swoją godność!

- A ja mam swoją!



- Uwierz mi, że o takiej godności jak moja to możesz tylko pomarzyć. Jeśli natychmiast nie odłożysz tej swojej śmiesznej torebki, to nie dość, że sprzedam cię za żonę panu O'Grady'emu, ale nawet wezmę od niego w zamian maciorę.

Prudence nie posiadała się z oburzenia. Jej śliczną twarz wykrzywił wyraz tak potężnej złości, że Roan niemal fizycznie odczuł jej żar. Obróciła się na pięcie i odmaszerowała w stronę pastwiska.

O jedną chabetę, jedną uzdę i jeden postronek później – chociaż bez siodła – Roan zarzucił ich torby na grzbiet zmęczonej szkapy, podsadził pannę Cabot, która wbiła mu obcas w splecione dłonie, i ją też wrzucił na górę. Wylądowała z obiema nogami po jednym boku konia.

- Podciągnij halkę – podsunął jej Roan. – I przerzuc nogę.

- Nie zrobię nic podobnego!

- Nie możesz tak jechać – odparł zniecierpliwiony. – Musimy się tam oboje zmieścić.

Nawet na niego nie spojrzała, tylko poprawiła się i mocno złapała się grzywy.

Roan ryknął. Nie rozumiał, dlaczego młode kobiety są takie krnąbrne. Zachowywały się tak, jakby musiały przez cały czas udowodniać, że mogą robić to samo, co mężczyźni.

Położył Prudence rękę na udzie, żeby zwrócić na siebie uwagę, i poczuł pod palcami, jak jest smukłe i sprężyste.

- Tracimy resztki dnia – spróbował jej przemówić do rozsądku.

- Więc niech pan wsiada na konia, panie Matheson, i ruszajmy w drogę.

- Niech ci będzie – warknął. – Ale nie zamierzam tolerować żadnych łez, kiedy spadniesz.

Jednym susem znalazł się na końskim grzbiecie. Stara kobyła postąpiła dwa kroki w bok, nieprzyzwyczajona do takiego ciężaru. Roan musiał przerzucić sobie nogi panny Cabot przez prawe udo i objąć ją, żeby wziąć wodze. Koń potrząsnął głową i Prudence zsunęła się na niego, a jej ramię wpasowało się dokładnie pod jego brodę.

- Na wszystkie... – zaczął, ale Prudence okręciła się i jakimś cudem przerzuciła nogę nad końską szyją. Sadowiła się przez chwilę, poprawiała sukienkę i czepek.

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli kogoś spotkamy, natychmiast spadnę z tego konia?

- Jeśli nie przestaniesz się wiercić, sam cię zaraz zrzucę – ostrzegł ją i popędził konia do kłusa.

Prudence pisnęła z zaskoczenia, kiedy w kilku podskokach znalazła się dokładnie pomiędzy nogami Roana, który od razu doszedł do wniosku, że zapowiada się najbardziej bolesna przejażdżka w jego życiu.

Jeszcze żadna kobieta nie zawróciła mu tak dokumentnie w głowie. Nigdy by się nie spodziewał, że da się w jakikolwiek sposób namówić na zakup konia i jazdę na oklep z piękną kobietą. Zadrzał na myśl, do czego jeszcze są zdolne nakłonić go jej orzechowobrazowe oczy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zdawało się, jakby godzinami jechali wąską polną dróżką, nie spotykając żywego ducha. Niekiedy Prudence widywała za łąką słup dymu z dalekiego komina albo stado owiec na zboczu odległego wzgórza. Na zachód jednak kraj sprawiał wrażenie opuszczonego.

Ich stara szkapa, jak ochrzcił wierzchowca Matheson, wlokła się noga za nogą. Nie było sposobu, żeby zmusić ją do przyspieszenia kroku.

- Z trudem znoszę myśl, ile musiałem zapłacić za tę chabetę - wyznał z naciskiem na „chabetę”, bo właśnie podjął kolejną bezowocną próbę pogonienia kłaczy.

Zatrzymywali się niekiedy, żeby dać jej odpocząć. Nadeszło dość ciepłe późne popołudnie. Prudence ściągnęła czepek i spencer i razem z torebką schowała do torby podróżnej.

Jednak bez spencera jeszcze silniej czuła obecność Mathesona za plecami. Od góraca między ich ciałami miała wilgotną skórę. Czuła kontury jego umięśnionego torsu i ud, którymi przywarł do jej bioder. Pozycja ta była niepokojąca i niestosowna, ale ku zaskoczeniu Prudence podobało jej się to.

Powędrowała myślami do sprośnych obrazków, które widywała w niektórych książkach, i próbowała sobie wyobrazić Roana Mathesona bez ubrania. Przez te myśli poczuła wilgoć nie tylko na plecach, ale nie dbała już o przyzwoitość. Nigdy nie przebywała tak blisko z mężczyzną, a po pocałunku pod drzewem nadmierna cnotliwość wydawała się jej nie całkiem na miejscu.

To nie oznaczało dla niej, że byłaby gotowa całkiem zapomnieć o swojej cnotce, a w każdym razie tak sobie po cichu powtarzała.

Kiedy jego bliskość i natłok nieprzyzwoitych skojarzeń stały się dla niej nie do zniesienia, spróbowała przenieść swoją uwagę w innym kierunku. Nieważne w jakim.

Najpierw spróbowała z nim rozmawiać i zadawała mu wciąż kolejne pytania. Chciała się na przykład dowiedzieć, czy podoba mu się Nowy Jork i czy jest dużym miastem, czy podróż była trudna, a nawet ilu marynarzy potrzeba do załogi statku. Matheson okazał się jednak mało rozmowny i wkrótce odpowiadał na jej niezliczone pytania ponurymi monosylabami.

W tej trudnej sytuacji ostatnim ratunkiem dla Prudence było nucenie. Wszyscy zgadzali się, że jest dobrą pianistką i Prudence przyznawała to bez fałszywej skromności. Niestety śpiewanie nie było jej najmocniejszą stroną. Nucąc, zagłuszała burczenie swojego pustego żołądka i odganiała mrowienie, które czuła za każdym razem, kiedy kobyła się potknęła, wciskając ją jeszcze bardziej w Mathesona.

Nogi zaczęły boleć Prudence od niewygodnego siedzenia, ale nie mogła ich rozluźnić, bo już całkiem oparłaby się na Roanie. Zaczęła więc śpiewać.

Kiedy objął ją ramieniem w talii, wydała z siebie niemal operową arię.

- Błagam... przestań - szepnęła.

- Śpiewać?

- Śpiewać, mówić... - odrzekł błagalnie.

- Staram się tylko zabić czas - odparła nieco urażona, że nie docenił jej wysiłku.

Nagle poczuła zawroty głowy. - Chcę się zatrzymać.

- Bogu dzięki!

- Mam na myśli konia. Muszę zejść.

- Już za chwilę. Jesteśmy prawie na miejscu.

- Natychmiast, panie Matheson! - podniosła głos, bo ogarnęły ją mdłości.

Ściągnął wodze, a Prudence błyskawicznie zeskoczyła na ziemię. Nogi się pod nią ugięły i upadła na czworaka.

- Panno Cabot! - Matheson w jednej chwili znalazł się przy niej i pomógł jej się podnieść. Odsunął włosy z jej twarzy. - Nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku. Naprawdę. - Odsunęła jego ręce od siebie, ale zaraz położyła dłoń na brzuchu.

- Co się stało? - zapytał z troską w głosie. - Jest pani chora?

- Nie. - Skrzywiła się. - Może trochę...

Wziął jej twarz w dłonie.

- Nie ma pani gorączki. Boli panią głowa?

- Nie wiem - odrzekła słabo, trzymając się za brzuch.

- Musisz coś zjeść - zawyrokował stanowczo. - Gdzie jest prowiant, którym mnie częstowałaś?

- W torbie.

Zostawił ją i podszedł do konia. Zdjął torbę, otworzył ją i podsunął Prudence, a ona wyjęła zawiniątko. Oboje zajrzeli do środka i popatrzyli na nędzne pozostałości sutej porcji. Skrawek sera, dwa ciastka i przylepka czerstwego chleba. Prudence spojrzała oskarżycielsko na Roana.

- Chyba zjadłem więcej, niż mi się zdawało - przyznał ze wstydem. - Zjedz wszystko, co zostało, wkrótce dojedziemy do wioski. Tam postaramy się o obfitą kolację.

- Nie ma tu żadnej wioski - odparła ponuro, przeżuwając wysuszone ciastko. - Przez cały dzień nie napotkaliśmy ani jednego gospodarstwa. Musimy być niedaleko Brasenton Park.

- Co to za miejsce?

- Majątek hrabiego Cargyle'a - wyjaśniła. - Rozciąga się po drodze między Ashton Down i Himple. Pani Bulworth opowiadała, że jest olbrzymi i dziki, zupełnie jak ta okolica.

Matheson odgryzł kawałek sera.

- Pewnie zapomniałaś, że przyjechałem tą drogą. Od najbliższego domostwa dzieli nas najwyżej pół godziny jazdy.

- Pół godziny! - Prudence skrzywiła się boleśnie na samą myśl o tym, że będzie musiała znowu usiąść na kościstym grzbiecie wychudzonej klaczy.

- Chodź. - Objął ją za ramię. - Pomyśl o wannie z gorącą wodą, którą możemy zamówić u karczmarza.

- Wanna... - powtórzyła marzycielsko.

Matheson pomógł jej wspiąć się znowu na konia, a sam szedł obok, bo chabeta

powłóczyła już nogami.

Okazało się, że za bardzo się nie pomylił. W ciągu kwadransa słońce zniżyło się nad horyzont i właśnie wtedy dotarli do gospody.

- Jedzenie na zawietrznej! - zawołał Matheson i z radości poklepał Prudence po nodze.

Tawerna stała samotnie przy drodze. Nie otaczały jej żadne budynki. Trudno było Prudence wyobrazić sobie, jakiego posiłku mogą się spodziewać w tak zaniedbanym przybytku. Odrapany tynk i zapadnięty dach nie wróżyły rozkoszy podniebienia. Z jedyne go okna od frontu samotna okiennica zwisała na wykręconym zawiasie.

Kiedy podjechali bliżej, drzwi się otworzyły i wypadł z nich mężczyzna. Zataczając się, ruszył ścieżką i po chwili zniknął w pobliskim zagajniku.

Prudence żołądek się ścisnął na myśl o jedzeniu czegokolwiek z tutejszej kuchni.

- Nie jestem głodna - rzuciła niespokojnie. - Nie musimy tam wchodzić.

- Z nikim nie rozmawiaj, rozumiesz? - polecił jej Matheson, nie zwracając uwagi na jej słowa. - Jeśli ktoś cię zaczepi, natychmiast stąd odjedź. Umiesz jeździć konno, prawda?

- Oczywiście, że umiem. Ale nie ma potrzeby...

- Żadnych ale, Prudence. Po prostu zaczekaj.

Odszedł. Zapewne bardziej by się opierała, ale zbiło ją z tropu to, jak wypowiedział jej imię. Z troską i uczuciem. I w jego ustach jej imię zabrzmiało pięknie, lekko i słodko, choć nigdy wcześniej tak o nim nie myślała.

Kiedy Roan zniknął w tawernie, Prudence zsunęła się z konia. Tym razem uważała, żeby się nie wywrócić. Stała obok starej szkapę i głaskała ją po szyi, czujnie spoglądając na drzwi gospody. Dobiegał ją ze środka głośny śmiech, basowe głosy mężczyzn i przenikliwy pisk kobiety. Prudence cofnęła się w cień, a serce zabiło jej szybciej ze strachu. Miała złe przeczucia co do tego miejsca i martwiła się, że Matheson zbyt długo nie wychodzi.

Nagle drzwi rozwarły się z impetem i Matheson wyszedł na zewnątrz. Miał ponury wyraz twarzy i wypchane kieszenie.

- Co się stało? - krzyknęła Prudence.

Roan nie odpowiedział. Chwycił ją w pól i niemal wrzucił na grzbiet klaczy, jednym płynnym ruchem samemu wskakując za jej plecy. Objął ją w talii, złapał wodze i z okrzykiem pognął szkapę z miejsca do galopu. Prudence krzyknęła przestraszona, więc Roan przycisnął ją do siebie. Klacz pędziła nierówno, podrzucając ich na grzbiecie jak małe dzieci.

Niewiele czasu jednak minęło, a galop przeszedł w kłus i kobyła nie dawała się już drugi raz przyspieszyć, choć Matheson wychodził ze skóry.

Prudence popatrzyła przez ramię, czy nie gonią ich żadni jeźdźcy, ale nikt za nimi nie jechał.

- Co się stało? - zapytała. - Przed czym uciekamy?

- Nie przyjęto mnie tam zbyt ciepło - wyjaśnił. - Uznałem, że lepiej tam dłużej nie pozostawać.

Ściągnął cugle i skierował klacz z drogi na ścieżkę, która biegła nad brzegiem strumienia.

- Dokąd jedziemy? - zainteresowała się Prudence. Słońce chyliło się ku zachodo-

wi i zapadał już zmierzch.

- Zatrzymamy się tu na noc - odparł stanowczo. - Klacz jest już zdrożona.

- Ale tu nie ma żadnej gospody! Żadnego schronienia! - zawołała Prudence przerażona. Taki obrót wypadków nawet jej przez myśl nie przeszedł. Roan wspominał przecież, że niedaleko jest wioska.

- Co się stało, Prudence? Czyżbyś nigdy nie spała pod gołym niebem? - zapytał jowialnie.

- Nie! - odparła przerażona i poczuła, że za jej plecami Matheson zatrzęsł się od tłumionego śmiechu. Ściągnął wodze, zatrzymał starą klacz i zwinnie zeskoczył na ziemię.

- Zejdź - rzekł łagodnie i podniósł ją jak dziecko z końskiego grzbietu. Kiedy już znalazła się obok niego, wyjął z jednej kieszeni pergaminowe zawiniątko, a z drugiej - butelkę. Prudence zamrugnęła zaskoczona.

- Pieczeń, chleb... - podał jej pakunek. - Oraz porter.

- Kupiłeś to?

- Nie całkiem - odrzekł z przekornym błyskiem w oku. - Powiedzmy, że oberżystka zaoferowała mi pomoc. Pomóż mi nazbierać chrustu.

Prudence pozbierała drewno, a w głowie wirowały jej podejrzenia co do tego, jak udało mu się uzyskać pomoc od nieznajomej kobiety.

Matheson okazał się doświadczonego obozowiczem. Wzniecił ogień dwoma kawałkami drewna w podobny sposób, jaki Prudence podpatrzyła kiedyś u leśniczego w Blackwood, i niedługo później zapłonęło trzaskające ognisko. Roan rozłożył dla niej płaszcz na ziemi, przeszukał też jej torbę i wybrał jej trykotową koszulę. Okrył Prudence i usiadł przy ogniu. Widziała, że wyciągnął pistolet z cholewy buta i schował do kieszeni.

Nadział pieczeń na kij i zaczął ją opiekać nad ogniem. Ściekający z mięsa tłuszcz skwierczał w żarze. Po kilku chwilach podał Prudence kawałek mięsa parujący na kiju.

- Zjedz - polecił jej krótko.

Nie opierała się. Nieciekawo ochłap okazał się najsmaczniejszym posiłkiem, jaki w życiu jadła. Nie zdawała sobie sprawy, jak była głodna.

Podał jej butelkę portera. Spojrzała na nią z nieufnością.

- Pijasz piwo, prawda? - zapytał niepewnie.

Prudence miała piwo w ustach może dwa razy w życiu, ale skinęła głową i wzięła butelkę.

Porter okazał się nawet smaczniejszy od mięsa. Rozlał się po jej wnętrzu ciepłą falą i odpędził chłód, który zaczął się zakradać z nadejściem wieczoru.

Kiedy oboje się posilili, Prudence otarła niegrzecznie usta wierzchem dłoni.

- Muszę umyć ręce - wyznała i poszła nad strugę. Przykucnęła nad wodą i przy okazji spojrzała na materiał bladoniebieskiej sukienki. Wyglądała jak łachman wyciągnięty z zarośli. Oblepiona była brudem i końską sierścią, a do rąbka poprzczebiały się rzepy. Prudence uwielbiała tę sukienkę, ale w tym stanie nawet Hannah, pokojówka i opiekunka matki, nie byłaby w stanie jej już uratować.

Obmyła twarz najdokładniej, jak mogła, i spróbowała poprawić rozczochrane włosy. Wyglądała, jakby ptaki uwiły sobie na jej głowie gniazdo. Miała tylko nadzieję,

że grzebień z kości słoniowej wystarczy, żeby przywrócić im jaki taki wygląd.

Kiedy wróciła do ogniska, zastała Mathesona wyciągniętego na boku. Zrozumiała, że przyglądał się jej przez cały czas. Miała wrażenie, że jego oczy pociemniały, jakby się zachmurzył. Cokolwiek się zmieniło, jego spojrzenie sprawiło, że zadrżała. Przycupnęła na jego płaszczu.

Matheson milczał; wyciągnął tylko rękę i dotknął opuszką kącika jej ust. Trudno by to nawet nazwać dotykiem, było to zaledwie muśnięcie, a jednak Roan nie cofnął ręki ani nie odwrócił wzroku, tylko cały czas wpatrywał się w jej oczy. Poczuli się bardzo nieswojo. Nie mogłaby powiedzieć, jakie to było uczucie, ale okazało się tak przemożne i potężne, że pochłonęło ją jak wzburzony ocean.

Chwyciła go za nadgarstek i cofnęła jego dłoń, ale zaraz ku swojemu zaskoczeniu wzięła jego palec między wargi. Dotknęła go koniuszkiem języka issała lekko, jakby to był cukierek. Matheson wziął głęboki oddech. Spojrzał na jej usta, a jego twarz się zmieniła; wyrażała silne pragnienie, jakby po tym posiłku chciał na deser ją pożreć. Serce Prudence zabiło szybciej. Nie mogła się powstrzymać od myśli, że ona też by tego chciała.

Matheson powoli wyciągnął palec z jej ust i ścisnął rękę, jakby chciał ją ostrzec.

- Usiądź - polecił.

Ona jednak nie ruszyła się, zahipnotyzowana jego spojrzeniem i wyrazem ust.

- Jeśli nie usiądziesz, poniesiesz konsekwencje!

Prudence zrozumiała, co miał na myśli, i ogarnął ją lęk. Nie dlatego jednak, że obawiała się tego, co może z nią zrobić, ale przeciwnie: dlatego że wcale się tego nie bała. Przestraszyła się, że tak łatwo zrezygnowałaby z cnoty i poczucia przyzwoitości. Czy nie dość sobie napytała biedy jak na jeden dzień?

Ale z drugiej strony patrząc, pomyślała, po co miałabym w tym momencie się powstrzymywać? Tym bardziej że ta chwila się więcej nie powtórzy.

Matheson wyczuł jej wahanie i pokręcił głową.

- Jesteś równie niefrasobliwa, jak moja siostrzyczka.

- Z tym, że nie jestem twoją siostrą - szepnęła, niemal dotykając wargami jego ust.

Matheson uśmiechnął się z uznaniem.

- To prawda. - Jego wzrok prześlizgnął się po jej rozchylonej koszuli. - Uważaj jednak, bo jakiś młody mężczyzna...

Nagle Matheson zerwał się na nogi i wpatrywał w cień, który spowił niedalekie zarośla.

- Co się stało? - zapytała Prudence zaniepokojona i też się podniosła.

Matheson położył palec na ustach i podszedł kilka kroków do przodu. Naraz znie-ruchomiał. Spośród zarośli wyszli na polankę trzej mężczyźni. Ustawili się szeroko, żeby uniemożliwić im ucieczkę. Serce Prudence zaczęło bić jak szalone.

- Co my tu mamy? - rzucił dryblas bez kilku zębów na przodzie. - Gniazdko ko-chanków?

Towarzyszący mu obwiesie zaśmiali się paskudnie.

Prudence zrobiło się niedobrze. W jednej chwili przypomniała sobie wszystkie straszne historie, którymi bezlitośnie raczyła ich Mercy.

- Dobry wieczór panom - odezwał się Matheson, rozstawiając szerzej nogi i zaci-

skając opuszczone pięści. – Zaproponowałbym wam posiłek, ale niestety nie mamy już nic do podziału.

Dryblas spojrział na Prudence.

– Doprawdy? – warknął, oglądając ją z plugawym uśmiechem.

Poczuła, że za chwilę zymiotuje. Musiała wydać jęk przerażenia, bo Matheson chwycił ją za ramię i przesunął za swoje plecy.

– Jak już powiedziałem, nie mamy nic do podziału – powtórzył niskim i gniewnym głosem.

Wysoki drab zaczął z wolna podchodzić, a jego kamraci zaszli ich od boków. Jeden schylił się po torbę podróżną.

– Nie! – jęknęła. W tym samym momencie dało się słyszeć wstrętne uderzenie pięści w kość. Matheson wymierzył drągalowi cios prosto w twarz, obalając go na ziemię, i natychmiast skoczył na niego.

Potoczyli się po ziemi, a Prudence zaczęła się bać, zwłaszcza że dwaj pozostali przyskoczyli do nich i zaczęli odciągać Mathesona.

Matheson jednak nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Odwinął się do jednego z napastników i uderzył go w szczękę. Dał się słyszeć trzask pękającej kości. Mężczyzna osunął się na ziemię, przyciskając ręce do twarzy. Matheson tańczył dalej między napastnikami, rozdzielając ciosy i nie dając się osaczyć, jednak w zamieszaniu wypadł mu z kieszeni pistolet i potoczył się pod nogi walczących. Prudence rzucała się po niego i zdołała go pochwycić, zanim którykolwiek z mężczyzn go zauważył.

Jednak nawet dla Mathesona taka walka okazała się nierówna. Dwaj napastnicy obłapili go w końcu za ręce, a dryblas zaczął go bić w brzuch.

Prudence ogarnęła panika i z jej gardła wyrwał się przeraźliwy krzyk. Czterej mężczyźni zaczęli się rozglądać zdziwieni.

– Poszaleliście? – wrzasnęła na nich. – Myślicie, że jego lordowska mość będzie się z wami cackał, kiedy dowie się, co się przytrafiło jego gościom?

Dryblas obrócił się do niej z nadal uniesioną pięścią.

– Tak jest! – zapewniła go żarliwie, na potwierdzenie słów kiwając głową. Jednocześnie ukryła pistolet w fałdach spódnicy. – Ten mężczyzna jest gościem lorda Cargyle’a.

– Prudence... – próbował ją powstrzymać Roan, ale jeden z napastników uderzył go pod żebra.

Wysoki roześmiał się.

– Cargyle, ślicznotko? On jest wiele mil stąd – ściszył głos. – Tutaj nikt nie usłyszy twoich krzyków.

Wstrzymała oddech i wycelowała w niego lufę broni.

– Moich krzyków... albo waszych – wycodziła przez zęby.

To wystarczyło, żeby się zawahał.

– Odłóż go, dziewczko – rzucił. – Nawet nie wiesz, jak działa.

– O, wiem doskonale! – Miała głos zachrypnięty ze strachu. – Zadbał o to mój ojciec, hrabia Beckington.

Dryblas popatrzył po towarzyszach i ukłonił się kpiarsko.

– Panno Beckington – rzekł, ale wzrok miał wbity w pistolet.

Prudence odciągnęła kurek tak, jak pokazał jej Roan.

- Prudence, nie...

- Nie zabijać go? - weszła Mathesonowi w słowo. Serce biło jej tak mocno, że cała dygotała. - Puśćcie go! Puśćcie albo dostaniesz kulkę między oczy.

- Naprawdę? - Drab pochylił się i uśmiechnął okrutnie. Prudence zrozumiała, że wyczuł jej strach. Zrobił następny krok w jej stronę. - Lubię ogniste panny.

- Prudence! - zawołał Matheson, ale znowu uciszył go cios.

Była istotnie przerażona, ale ogarnęła ją wściekłość. Przypomniała sobie, jak pouczała ją lady Chatham, zanim wraz z innymi debiutantkami dostąpiła zaszczytu poznania króla. „Omdlewać tu nie przystoi. Schowaj dłonie za plecami i zaciśnij z całej siły, żeby przestały drżeć”.

To samo zrobiła teraz. Zacisnęła dłonie na rękojeści pistoletu, aż zbieleły jej kłykcie, i miała wrażenie, że metal rani jej skórę. Podniosła głowę i spojrzała zbójowi w oczy z tym samym przekonaniem, z którym patrzyła w oczy królowi.

- Jeszcze krok, a pana zastrzelę. Ostrzegam po raz ostatni.

Wycelowała pistolet dokładnie w jego głowę.

Drab zmrużył oczy. Przyglądał się jej zbity z tropu.

- Oddaj pistolet - rzekł nagle i skoczył ku niej. W tym samym momencie Prudence wystrzeliła. Nie wiedziała, gdzie trafiła, ale nie było wątpliwości, że postrzeliła napastnika, który z krzykiem potoczył się po ziemi. Jego kamraci puścili Mathesona i pobiegli mu na ratunek.

Jakimś cudem Matheson podniósł się jeszcze i zamierzył nożem w drugiego łajdaka, raniąc go w ramię.

- Podnieśmy go! - biadolił trzeci. W pośpiechu na wpół prowadząc, na wpół ciągnąc, zabrali prowodyra i zniknęli tam, skąd przyszli.

Prudence zastygła z pistoletem wyciągniętym przed siebie. Dygotała jak w febrze.

- Prudence? Odłóż broń - zachrypiał Matheson.

Odwróciła wzrok od drzew i spojrzała na Roana. Kołysał się niepewnie na nogach. Wypuścił nóż z ręki i padł na kolana.

- Och! - zawołała, podbiegła do niego i położyła mu ręce na ramionach.

- Właśnie! - jęknął Matheson i skrzywił się z bólu. Przycisnął dłoń do brzucha. - Uciekać, tchórze!

W nikłym świetle ogniska Prudence nie mogła mu się dobrze przyjrzeć, ale na pewno jedno oko podchodziło już opuchlizną, a z jego nosa płynęła krew.

Kiedy położył dłoń na jej ramieniu, dostrzegła stan jego kłykci.

- Pomóż mi wstać. Nie chcę umrzeć rozciągnięty na ziemi jak jakiś pijak. - Skrzywił się znowu, bo mówienie sprawiało mu ból.

- Nie możesz umrzeć! - zawołała rozpaczliwie, wzięła go dwiema rękami pod ramię i podniosła. - Nie pozwolę ci! Proszę, panie Matheson!

Udało mu się utrzymać na nogach i wyszczerzył do niej zęby w bolesnym uśmiechu.

- Już wyzdrowiałem - rzekł, dysząc ciężko. Zarzucił jej ciężką rękę na ramiona. - Gdzie pistolet? Lepiej się z nim nie rozstawać. Dobrze byłoby też znaleźć nóż.

Prudence podniosła broń, a Matheson ją zabezpieczył.



- Dobra robota, panno Cabot - pochwalił ją. - Ocaliłaś nam obojgu skórę. A właściwie, gdzie nasza chabeta?

Prudence rozejrzała się niespokojnie.

- Tam jest, spokojnie skubie sobie trawkę.

- Nie tacy głupi ci bandyci. Nie zabrali jej.

Zatoczył się, a Prudence objęła go w pasie. Ledwo utrzymała jego ciężar, ale jakimś cudem doprowadziła go pod drzewo i pomogła mu usiąść. Oparł się o pień. Odychał płytko i uśmiechał się bez przekonania.

- Nie została tam jakaś moja kończyzna... noga albo ręka?

Pokręciła głową.

- To wszystko moja wina - szepnęła, przełykając łzy. - Niepotrzebnie w ogóle zatrzymaliśmy się przy tej tawernie.

- Nie będę się z tym spierał - odrzekł i pogłaskał ją po policzku. - Ale na twoje szczęście nie chowam urazy.

- Tak mi przykro, panie Matheson - dodała zrozpaczona.

Roan jęknął i zamknął oczy. Prudence była przekonana, że uprzykrzyło mu się jej towarzystwo. Gdyby nie jej niemądre postanowienie, żeby wbrew wszystkim i wszystkiemu towarzyszyć mu w drodze dyliżansem, Matheson byłby już bezpiecznie w drodze do Wesley, a ona sama czekałaby na powóz od pani Bulworth. Przygoda, która z rana wydawała się niewinnym kaprysem, wieczorem postawiła ją w najbardziej niebezpiecznej sytuacji w całym życiu.

- Możesz mi podać whiskey? - poprosił ją. - Zostało mi trochę w torbie.

Prudence podeszła na miejsce, gdzie ostatnio widziała bagaże, ale obie torby zniknęły. Zmrużyła oczy, żeby wyrzeć poza krąg światła.

- Zabrali nasze rzeczy!

- Niech to diabli! - warknął Roan.

Prudence znalazła nóż i wróciła do niego. Przykucnęła u jego boku i sięgnęła do kieszeni jego płaszcza, który nadal leżał na ziemi. Znalazła tam chustkę i otarła jego twarz z krwi.

- Musimy znaleźć lekarza.

- Na pewno nie jest tak źle, jak się zdaje. Wyglądam okropnie, prawda?

- Okropnie - przyznała i spróbowała wytrzeć mu krew spod nosa, ale on złapał ją za nadgarstek i splótł z nią dłoń. Z westchnieniem oparł głowę o drzewo.

- Bardzo mi przykro, panie Matheson - powtórzyła szeptem.

Roan spróbował się poruszyć i jęknął. Złapał się ręką za żebra.

- Nie wiem, czy dzisiaj umrę, ale jeśli mnie to czeka, miło będzie słyszeć, jak w ostatniej godzinie wołasz mnie po imieniu.

- Przecież nie umrzesz.

- Też mam taką nadzieję. Ale nigdy nic nie wiadomo, zważywszy na gościnność, którą miałem wątpliwą przyjemność odczuć na własnej skórze. Słyszałem o kimś, kto padł trupem dwa dni po bójce.

- Po dwóch dniach?

- Sama widzisz - mogę zginąć w każdej chwili. Spełnij życzenie umierającego i wypowiedz je, Prudence.

Matheson ścisnął jej dłoń.

- Wypowiedz moje imię!

- Roan - szepnęła. - Ale ty nie umrzesz... Roanie.

- Nareszcie - odparł, uśmiechnął się i zamknął oczy. Złożył ich dłonie na jej udzie.

- Zdumiałaś mnie dzisiaj. Byłaś odważna i przebiegła.

Prudence uśmiechnęła się potulnie. W swoim przekonaniu nie była odważna, tylko lekkomyślna. Popatrzyła na jego skrwawioną rękę.

- Co teraz powinnam zrobić? - szepnęła, rozmasowując jego kłykcie.

- Co zrobić? - Roan otworzył jedno oko, położył jej ręce na ramionach i przytulił ją. Po chwili przygotował pistolet i podał jej. - Jak wrócą, strzelaj. Tym razem prosto między oczy, dobrze? Tymczasem ja się zastanowię.

- Jeśli wrócą, zabiją nas - odparła.

Roan milczał, Prudence popatrzyła na niego.

- Panie Matheson? Roanie! - Potrząsnęła go za ramię, ale to nic nie dało. Zemdlał. Albo umarł.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Roan wychylał się ponad wyciągniętą w galopie szyją ulubionego ogiera, Barona. Pędził przez łąki rodzinnej posiadłości w stanie Nowy Jork. Był przekonany, że nie zdąży ostrzec maszynistów o poluzowanym kole w wagonie z drewnem. Raz po raz napotykał kolejne przeszkody; powalone drzewa, wezbrane strumienie i wysokie ogrodzenie, którego nawet Baron nie mógł przesadzić. Kiedy podjechał do drogi, zobaczył, że pociąg już zaczął się toczyć w dolinę. Otworzył usta, żeby powiadomić o grożącym niebezpieczeństwie, kiedy nagle ogarnął go straszny odór gnojówki.

Roan ocknął się z jękiem.

Zamrugał i wyłowił z mroku dogasający żar ogniska. Niemiły zapach nadal unosił się w powietrzu. Zawdzięczał go klaczy, która przystanęła tuż obok. Roan jęknął, czując ból w zeszywniałych kończynach i w boku. Przeklął w duchu wczorajszych napastników; jeden z nich zapewne złamał mu żebro.

Wiedział, że będzie żył, czego nie mógł z całą pewnością powiedzieć o draгалu, który był najgroźniejszym wczoraj przeciwnikiem. Roan nie miał pewności, gdzie trafił pocisk, ale na trawie zostało dość krwi, żeby nabrał pewności, że powtórki wczorajszej napaści nie będzie.

Spojrzał na lewo, gdzie plecami do niego leżała skulona Prudence, nadal ściskając rękojeść pistoletu. Złote włosy rozlały się falą wokół jej głowy. Pochylił się, zaciskając zęby. W jej włosach zauważył zaplątane liście. Przez chwilę zastanawiał się, co się stało z czepkiem i piórem. Przyglądał się, jak spała, i słuchał jej spokojnego oddechu. Zaraz jednak ogarnęło go uczucie skrajnie odmienne od spokoju – nagie, gorące pożądanie.

Położył rękę na jej biodrze. Prudence obudziła się jak oparzona i zaczęła wymachiwać bronią. Roan złapał ją za rękę.

- Wszystko w porządku - uspokoił ją.

Kiedy zrozumiała, że to on ją obudził, odetchnęła z ulgą i dała się rozbroić. Usiadła obok niego.

- Żyjesz - zauważyła po prostu.

- Ale nie wiem, czy cię to cieszy.

- Jestem znacznie spokojniejsza. Z każdym szelestem wpadałam w histerię, bo myślałam, że po nas idą.

Roan skrzywił się znowu, ale tym razem zabolowało go, że nie czuła się już przy nim bezpiecznie.

- Nic nam nie grozi - zapewnił ją. - Zabrali nam wszystkie wartościowe rzeczy. Nie wrócą tu.

Gdyby jednak wrócili, Roan był przekonany, że wydusiłby z nich życie gołymi rękami, pomimo bólu. Uśmiechnął się do Prudence z wdzięcznością.

- Wiem, że broniłabyś mnie do ostatka. Podoba mi się to w tobie, Prudence Cabot.

- Byłam przerażona - przyznała. - Myślałam, że cię zabiją.

Roan też miał takie wrażenie, ale wolał się nim z Prudence nie dzielić. Przypomniało mu się dawne nieporozumienie, jakie wynikło podczas gry w pokera w dalekiej kanadyjskiej osadzie, gdzie zawitał z przyjacielem Beckiem. Wtedy też był przekonany, że zginie, kiedy za ich plecami pojawiło się kilku mężczyzn z pałkami. Cudem oboj uszli z tej awantury z życiem, a nawet o własnych siłach. Stracili tylko konie i cały dobytek, co i tak skończyłoby się dla nich tragicznie, gdyby nie życzliwość dobrej wdowy i jej prześlicznej córki.

Nie miał jednak ochoty teraz zanurzać się w te wspomnienia. Cieszył się tylko, że znowu mu się upiekło.

- Na pewno jesteś spragniony - zauważyła i wstała, żeby przynieść mu wody.

- Nie trzeba - powstrzymał ją i uśmiechnął się uspokajająco. - My, Amerykanie, jesteśmy nie do zdarcia. Żadne angielskie zbiry nie pozbawią mnie woli życia. Może się jeszcze prześpisz? Będę miał na wszystko oko. To, które nie opuchło, oczywiście.

Odpowiedziała mu zmęczonym uśmiechem. W nikłym blasku rozpalonych węgli zdawała się jeszcze młodsza. Wyglądała najwyżej na dwadzieścia lat.

Roan podniósł się, rozgarnął żar i dorzucił do ognia.

Prudence pocierała skronie, a w świetle żółtych płomieni jej włosy rozjarzyły się najprawdziwszym złotem. Zobaczyła, że na nią patrzy, i zapytała:

- Wybaczysz mi?

- Co mam ci wybaczyć?

- To. - Podciągnęła kolana pod brodę i objęła łydki. - Gdybym dołączyła do doktora Linforda, jechałbyś dalej dyliżansem i nic by ci się nie stało.

- Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem - rzekł sentencjonalnie i począpał na swoje miejsce pod drzewem. - Teraz powinniśmy raczej pomyśleć o jutrze.

Prudence bawiła się gałązką.

- Przyznaj, wolałbyś mnie nigdy nie spotkać.

- Nie przyznam, bo powiedziałbym nieprawdę - odparł. - Ale zdradz mi jedno. Dlaczego postanowiłaś nie jechać z Linfordami? Czy twoje siostry tak bardzo zależą ci za skórę?

Prudence jęknęła.

- Wolałabym o tym nie mówić.

- To chyba nie jest nic gorszego od spania pod gołym niebem nad brzegiem strumienia?

Uśmiechnęła się do niego.

- Trafna uwaga. - Odgarnęła złote włosy z twarzy i przez chwilę w milczeniu obracała gałązkę w palcach. - Wszystko zaczęło się chyba wtedy, kiedy mój ojciec, hrabia Beckington, zachorował na suchoty. Mój przyrodni brat Augustine odziedziczył cały majątek. Jest bardzo życzliwy i hojny, ale jego narzeczona nie chciała się niczym dzielić z czterema niezamężnymi przyrodnimi siostrami.

Roan skrzywił się znowu, tym razem z wielkiego współczucia dla mężczyzny, który miał żonę i cztery niezamężne siostry. Nie umiał sobie wyobrazić, jaką fortunę wydawał na same tylko buty.

- Matka nie była pomocna, niestety. Wtedy właśnie zaczęła okazywać pierwsze

oznaki obłądzenia.

- Jest obłąkana? - zapytał Roan, bo nie był pewny, czy Prudence mówiła dosłownie.

- Jak marcowy zając - potwierdziła uroczyście. - Staraliśmy się to ukryć przez wzgląd na plotki, które niewątpliwie zaczęłyby krążyć. Panowie obawialiby się, że w naszych żyłach też płyną cząstki szaleństwa, które przejdą na nasze dzieci i wnuki.

- Naprawdę w to wierzycie? - Roan nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał, ale też nigdy nie należał do rozważań powagi małżeństwa.

Prudence pokręciła głową.

- Szaleństwo mojej matki zaczęło się od wypadku. Nie było w naszej rodzinie podobnych zaburzeń. To jednak bez znaczenia, bo rody o szlachetnej krwi nie pozwalają sobie na takie ryzyko. Na dokładkę, pozbawione opieki ojczyma, nie miałyśmy widoków na poważny posag. Przyszłość malowała się w ponurych barwach.

- Ach, więc to jest ten skandal - zawołał Roan. - Chodzi o szaleństwo waszej matki! To z tego powodu twoje siostry wyszły za mąż wbrew zwyczajom.

- Obawiam się, że to nie wszystko... - Prudence westchnęła. - Moje starsze siostry, Honor i Grace, niemało dodały od siebie. Kiedy już było jasne, że nasz ojczym umiera, brat ożeni się z Monicą Hargrove, a matka popada w szaleństwo, wpadły na nedorzeczny pomysł zdobycia mężów.

Głos Prudence załamał się.

- Chciały wziąć ślub jak najszybciej, zanim jeszcze wieści o naszym położeniu dotrą do szerszych kręgów. Sądziły, że jeśli uda im się zdobyć bogatych mężów, będą mogły pomóc naszej matce oraz wydać dobrze mnie i Mercy, kiedy zostaniemy wyklęte przez towarzystwo.

Roan wzruszył ramionami.

- Może jestem dziwny, ale mnie się to wydaje rozsądne.

- Tak, może w teorii - przyznała Prudence. - W praktyce jednak skandal gonił skandal. Honor ogłosiła zaręczyny z bogatym mężczyzną, ale dzieckiem z nieprawego łoża, a Grace umiejętnie usidliła innego, ale okazało się, że nie tego, o którego chodziło.

Roan roześmiał się szczerze, podczas gdy Prudence była śmiertelnie poważna.

- Wieści o tych zawirowaniach odbiły się echem w londyńskim towarzystwie, w wyniku czego nie jesteśmy uważane z Mercy za dobre partie. Mercy ma to w nosie. Ma talent i chce zostać artystką. Przysięga, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Lord Merryton opłacił jej prestiżową akademię, więc siostrzyczka jest w siódmym niebie. Rozpowiada, że wystarczy jej podróżowanie po świecie i sztuka. Pozycja społeczna i dobre partie są poza jej kręgiem zainteresowań.

- A ty?

Prudence przygarbiła się trochę.

- Nie wiem. Ja jestem inna. Minęły cztery lata, odkąd Grace wyszła za lorda Merrytona, a mną się od tamtej pory nie zainteresował nawet pies z kulawą nogą... chyba umrę ze zgrzyoty. A co gorsza, od dwóch lat mieszkam w Blackwood Hall, czyli na takim odludziu, jak nie przymierzając to tutaj. - Machnęła ręką wokoło. - Opiekuję się matką. Czasem dostaję zaproszenia na jakieś wieczorki, ale nie mam żad-

nych znajomych. Mam dwadzieścia dwa lata, a już odstawiono mnie na półeczkę...

- To nie może być prawda...

- Ale jest! Nie masz pojęcia. I to chyba dlatego dzisiaj wsiadłam do tego powozu. Chciałam... - zawiesiła głos i dodała cicho: - ...chciałam poczuć, że żyję. Zawsze zachowywałam się poprawnie i zgodnie z zasadami, ale nic mi z tego nie przyszło. Honor i Grace są szczęśliwe w małżeństwie, mają kochających mężów i gromadkę dzieci. Mercy jest z innej planety, a ja też zawsze chciałam założyć rodzinę. A skoro mi to odebrano, zamierzam poznać życie poza murami Blackwood. Chcę przeżyć przygodę, podniecenie i dowiedzieć się wszystkiego, co mnie ominęło w więzieniu, w którym sama się umieściłam.

Roan nie wiedział, jak może ją podnieść na duchu. Nie znał zasad zawierania małżeństw w angielskich wyższych sferach, ale pomimo to dobrze rozumiał Prudence. W Nowym Jorku od dawna szukali dla Aurory dżentelmena, który sprostałby jej oczekiwaniom, ale zarazem żeby ich małżeństwo otwierało jak największe biznesowe możliwości. Wiedział, jak ważny jest dla takich kobiet związek z właściwym mężczyzną.

Prudence przyglądała mu się z uwagą. Roan domyślał się, że szukała oparcia. Chciał powiedzieć coś, co by ją podniosło na duchu.

- Każdy jest kowalem swojego losu - rzucił, ale te słowa zabrzmiały w jego uszach fałszywie.

- Tak? - pochyliła się, jakby nie chciała uronić ani jednej perły jego mądrości, która miała moc odmienić jej życie. Roan żałował, że nie może jej tego dać.

- Próbuję tylko powiedzieć, że nie możemy czekać, aż okazja sama zapuka do naszych drzwi.

Prudence pokiwała ochoczo głową.

- Niezależnie od okoliczności tylko ty jedna możesz stworzyć dla siebie wymarzone życie.

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście - zachnął się. Każdego dnia żył według tych maksym. Z drugiej jednak strony nie dawał podobnych rad Aurorze. Bał się, że jeśli ofiaruje jej palec, siostra sama sobie weźmie całą rękę. Tymczasem przed chwilą dobitnie dał do zrozumienia Prudence, że jej zachowanie nie tylko nie było naganne, ale nawet w tych okolicznościach całkiem usprawiedliwione.

Czy Aurora miała podobne pragnienia jak Prudence? Czy jej zachowanie też należało usprawiedliwić? Roana nawiedziły wątpliwości. Tym bardziej jednak miał do siebie żal. Doskonale wiedział, że poradził Prudence Cabot iść za głosem serca, bo mu się wydawała piękna i interesująca. Pojechała dyliżansem z jego powodu, a jeszcze bardziej podobała mu się ich wspólna konna przejażdżka. Podziwiał też odwagę, z jaką wymierzyła broń i postrzeliła wysokiego zbira, choć mogło ich to oboje kosztować życie.

Doskonale się z nią bawił, przeżywając dzień pełen przygód. Zaczynał nawet sam tęsknić za wolnością. Co prawda, mógł robić to, co chciał, ale ostatnimi czasy coraz bardziej ciążyła mu odpowiedzialność. Niechętnie wspominał obietnice dane ojcu i Johnowi Prattowi, chociaż mówiąc wprost, Susannie obiecał jedynie szybki powrót. Jednak podtekst był jasny jak słońce. Oczekiwano po nim oświadczyn natychmiast,

kiedy uda mu się sprowadzić Aurorę z powrotem do domu.

Oboje z siostrą mieli wziąć ślub dla dobra rodziny i rodzinnego interesu.

Spojrzał na piękną, młodą kobietę o orzechowych oczach, złotych włosach i korallowych ustach.

- Powinnaś żyć tak, jak chcesz - dodał i wierzył w te słowa całym sercem.

Nie był jednak przygotowany na to, co nastąpiło po chwili. Gdy tylko wypowiedział te słowa, Prudence skoczyła i wylądowała na jego piersi, ustami szukając jego ust. Roan syknął z bólu, ale to jej nie odstraszyło. Całowała go z takim zapamiętaniem, z jakim on całował ją pod jaworem.

Akurat nie całkiem to miał na myśli. Położył jej ręce na ramionach i odsunął ją z bolesnym grymasem na twarzy.

- Och! - szepnęła i pogłaskała jego policzki, musnęła opuchniętą wargę i podbite oko. - Sprawiałam ci ból? Nie chciałam... wydawało mi się...

- Wiem - odparł i położył jej rękę na biodrze, żeby zdjąć ją z siebie. - Chciałaś wykorzystać biednego kalekę!

Przewrócił ją na plecy i położył się na boku, przodem do niej.

- Nigdy nie lekceważ siły mężczyzny, nawet śmiertelnie ранego - dodał. - I bądź pewna, że każdy mężczyzna jest łajdakiem, choćby udawał, że jest inaczej. Każdy z nas w głębi duszy płonie z pożądania do takich pięknych kobiet jak ty. A teraz popatrz na mnie, Pru, przyjrzyj się uważnie, bo tak właśnie objawia się czyste pożądanie. Powinienem cię puścić, nie powinienem cię dotykać, ale to na nic, bo pragnienie jest silniejsze...

Nachylił się nad nią i zaczął całować, a Prudence wydała z siebie zmysłowy, przeciągły jęk, który jeszcze bardziej go rozpalił. Ból ustąpił czystej żądzy, krew zawrzała mu w żyłach, a Roan stał się człowiekiem, którym tak bardzo pogardzał. Obietnice i przyrzeczenia nic już nie znaczyły, bo okazał się słaby. Był jak dziecko w cukierni i patrzył na Prudence jak na górę słodyczy, której nikt mu nie odmawiał. Drzemiący w nim diabeł, obudzony jej rozbudzoną zmysłowością, ponaglał go do dzieła, skoro obrona padła.

Przeciwnie, objęła go za szyję i całowała, pieszcząc wargami jego usta. Właśnie przed tym ją wcześniej ostrzegwał.

- Chcesz przeżyć przygodę, Prudence Cabot?

Przemierzył pocałunkami jej policzek i skupił się na uchu. Tylko na chwilę ból zmiany pozycji przedarł się przez falę żądzy.

- Tak... - szepnęła. - Tak! Chcę...

Żadne słowa nie mogłyby go bardziej rozpalić. Całował i chwycił zębami jej kark, a ona pojękiwała jak we śnie. Roan przesuwiał dłonie po jej ciele, odnalazł piersi, brzuch, talię...

Prudence wzięła jego głowę w dłonie, pocałowała go gorąco i przygryzła jego dolną wargę.

- Au! - jęknął nieprzytomnie, a ona obsypała lekkimi jak piórka pocałunkami jego policzki i podbite oko. Roan zanurzył rękę w jej gorsecie i położył dłoń na gorącej pierś. Chciałby nigdy nie przestawać dotykać jej mleczonej skóry.

Przeszedł pocałunkami na jej dekolt i przyłożył usta do wierzchu piersi. Nigdy nie smakował równie słodkiej skóry. Prudence była dla niego jak bogini, z którą żadna

kobieta nie mogła się równać. Mleczne światło łowiło w wirującej nocy kształt jej ciała, a cienie przemierzały jego najskrytsze zakamarki. W blasku księżyca Roan odnalazł skraj spódnicy i podsunął ją w górę, kładąc dłoń na rozgrzanym wnętrzu uda.

Prudence oddychała głęboko mocno, włosy miała splątane, a jej sukienka była zniszczona i brudna, a mimo to żadna kobieta nie wprawiła Roana w takie uniesienie. Pocałował zgięcie jej kolana, niepomny na wszelki ból, myślami był już w niej.

Jęknęła z taką rozkoszą, że Roan stracił resztki opanowania. Jakimś cudem uwolnił jej pierś z gorsetu i przesunął sutek między palcami; drugą ręką podążył w górę jej ud i wślizgnął się pomiędzy nie. Z pomrukiem zszedł niżej i całował jej udo coraz wyżej i wyżej, aż otoczył go oszałamiający zapach kobiecości. Uniósł się na rękach i rozsunął szeroko jej nogi.

- Ostrzegałem cię przed łajdakami, prawda?

- Nie przypominam sobie. - Pogłaskała jego policzek wierzchem dłoni i chwyciła go za włosy.

Roan wydał z siebie niski jęk i opadł ustami na jej pierś, a potem raz jeszcze zszedł niżej, uniósł spódnicę i wsunął dłonie pod jej biodra. Prudence podciągnęła kolana, a on zanurzył między nie głowę i pocałował ją w najczulszy, najdelikatniejszy punkcik jej ciała. Wygięła się spazmatycznie i chwyciła dłońmi jego palce, a on tymczasem zanurzał w nią język jak wygłodniały człowiek w plaster miodu. Potem drażnił ją delikatnymi muśnięciami, obracał językiem i całował wargami.

Jęczała rytmicznie, a Roan czuł, że umrze z tęsknoty, jeśli zaraz się z nią nie złączy w jedno. Nie mógł jednak wykorzystać sytuacji, choć pragnął tego każdą komórką ciała. Kiedy zaczęła krzyczeć pod kolejnymi, coraz intensywniejszymi ruchami jego języka, Roan objął ją ustami, delikatnie przejechał po niej zębami i zakręcił językiem. Wygięła ciało w łuk, przywierając mocno do jego twarzy, i osiągnęła szczyt. Roan nie przestawał, wyczerpując dla niej tę chwilę do samego końca. Prudence jęknęła po raz ostatni, opadła ciężko i wróciła na ziemię.

- Naprawdę łajdak z ciebie - szepnęła, szukając go ręką po omacku.

- A ty jesteś piękna - odparł. Podsunął się wyżej i położył przy niej na plecach.

Prudence przekręciła się na bok i wsunęła łokieć pod głowę.

- To było... niesamowite - oceniła z uśmiechem, który zdawał się rozświetlać noc własnym blaskiem. - Nie miałam pojęcia... - Urwała i położyła głowę na jego ramieniu.

Roan zastanawiał się, co powinien powiedzieć w chwili, kiedy po raz pierwszy zaznała potęgi namiętności. On sam nie wiedział jednak, jak się z tym czuje, więc tym bardziej nie umiał znaleźć odpowiednich słów.

Okazało się to jednak bez znaczenia. Prudence bowiem zasnęła, ufna w siłę jego ramion. Zaczęła nawet cichutko pochrapywać.

Tymczasem Roan był całkiem rozbudzony.

Co ja najlepszego uczyniłem? - pytał się w duchu. Nie sprostął sytuacji i zamiast umocnić Prudence, wystawił ją na dalsze pokusy. Zachował się jak ktoś, przed kim ostrzegał Aurorę.

A niech to, podsumował w duchu.

Doszedł do wniosku, że im prędzej odwiezie Prudence do Himple, tym lepiej. Wie-



dział, że teraz musi się nią opiekować bardziej niż dotąd, co oznaczało kolejne, silniejsze jeszcze pokusy. Złodzieje i rabusie byli niczym w porównaniu do obawy, jaką napełniały go jego własne pragnienia. Nie mógł się doczekać, kiedy zapakuje Prudence do dylżansu, złapie nieposłuszną Aurorę i na dobre zniknie z Anglii, zanim wydarzy się coś, czego naprawdę będzie miał powody żałować.

Poszukał portfela, żeby sprawdzić, ile zostało mu pieniędzy. Kilkukrotnie poklepywał się po kieszeniach, ale portfela nie znalazł. Zniknął.

Odsunął delikatnie Prudence na bok, usiadł i jeszcze raz dokładnie przeszukał ubranie. Nic. Ruszył na czworaka tam, gdzie walczył z napastnikami, i macał wszędzie ziemię, choć już wiedział, że to na nic. Bandyci przywłaszczyli sobie jego portfel razem z bagażami.

Wymamrotał wstrętne przekleństwo pod adresem Anglików. W myślach wyładowywał złość na swojej siostrzyczce z piekła rodem, a potem usiadł. Musiał się teraz poważnie zastanowić. Chociaż na logikę nie mógł się nijak przekonać, że Aurora była winna ich położenia, to właśnie na nią był najbardziej zły. Gdyby wróciła do domu tak, jak się umawiała, nic podobnego by się nigdy nie wydarzyło.

Ale tak zawsze było z Aurorą. Lubiła być w centrum uwagi młodych mężczyzn i, podobnie jak Prudence, była wyjątkowo piękna. Miała charakter i urodę, więc mężczyźni zachowywali się przy niej jak idioci i obiecywali jej wszystko, czegokolwiek by sobie zażyczyła. Ciekawy był, kogo tym razem omotała.

Roan był przekonany, że Aurora naprawdę polubiła pana Gundersona. By to cichy, spokojny mężczyzna, który na pierwszy rzut oka wydawał się dla niej partią nie do przyjęcia. On zaś ją uwielbiał i posiadał wszystkie najważniejsze cechy, które mogły mu zapewnić ciepłe przyjęcie, szczególnie majątek i nazwisko.

Roan zaczynał się zastanawiać, czy Aurora nie krzywi się już na samą myśl o „korzystnym” małżeństwie. Spojrzał na swoją towarzyszkę, która najwyraźniej pragnęła tego samego, co jego siostra. Kobiety swoich czasów, pomyślał. Przechadzają się po Londynie i Nowym Jorku, poszukując przygód i zabawy. Westchnął i pogłaskał Prudence po ramieniu.

Przekręciła się i mruknęła zadowolona. Kiedy to robiła, Roan chciał jej zapewnić rozrywki i przygody do końca życia.

- Co też mi strzeliło do głowy? - wyszeptał do siebie.

Ze strachu odmówił sam przed sobą odpowiedzi na to pytanie. Zmusił się jednak do postanowienia, że jak najszybciej odwiezie pannę Cabot do przyjaciół... Zanim postąpi równie nieodpowiedzialnie jak Aurora.

Nie chciał też słuchać cichego głosiku, który podszeptował mu, że na to już za późno.

Już to przecież zrobił.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dotyk na policzku Prudence wydawał się jej odległy, jakby pochodził z innego świata. Złościł ją, próbowała się od niego uwolnić. Naraz poczuła potrząsanie za ramię i doszła do wniosku, że pewnie zasnęła w powozie.

- Prudence.

Niski, czuły głos, który wypowiedział jej imię i muśnięcie szorstkiego pocałunku, sprowadziły ją łagodnie na ziemię. Otworzyła oczy i spróbowała przebić wzrokiem ciemność. Nie wiedziała, gdzie jest, dopóki nie wyłowiła uchem szumu strumyka.

Roan! - pomyślała.

Otworzyła znowu oczy i zobaczyła jego twarz.

- Spałaś jak zabita - zauważył.

Jego oko i usta były już mniej opuchnięte niż wczorajszego wieczoru. Prudence uśmiechnęła się na wspomnienie intymnych chwil... tak wspaniałych i niespodziewanych.

- Mam dla ciebie niespodziankę - szepnął łagodnie. - Znalazłem nasze bagaże.

- O! - Prudence od razu usiadła. - Gdzie były?

- Porzucili je na drodze. Coś tam w nich jeszcze zostało.

Prudence odgarnęła włosy z twarzy i przykucnęła nad swoją torbę podróżną. Wszystko było w środku pomieszane. Wyjęła czystą halkę i pończochy oraz kilka drobiazgów, które się zachowały. Zabrali jednak jedwabną sukienkę i jej ukochane pantofle. Brakowało też oczywiście szczotki i grzebienia z kości słoniowej, które dostała od Grace, a także jej torebki.

Roan wyrzucał ze środka swojej walizki kolejne rzeczy. W powietrze poszybowała koszula, kamizelka, przybory do golenia... zanurzył ręce głębiej w poszukiwaniu czegoś najwyraźniej ważnego, po czym podniósł się i ze złością kopnął walizkę.

- Co zabrali? - zapytała.

- Wszystkie moje pieniądze. - Przeczesał palcami włosy.

- Wszystkie?

- Jestem bez pensa przy duszy, dopóki nie odbiorę kufra, który posłałem do Himple.

- To co z nami będzie?

- Przetrywamy, Prudence Cabot. I dotrzemy do naszych kufrów. - Roan zaczął zbierać rozrzucony dobytek. - A nawet jeśli na każdym kroku będziemy spotykali samych złodziei i bandytów, choćby na własnym grzbiecie zaniósę cię do Londynu i odkupię ci całą garderobę.

Prudence uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

- Naprawdę by to pan dla mnie zrobił, panie Matheson?

Odpowiedział jej uśmiechem i odwrócił plecami do siebie, żeby zapiąć jej guziki.

- Tylko dla ciebie. Ale jeśli skradziono również mój kufer, tylko niezłomne postanowienie pomoże nam dotrzeć do banku.

Prudence westchnęła zadowolona. Minionego wieczoru Roan odkrył przed nią świat, którego istnienie tylko mgliście przeczuwała. Przypomniała sobie rozkosz, jaką dał jej dotykem dłoni i ust, i popatrzyła z uśmiechem na błękitne niebo, rozjarzone na wschodzie różową linią. Ta przygoda mogła ją przyprawić o śmierć towarzyską, ale przynajmniej chociaż przez chwilę poczuła, że żyje. Zerwała krępujące ją więzy nakazów i zakazów. Czuła się jak nowo narodzona.

- Jestem głodna jak wilk - mruknęła.

Roan schylił się, musnął szorstkim zarostem jej szyję i objął ją w talii.

- Ja też - wyznał.

Prudence zarumieniła się, w lot wychwytyjąc ukryte znaczenie, które jeszcze wczoraj wcale by do niej nie dotarło.

- Chodź, umyj się w strumieniu. Dziś nie mamy przed sobą długiej drogi.

Prudence wróciła nad wodę, obmyła twarz i związała włosy na karku. Jednak sukienka okazała się jeszcze bardziej brudna, niż się jej zdawało. Była też wymięta po nocy i wyraźnie było widać, że Prudence w niej spała. Nie wyglądałaby dużo gorzej, gdyby całą drogę z Blackwood Hall ciągnięto ją za końmi. Nie mogła się w takim stanie pokazać Bulworthom. Zaprażyła gorącej kąpieli i świeżego ubrania.

Ruszyli w drogę. Poświata różowego świtu ustępowała powoli przed złotym światłem dnia. Mgła, która nocą otulała pola, podniosła się już i rozwiała, a wspomnienie wczorajszej napaści wydawało się tylko złym snem.

Prudence czuła się tak, jakby przed jej oczami po raz pierwszy opadły ze świata wszystkie zasłony. Pierwszy raz widziała tak soczystą zieleń i nasyconą żółtość i oszałamiający róż. Chciała na zawsze zachować w pamięci ten obraz.

- Pięknie, prawda? - zapytała rozmarzona.

- Co takiego?

- Krajobraz.

- Całkiem, całkiem - przyznał.

- Roanie, jest cudownie! Ameryka na pewno tak nie wygląda.

- To prawda - zgodził się. - Piękno Ameryki jest inne. Nasza przyroda jest bardziej dzika, nietknięta. Oczywiście nie mam tu na myśli samego miasta Nowy Jork. Ale na północy, gdzie często bywam, można całymi dniami nie spotkać żywej duszy.

- Nie ma tam żadnych wiosek? - zdziwiła się Prudence. - Owiec ani pasterzy?

- Przy głównych drogach zazwyczaj są pola i pastwiska. Ale Ameryka jest znacznie większa od tej wyspy. Nie da się jej całkiem zasiedlić. Nie umiem opisać, jak oszałamiająca jest przyroda pozbawiona wpływu człowieka.

Roan zaczął opowiadać o lasach, dolinach, ośnieżonych górach i potężnych, bystrych rzekach. Prudence była oczarowana. Chciałaby zobaczyć tę przestrzeń na własne oczy. Wyobrażała sobie Roana na koniu, gdy przemierza ostępy, zbiera drewno na opał i piecze w lesie na ogniu złapanego zająca. Prudence nie miała pojęcia, jak te czynności naprawdę wyglądają, ale była pewna, że ktoś tak pełen życia jak Roan Matheson wykonuje je z naturalną swobodą.

Kiedy opowiadał o Nowym Jorku, dostrzegła łagodniejszą stronę jego duszy. Wspominał City Hotel i bale, które się tam urządziły. Widziała dżentelmena w aksamitnym fraku i białej kamizelce, zajętego wykwiśniętą konwersacją z damami. Uśmiechał się i sypał komplementy, a nowojorskie debutantki chowały się za wa-

chlarzami, szeptały do siebie i spoglądały na niego rozmarzone.

Roan wspomniał jej o rodzinnym domu przy Broadway Street, obok Park Theatre. Podobno jego rodzina hojnie wspierała sztukę i teatr. Jednak najbardziej ożywił się, kiedy opowiadał o wiejskiej posiadłości w Hudson Valley. Prudence widziała go spacerującego z dwoma psami rozległą łąką, rozciągającą się nad brzegiem rzeki Hudson. Wyobrażała sobie, jak układał konie, które hodowali, bo w jego głosie usłyszała wyraźnie, że nikomu innemu nie powierzyłby tego zadania. Zachwyciła się myślą o terenach bez porównania bardziej rozległych niż majątek Longmeadow, w którym się wychowała, a nawet Blackwood Hall.

Rozmarzona ujrzała tam siebie, przechadzającą się wśród rododendronów, strząsającą palcami z liści rosę.

Opowiadał o rodzinnych interesach i planach na przyszłość, ale Prudence zdała sobie sprawę, że nie wspomina nic o swoim prywatnym życiu ani o małżeństwie.

- Mówisz o swojej rodzinnej spuściźnie, a czy planujesz założyć swoją rodzinę? Mieć dzieci?

- Oczywiście - odparł krótko. Stał się nagle tak powściągliwy, że Prudence przeszła nagła, przerażająca myśl: Roan jest już żonaty!

- Ojej... - szepnęła i odwróciła się od niego.

- Co takiego?

- Masz żonę? - zapytała wprost, zdumiona swoją naiwną bezpośredniością.

- Co? Nie! Oczywiście, że nie! Naprawdę myślisz, że byłbym zdolny... Pru, na miłość boską! - Objął ją w talii. - Nie dlatego się waham, że jestem żonaty, ale mówiąc otwarcie, zawarłem coś na kształt porozumienia. Prawie jej nie znam i wcale się oficjalnie nie oświadczyłem, ale to małżeństwo przyniosłoby rodzinie Mathesonów wielkie korzyści.

Słowa Roana wywarły na Prudence wrażenie podobne do uderzenia w brzuch. Przez chwilę nawet nie mogła złapać tchu.

- Rozumiem - odparła, wyrzucając sobie głupotę.

- Nie, niczego nie rozumiesz - zawołał. - To umowa...

- Nie mam prawa o to pytać - ucięła i zamknęła oczy. Żałowała już, że w ogóle się odezwała. Wolałaby marzyć dalej. Teraz było jej tylko niedobrze. - Jak jej na imię?

Znowu się zawahała.

- Susanna - odpowiedział po dłuższej chwili.

Susanna, powtórzyła Prudence w myśli. Przypuszczała, że jest piękna i z utęsknieniem czeka na niego w Ameryce. Z nią będzie się budził i zasypiał...

- Nie powinienem, Pru... - dodał przeproszająco.

- Sama się o to prosiłam - odparła ostro, zanim całkiem zrujnował wieczorne wspomnienie. - Nic nie szkodzi, Roanie. Wcale się nie spodziewałam, że mi od razu zaproponujesz...

Jestem żałosna, pomyślała gorzko i nie dokończyła swoich słów. Nie musiała. Roan doskonale wiedział, o czym mówiła. Wieczorem przeżyła przygodę i poczuła się nareszcie naprawdę żywa. Dlaczego więc nagle ogarnęło ją takie cierpienie?

Zapadła głucha, nieprzyjemna cisza. Prudence wpatrywała się w dal i myślała o Ameryce. Nie miała pojęcia, jak długo jechali, kiedy nagle Roan nachylił się jej do ucha i rzekł łagodnie:

- Spójrz.

Wyciągnął rękę nad jej ramieniem. Nad wierzchołkami drzew unosiła się smuga dymu.

- Wioska - wyjaśnił. - To dopiero miły widok.

Prudence ogarnęła panika.

- O, nie! Przecież nie mogę się tam pokazać w takim stanie. - Patrzyła zrozpaczo-  
na na brudną sukienkę. - Muszę się przebrać i upiąć włosy!

- Obawiam się, że trudno będzie w tym lesie znaleźć miednicę z gorącą wodą. Po-  
dobnie rzecz się ma niestety z sukienkami.

- Proszę, pomóż! Moja rodzina...

- Dobrze już, dobrze... - pociągnął ją do siebie i przycisnął do piersi. - Podążymy  
za strumieniem i poszukamy miejsca, gdzie mogłabyś się odświeżyć.

Roan zebrał wodze i skierował chabetę na bok z drogi, prowadząc ją do ścieżki,  
która biegła brzegiem strumienia.

Strumień płynął na zachód, a kawałek dalej, w zagajniku, znaleźli jeziorko. Nie  
było bardzo duże, a połowę jego powierzchni pokrywały liście nenufarów. Jednak  
trawiasty brzeg obmywała czysta woda, a na kilka kroków pod powierzchnią widać  
było jasny piasek.

- Cudownie - zachwyciła się Prudence. Ściągnęła buty i pończochy, podciągnęła  
rąbek spódnicy i weszła do jeziora po łydki. - Och!

Zamknęła oczy, rozkoszując się chłodem i delikatnym piaskiem pod stopami.

- Umiesz pływać?

Prudence spojrzała przez ramię na Roana. Stał z jedną nogą opartą na kamieniu  
i przyglądał się jej z założonymi rękami.

- Tak - odpowiedziała. - A ty?

Przesunął po niej bezwstydnie spojrzeniem i jedną ręką ściągnął z szyi fular.

- Niczym ryba - odparł. Prudence patrzyła, jak ściąga płaszcz i kamizelkę i wycią-  
ga koszulę ze spodni. Przez cały czas spoglądał na nią z takim błyskiem w oku, że  
Prudence zakręciło się w głowie. Przez myśl przemknęło jej wspomnienie minionej  
nocy. Byli już niemal w Himple, a tam owa niezwykła przygoda miała dobiec końca.  
Nic gorszego nie mogło się już wydarzyć, dlatego nie czekając, sięgnęła za plecy  
i zaczęła rozpinać sukienkę. Ściągnęła ją sobie przez głowę i rzuciła na brzeg. Zo-  
stała w samej tylko przewiewnej halce.

Roan przyjrzał się jej znowu, ale tym razem jego spojrzenie przesunęło się leni-  
wie po krągłościach ciała, zapamiętując każdy szczegół.

Uśmiechnęła się do niego, odwróciła i zanurzyła głębiej, aż halka zaczęła się uno-  
sić wokół jej talii. Rozpostarła ręce i przemknęła dłońmi po wodzie. Muł przyjemnie  
przeciskał się między palcami jej stóp.

Znała to uczucie, było jak wspomnienie z dzieciństwa. Była małą dziewczynką,  
kiedy niespodzianie zmarł jej ojciec, anglikański biskup. Matka wyszła ponownie za  
mąż za hrabiego Beckington, który tak jak ona owdowiał, a cztery siostry Cabot  
przeprowadziły się do Longmeadow.

Tam, jak przystało na młode panny, miały uczyć się muzyki, haftowania, malowa-  
nia, łucznictwa, geografii i historii. Kiedy jednak nie były zajęte lekcjami, cały czas  
poznawały okolicę. Każdy letni dzień spędzały z przyrodnim bratem Augustine'em,

który biegł za nimi jak szczenię i ostrzegał przed wszystkimi, prawdziwymi i zmyślonymi, niebezpieczeństwami.

Najbardziej lubiły spędzać popołudnia nad jeziorem i czytać książki. Tam Augustine rzadko się z nimi zapuszczał, bo bał się węgorzy, chociaż Prudence nie widziała tam ani jednego. Pamiętała, jak szły gęsiego nad brzeg. Pierwsza Honor niosła koszyk z prowiantem, który przygotowywała dla nich matka. Za nią Grace z książkami przewiazanymi paskiem, które przerzucała sobie jak chłopak przez ramię. Nad jeziorem rozbierały się i pływały, nurkowały pod powierzchnię i unosiły się na plecach. Kiedy znudziła je ta zabawa, kładły się na trawiastym brzegu, żeby wyschnąć, jadły chleb z serem i czytały na głos swoje książki.

Prudence tęskniła za tamtymi czasami, zanim wyruszyły na podbój towarzystwa. Teraz, nad tym jeziorkiem, poczuła się znowu tak jak w Longmeadow, zupełnie jakby cofnęła się w czasie i stała na powrót beztroską dziewczynką.

Tego jednego dnia mogła znowu nią być. W jednej chwili skoczyła przed siebie z wyciągniętymi ramionami i zanurkowała. Pływała tak samo jak kiedyś! Śmiała się i parskła od zimnej wody, wypłynęła na sam środek jeziora i miała wrażenie, że Roan zaraz ją zawoła, tak jak wołałby ją Augustine: „Głupia, halka wciągnie cię pod wodę!”.

Ale Roan jej nie wołał. Pozwalał jej pływać do woli.

Obróciła się na plecy i przez chwilę pływała na środku jeziora, patrząc w czyste, błękitne niebo. Włosy unosiły się wokół jej głowy jak blond wodorosty. Prudence leniwie poruszała rękami, wygrzewając twarz w słońcu.

Kiedy odwróciła się w stronę brzegu, zobaczyła Roana w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła. Powoli podpłynęła do brzegu.

- Zgadnij, jak długo nie pływałam.

Roan pokręcił bezradnie głową.

- Całe lata! - wyjaśniła, sama tym zaskoczona. - Zapomniałam, jak bardzo to lubię.

Zanurkowała znowu i podpłynęła jeszcze bliżej, aż mogła stanąć w wodzie do pasa. Zebrała włosy i wyżeła je w dłoniach.

- Chodź, przyłącz się do mnie.

Roan pokręcił głową, a Prudence roześmiała się.

- Boisz się mnie?

- Boję się tego, co robisz - odparł. - To za duże ryzyko.

- Ach, tak? Ale to ja ryzykuję, więc mogę je podjąć.

- Dla mnie to też jest niebezpieczne.

Uśmiechnęła się i zrobiła krok w jego stronę.

- Roanie... za godzinę będziemy w Himple. Ja zostanę odesłana do domu, a ty wrócisz do Ameryki. Nie chcesz ze mną popływać choć raz?

Skinął głową i uśmiechnął się łobuzersko.

- Przez ciebie jest to niemożliwe, Pru. Jestem tylko słabym mężczyzną. - Obejrzał ją sobie raz jeszcze, a w jego oczach zaiskrzyło nieskrywane pożądanie. Serce Prudence zabiło szybciej. Nie ruszyła się z miejsca. Pozwalała mu napatrzeć się do woli. Jego wzrok zatrzymał się na jej piersiach, które wyraźnie prześwitywały przez cienką bawełnianą halkę.

Nie mogła uwierzyć, jak dużo się wydarzyło w zaledwie dwadzieścia cztery godziny i jak inaczej się teraz czuła. Zaledwie wczoraj o tej porze martwiła się, że droga do Himple może się okazać nużąca. Teraz patrzyła na obcego mężczyznę z pożądaniem równie silnym jak jego. Czuła je w każdym uderzeniu serca, w kończynach i pomiędzy udami. Czuła w żyłach gorące tętno życia.

Popatrzyła na Roana i wydał się jej wspaniały. Tylko tak mogła opisać jego potężną sylwetkę. Pamiętała pieszczotę jego ust i to, jak czule ją obejmował po doprowadzeniu jej na sam szczyt rozkoszy. Widziała żar w jego oczach. Widywała już wcześniej podobne spojrzenia, ale wtedy nie wiedziała, co oznaczają. Ogień w spojrzeniu Roana był jednak niezrównany.

Skoczyła, zanurzyła się w wodę i pozwoliła się jej nieść, po czym wypłynęła zaczerpnąć powietrza.

Ostatni raz, kiedy tak pływała, nie miała pojęcia o świecie ani o tym, co ważne wśród elity. Te sprawy i teraz nie miały znaczenia. Przygoda wymiotła z jej życia wszystkie troski.

Tymczasem Roan podszedł na skraj wody. Patrzył na nią z nieskrywanym pożądaniem. Podniósł nogę i zdjął but, potem drugi, ale najpierw wyjął z cholewy pistolet. Prudence patrzyła, jak rozpina spodnie i zdejmuje resztę ubrań. Stał przed nią całkiem nagi. Miał wspaniałe, umięśnione ciało.

Wszedł do wody. Nie zwracał uwagi na to, że jest cały posiniaczony, nie dbał, czy ktoś ich nie zobaczy. Tylko ona go w tej chwili interesowała.

Prudence była zafascynowana. Oddychała ciężko i tęskniła za wszystkim, co chciał z nią robić, a czego jeszcze nie poznała. Kiedy stanął przy niej, zarzuciła mu ręce na szyję, a on podniósł ją i założył jej uda wokół swoich bioder. Przez chwilę unosili się w wodzie, spleceni ze sobą. Roan patrzył jej w oczy, jakby chciał w nich wyczytać, co powinien zrobić. Przeszedł ją dreszcz, kiedy poczuła dotyk jego twardej męskości.

- Co teraz, Prudence? - zapytał, patrząc na nią tak, jak ktoś umierający z głodu patrzyłby na smakowity kęs. - Co masz na swoją obronę? Teraz twoje przygody stały się moimi!

Uśmiechnęła się.

- Na twoim miejscu bym się tak nie uśmiechał - upomniał ją. - Jesteś całkiem nieodświadczoną debutantką i nie masz pojęcia, jak niebezpiecznie jest podsycać męskie żądze. Wskoczyłem wprost w niebezpieczny nurt...

Prudence przeszedł rozkoszny dreszcz.

- To najlepszy sposób - zauważyła.

Roan wydał ochrypły jęk.

- Ryzyko niesie ze sobą konsekwencje, mała diabolic - rzekł, starając się nadać słowom jak najbardziej przekonujący pozór surowości.

Prudence myślała tylko o tym, żeby dotykał jej tak jak wczoraj...

- Pocałuj mnie - rozkazała.

Roan ściągnął brwi i odsunął jej z szyi mokry kosmyk włosów.

- Mówiłem poważnie - odparł. - Czy jesteś gotowa na konsekwencje tego, co teraz robimy? Na skutki twojej przygody czy tej kąpieli? Jeśli nie, błagam, powiedz od razu, zanim stracę resztki samokontroli. Powiedz, żebym wrócił na brzeg, z dala od

twoich pokus. Powiedz to w tej chwili. Powiedz: odejdz, Roanie.

Jego prośba miała głęboki sens, ale Prudence nie zamierzała go odrzucić.

- Jestem gotowa. Całkowicie - wyznała i pocałowała go w usta.

Z niskim pomrukiem zamknął oczy i przycisnął czoło do jej czoła.

- Miałaś mi odmówić! Powinnaś mnie spoliczkować, odepchnąć. Przy tobie staję się całkiem bezsilny. Intrygujesz mnie, jesteś piękna i mądra, jesteś spełnieniem marzeń każdego mężczyzny. - Uśmiechnął się z żalem. - Ale nie wiem, co mam z tobą zrobić.

- Odwieszysz mnie do Himple, a potem będziesz mnie przez lata dobrze wspominał. - Jej własne słowa sprawiły jej ból, ale czuła, że nie ma wyboru.

Roan skrzywił się, jakby go też zabolaly.

- Oboje nie mamy swobody wyboru - podjęła Prudence. - Ale dzisiaj jestem w jeziorze na pustkowiu i przeżywam coś, czego nigdy nie zaznałam, być może po raz ostatni w moim życiu. Nie prosiłam cię o rozwagę i nie jej od ciebie teraz oczekuję. Zapytałeś, czy jestem gotowa na konsekwencje, a ja odpowiedziałam, tak. Nie jestem głupia, rozumiem, co to znaczy.

- Ach, Prudence. - Zajrzał jej głęboko w oczy, szukając choćby najdelikatniejszej oznaki wahania. Daremnie. Postanowiła, że choć może umrzeć jako stara panna, to na pewno nie chce pozostać niewinna.

Roan najwyraźniej ją zrozumiał, bo w następnej chwili zaczął całować ją do utraty tchu. Trzymał ją pod brodę i zanurzył palce w mokrych włosach. Prudence nie pozostała mu dłużna i oparła dłonie na jego piersi, a potem opuściła je na biodra. Ogarnęło ją to samo gorąco, które pamiętała z zeszłej nocy - palące pragnienie, które rozprzestrzeniało się jak ogień. Chciała poznać każdy centymetr jego ciała.

Roan ściągnął ramiączka halki z ramion Prudence i opuścił ją na jej talię. Zniżył usta na jej piersi, a dotyk jego warg i zębów był dla Prudence jak drzwi do nieba. Była rozpalona; jego usta i dłonie poznawały jej ciało na nowo. Prudence przebiegło przez myśl, że już nigdy nie będzie taka sama. Jak będzie mogła żyć ze świadomością, że na świecie istnieją tak niezwykle przyjemności...

Wzięła w usta jego ucho i drażniła je językiem. Pieściła palcami jego kark i musnęła dłonią jego sutki, które natychmiast stwardniały pod jej dotykiem. Roan wydał pomruk zadowolenia, który zabrzmiał niezwykle podniecająco.

Położył dłoń między jej udami i zanurzył w niej palec. Jego dotyk przeniósł ją poza granice pożądania, do miejsca, gdzie można niemal umrzeć z rozkoszy. Wtedy Roan wyprostował się i uniósł Prudence, podkładając ręce pod jej biodra, tak że po chwili oparła się na jego wyprężonej męskości. Była już na niego gotowa.

- Nie wytrzymam dłużej - powiedział ochryplym z pożądania głosem.

W następnej chwili całował ją z czułością i zaczął powoli i delikatnie się w niej zagłębiać. Prudence stopniowo się rozluźniała, aż z rozkoszy opadła między jawę a sen, zdumiona, jak wspaniale ich ciała się uzupełniają. I nagle, w jednej chwili, pozbył ją dziewictwa. Poczowała ból, ale on zwolnił. Zanurzał się razem z nią coraz głębiej w ocean cielesnej rozkoszy. Jego ruch się wydłużył. Jedną ręką za jej plecami przyciskał ją do siebie i patrzył na nią uważnie.

Prudence jęczała, bezsilna wobec zalewających ją wrażeń. Głaskał ją w rytm pchnięć, aż jej ciało zwarło się wokół niego. Z jękiem opadła głową na jego ramię,



wstrząsana uniesieniem. W następnej chwili dołączył do niej na samym szczycie, pilnując resztkami przytomności, aby nie zagrozić jej ciąży. Następnie objął ją mocno i obcałowywał jej policzki i szyję.

Opuściła nogi z jego bioder. Woda wokół nich zaczynała się uspokajać. Roan wziął w dłonie jej głowę i delikatnie całował ją w czoło, nasadę nosa i usta.

Upojona Prudence była obolała i bez tchu. Nie spodziewała się tego, ale wiedziała, że do końca życia pozostanie Roanowi wdzięczna za to, że wprowadził ją w świat takich doznań; że będzie go kochać i nigdy nie pożałuje minionej doby.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego. Położyła mu na karku jedno ramię i pocałowała go w policzek.

- Już drugi raz udało ci się mnie zachwycić, panie Matheson.

On też się uśmiechał, ale bardziej niepewnie. Trzymał ją nadal w górze i drażnił ją, pieścił i przyglądał się jej twarzy, nosowi, szyi i ramionom z łagodnym uśmiechem.

- Musimy się stąd zabierać - powiedział po chwili. - Zanim nas tu ktoś odkryje.

Pokiwała głową, ale wolałaby tu pozostać. Wyobraziła sobie chatkę nad brzegiem jeziora. Roan szedłby co rano nałapać ryb, a ona piekłaby ciasta, które nauczyłaby się robić od kucharki. Wieczorami czytałby jej na głos, a ona oddawałaby się haftom albo robiła mu skarpetki na drutach. Potem razem by szli do małej sypialni z oknami wystawionymi na gwiazdy, gdzie on robiłby z nią raz po raz to samo co dziś.

Chciała zachować to marzenie do końca życia. Skoro nie mogła się pogodzić z rzeczywistością, pozostawała jej tylko sfera snów. Poza tym czekał ją już tylko ból rozstania. Zamierzała pamiętać jedynie dobre chwile.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Prudence marudziła pod nosem, przekopując się przez zawartość torby podróżnej w poszukiwaniu czegoś czystego do ubrania. Kiedy wreszcie wynurzyła się spośród drzew, była owinięta w szeroką chustę, która zasłoniła najbardziej zabrudzone fragmenty gorsetu. Włosy upięła ze smakiem za pomocą kilku pozostałych szpilek, ale nie miała lustra, więc kok nie wyszedł całkiem prosto.

- I jak? - zapytała, obracając się z rozłożonymi ramionami.

Roan był zdumiony, jak olśniewająco wyglądały jej orzechowe oczy i zmysłowy uśmiech. Wydała mu się chyba jeszcze piękniejsza, niż kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

- Nie widziałem nikogo piękniejszego - odrzekł po prostu.

Prudence roześmiała się radośnie i wygładziła fałdy spódnicy.

Roan powstrzymał się od komentarza na temat zniszczonej sukienki i zwichrzonych włosów.

- Jedziemy?

W oczekiwaniu na jej powrót ogarnął go wielki niepokój. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo byli na widoku. Oczarowała go nimfa w zwiewnej halce i opuścił go rozsądek. Kłopot w tym, że nie był ciągle pewien, czy wrócił już do zdrowych zmysłów. Złotowłosa kusicielka nie raz już zmąciła mu w głowie.

Roan wiedział też dobrze, ile już czasu stracił w poszukiwaniu siostry, a z każdą chwilą ryzykował, że Aurora mu umknie. Zachowywał się wyjątkowo lekkomyślnie, choć dotąd to on był w całej rodzinie najbardziej odpowiedzialną osobą. To do niego zwracano się z trudnymi i nagłymi problemami.

Tamten Roan pozostał jednak w Ashton Down.

- Dobrze, jestem gotowa - odparła Prudence, wytrącając go z zadumy.

Wyglądała trochę jak Cyganka. Gdyby jej nie znał, spodziewałby się, że zaproponuje mu wróżenie z dłoni. Nie zdołał ukryć uśmiechu.

- Co się stało? - spytała, widząc jego rozbawienie.

- Po prostu cieszę się, że w końcu jesteś gotowa do dalszej podróży. Muszę złapać siostrę i odnaleźć kufer.

- Pamiętam - zapewniła go. - Ja też nie mogę się doczekać, aż odzyskam swoje bagaże.

Roan posadził ją na grzbiecie kobyły i ruszył przez łąkę. Lubił spacerować, nawet w takim żółtym tempie. Fizyczny wysiłek pozwalał rozładowywać złość, którą czuł wobec siebie za haniebne zachowanie, i ciągle żywy gniew na rabusiów.

Tymczasem Prudence była w jowialnym nastroju, zupełnie jakby cieszyły ją ich niepowodzenia. Roan domyślał się, że jest zbyt młoda i za mało zna życie, żeby wiedzieć, w jak rozpaczliwej sytuacji się znaleźli. On był tego w pełni świadomy. Nie miał bagażu i musiał udać się do centralnego banku w Londynie, a nawet nie wiedział, jak daleko od Londynu się znajdują. W tej sytuacji mógł już nigdy nie odnaleźć

Aurory.

Prudence opowiadała coś o przyjęciu w ogrodzie, podczas którego znamienity gość wpadł do fontanny i trzeba go było ratować. Roan udawał, że słucha, rozmyślając nad rozwiązaniem ich kłopotów. Nie wiedział, co zrobi, jeśli w Himple okaże się, że ich bagaże zaginęły.

Minęli kępę drzew, zza której dobywał się dym, a za zakrętem drogi ukazała się wioska.

- Popatrz, Pru, jesteśmy w Himple!

Była to wieś z prawdziwego zdarzenia, z główną ulicą, zielonym skwerem i murywanymi domkami wzdłuż drózek odchodzących od głównego traktu. Na drózkach bawiły się dzieci, w wiosce krzatali się mieszkańcy, woźnice rozwozili towary, a kobiety nosiły wodę z centralnej studni. Roan poczuł ulgę. Podjechał do budynku ze znakiem poczty i zatrzymał konia. Zagwizdał na chłopca stajennego, który podbiegł i wziął od niego wodze. Roan pomógł Prudence zsiąść i zdjął z grzbietu kobyły improwizowane sakwy.

- Dobrze ją nakarm - polecił stajennemu. - Zasługuje na to.

Chłopiec dotknął czapki i odprowadził klacz do stajni.

W tym czasie Prudence znalazła się już pod drzwiami poczty i zaglądała ciekawie przez okno. Kiedy Roan otworzył przed nią drzwi i weszła do środka, z miejsca wydała okrzyk radości. Pod ścianą stały dwa kufry.

- Twój? - zapytał Roan.

- Tak, Bogu dzięki!

Roan przykucnął przy bagażach. Na szczęście zamek był nietknięty.

Z tylnego pomieszczenia wyszedł urzędnik. Wyróżniał go niezwykle płaski i szeroki nos oraz monokl, przez który przyglądał im się uważnie.

- Tak, słucham? - zapytał.

- Roan Matheson - przedstawił się. - Przyszedłem odebrać kufer. Ten drugi należy do panny Cabot.

Urzędnik skierował monokl na kufry. Podszedł do lady i zaczął wertować papiery wolną ręką. Wyciągnął dokument i zbliżył go do twarzy.

- Aha!

- Aha? - zaciekawił się Roan.

- Czarny kufer został oznaczony na nazwisko Roan Matheson. - Odsunął kartkę sprzed twarzy. - To pan?

Roan zerknął na Prudence.

- Tak, już wspominałem.

Urzędnik spojrzał ponownie na papier.

- Ten drugi należy do panny Prudence Cabot. - Podniósł wzrok. - To pani?

- Owszem.

- To pani się zgubiła, kiedy powóz stracił koło, prawda? - Przyjrzał się jej z dezaprobatą. - A pan jest gościem, co za nią poszedł?

Roan popatrzył na niego spode łba. Nie podobały mu się te indagacje.

Urzędnik wcale się nie przejął ponurym spojrzeniem i odwrócił dokument.

- Kufer panny Cabot zostanie odebrany jutro w południe przez służącego pana Bartona Bulwortha. - Odjął monokl od oka i popatrzył na dwoje petentów.

Roan wyczuł napięcie Prudence.

- Jutro? - powtórzyła głucho i spojrzała na niego niepewnie. Roan doskonale znał jej myśli. Zastanawiała się, co ma do tej pory robić przez cały dzień.

- Owszem - potwierdził urzędnik. - A co do pana, to gdzie pan życzy sobie dostarczyć kufer?

Roan popatrzył na niego wilkiem.

- Zabiorę go ze sobą - wyjaśnił ponuro. - O czwartej wyruszam dyliżansem do West Lee.

- To musi pan poczekać na dyliżans, który jedzie na południe. Dzisiaj już był, jutro przybędzie o tej samej porze, czyli punktualnie o pierwszej po południu.

- Przepraszam, pan miał chyba na myśli Wesley - wtrąciła nieśmiało Prudence. - To wina jego akcentu...

Bała się spojrzeć Roanowi w oczy.

- Aha! - zawołał zadowolony urzędnik. - Jankes, tak? Słyszałem, że wasza mowa jest bardzo... surowa.

- Surowa? - powtórzył Roan.

- Północny dyliżans przejeżdżał o trzeciej. Punktualnie.

Roan wlepił w urzędnika mordercze spojrzenie. Cała ta podróż okazała się jedną wielką serią przeszkód i trudności. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje.

- O trzeciej! - zawołał z furją.

- Punktualnie - powtórzył spokojnie urzędnik. Oparł łokieć na ladzie i mówił całym swobodnie: - Popołudniowy dyliżans na północ przyjeżdża codziennie o trzeciej. Nigdy się nawet kwadrans nie spóźnił. No, chyba że pada... Porządny deszcz spowolni nawet najlepszego woźnicę, szczególnie że drogi są już nie te, co kiedyś...

- Urzędnik rozgadywał się. - Pamiętam taki rok, że padało bez przerwy, ciurkiem każdego dnia. I to nie żadna mżawka, tylko potężne ulewy. W Portree zerwało most, ale poczta nie wstrzymała kursów. Tyle tylko że codziennie były opóźnienia, trzy albo i cztery godziny. Niekiedy nawet cały dzień...

- Proszę o wybaczenie - przerwała mu Prudence słodkim głosem i stanęła pomiędzy urzędnikiem a Roanem. - Mamy pewien kłopot. Powinnam jak najszybciej zjawić się u pani Bulworth. Czy nie ma sposobu, żebym trafiła do majątku?

- Nie - odrzekł urzędnik i na potwierdzenie pokręcił jeszcze głową. - Nie o tej porze. Gdyby przybyła pani wcześniej, to może kupiec pasmanteryjny by panią podwiózł. Jutro będzie pani mogła pojechać ze służącym. Niewielki mamy ruch w tamtą stronę. Przejechała pani do Bulworthów długą drogę, prawda? Zazwyczaj odwiedzają ich goście z Epsey.

Prudence popatrzyła bezradnie na Roana.

- Czy na pewno nie ma żadnego sposobu, żebyśmy mogli kontynuować naszą podróż? - zapytał Matheson. - Żadnych dorożek ani powozów do wynajęcia?

- Nie do Himple... O, nie! Za to jest tu niedaleko gospoda, Pod Lisem i Wróblem. - Wskazał kierunek. - To zacne miejsce, bez dwóch zdań. Jedno skrzydło jest dla dżentelmenów, drugie dla rodzin.

Popatrzył na Prudence.

- Pani House jest żoną karczmarza i to do niej powinna się pani zwrócić. Trzeba powiedzieć, że przeżywa pani chwilowe trudności, bo zazwyczaj nie przyjmują tam

samotnych kobiet.

- Co proszę? - Prudence ściągnęła brwi. - A to dlaczego?

- Kiedy jest następny dylizans? - wtrącił się Roan i dotknął jej nadgarstka, żeby powstrzymać jej dalsze protesty.

- Jutro o dziesiątej rano - odparł urzędnik. - Przyjedzie o czasie. Chyba że spadnie deszcz. Ale poza tym można sobie według naszych dylizansów regulować zegarek. Stary Stainsbury, który nastawia zegar w kościele...

- Czy znajdziemy w okolicy tragarza? - przerwał mu Roan. - Kogoś, kto pomoże nam zanieść kufry do gospody?

- Hm. - Urzędnik odchrząknął. Wyraźnie mu się nie podobało, że mu przerywają.

- Poślę moich chłopców, co prawda będą oczekiwali paru pensów napiwku. Jeśli trzeba, pomogą też przygotować kąpiel.

Zerknął na Prudence, która machinalnie poprawiła kok.

- Chłopcy z poczty się nie ociągają...

- Dziękuję panu - rzucił szybko Roan i otworzył drzwi przed Prudence. - Panno Cabot?

Prudence minęła go niczym duch, a na jej twarzy malowało się śmiertelne przerażenie.

- Chyba umrę ze wstydu - szepnęła, kiedy Roan dołączył do niej za drzwiami. Spróbowała poprawić kok.

- To byłby tragiczny koniec naszej miłej przygody - zauważył i przeczesał włosy palcami.

- I co my teraz zrobimy? - zapytała.

- Wynajmiemy pokoje w karczmie. - Uśmiechnął się do niej uspokajająco. - I wręczymy chłopcom koronę napiwku, żebyś wzięła kąpiel, którą zalecił ci urzędnik pocztowy.

Prudence przewróciła oczami i ruszyła w stronę gospody.

Tak się jednak złożyło, że w gospodzie zabrakło pokoi dla samotnego mężczyzny. Roan zasłyszał te wieści, kiedy wszedł do głównej sali z pieniędzmi, które Prudence przezornie przypięła agrafką do wnętrza kieszonki. Ucieszył się nawet, bo wolał się z Prudence nie rozdzielać po tym, przez co przeszli. Zarazem jednak miał pewne opory przed dzieleniem z nią łoża, skoro przyszłość ich miała rozdzielić. Chociaż jednak upominał się, że dość już jej odebrał, nadal pragnął więcej, i to pragnął bardzo żarliwie.

Dlatego wiadomość o braku miejsc niemal go uskrzydliła.

Pani House była zagonioną kobietą o ostrych rysach. Kiedy tylko podszedł do baru, poinformowała go, że został jej tylko jeden pokój.

- Ma stół, dwa krzesła i łóżko - wyszczególniła. - Pasuje?

Mówiła szybko, jednocześnie napełniając dwa kufle piwa.

- Pasuje - odparł Roan. - Ale będę potrzebował wannę.

Pani House kręciła głową, jeszcze zanim skończył mówić.

- Nie będzie komu jej przenieść. Wszyscy się już spili.

- Ja mam tragarzy, ale trzeba mi gorącej wody. I proszę podać pieczone kurczę. Do tego chleb, oliwki... Co tylko pani ma.

Pani House skrzywiła się i posunęła kufle po kontuarze do dziewczki.

- Mam tylko jedną pokojówkę i nie mogę...

Roan nie miał pojęcia, ile podał jej pieniędzy, ale najwyraźniej było tego wystarczająco dużo. Popatrzyła na niego krzywo, ale wytarła ręce w fartuch i wzięła banknot.

Roan uśmiechnął się szeroko.

- Mieliśmy z żoną bardzo męczący dzień. Gorąco pragnę jej to wynagrodzić.

- Z żoną, tak? - rzuciła sardonicznie.

- Chodzi o jej ojca. Niewiele zostało mu czasu na tym świecie - wyjaśnił. - Bardzo się spieszymy, żeby jeszcze mogła się z nim zobaczyć.

- Biedactwo! - zawołała z kpiną pani House. - Niech więc ją pan bierze na górę. I proszę przysłać posługaczy po tę wannę. Każę ją przygotować.

Roan zawrócił po Prudence i razem ze służącymi i kuframi weszli na górę do pokoju. Izba była niewielka, ale za to okno wyglądało na zielony zakątek ogrodu. Po półtorej doby bez dachu nad głową pokój wydał się Roanowi prawdziwie luksusowy. Za przyniesienie wanny obiecał chłopcom po dwie korony od łebka.

- Skąd jesteś? - zapytał starszego, kiedy wanna znalazła się już w pokoju.

- Z Midlothian, *sir* - odparł młodzieniec.

- To niedaleko?

Służący skinął głową.

- W stajni jest stara chabeta, niewarta funta kłaków. Ale ma za sobą długą drogę i zasłużyła na spokojny wypas. - Roan wręczył mu banknot pięciofuntowy, a oczy chłopaka zrobiły się wielkie jak spodki. - Zabierz ją do domu, na zieloną trawę.

- Koń? - upewnił się młodzieniec trwożliwie.

- Żaden koń. Stara szkapa. Bądź dla niej dobry.

Chłopiec popatrzył z ledwo skrywaną radością na swojego kolegę. Obaj bardzo chcieli zobaczyć swój niespodziewany prezent. Roan roześmiał się pod nosem, zamykając za nimi drzwi. Wiedział, że na widok kobyły miny im zrzędną.

Odwrócił się. Prudence była zajęta przetrząsaniem zawartości bagażu. Roan też szybko otworzył swój kufer, żeby się upewnić, że schowane banknoty i stąd nie zniknęły. Z ulgą znalazł je na miejscu.

Prudence wyłożyła na łóżko rozmaite sukienki, jedwabne, brokatowe, satynowe i aksamitne, i przyglądała im się krytycznie, kiedy pokojówka przyniosła gorącą kolację i wino.

Zapach jedzenia odciągnął ją momentalnie od garderoby. W jednej chwili usiadła przy stole z Roanem. Częstowali się mięsem pieczonego kurczęcia, podanym na wyszczerbionym półmisku.

- Jak myślisz... - zaczął mówić ale przerwał, żeby oblizać palce. - Myślisz, że to jedzenie naprawdę jest takie smaczne, jak nam się zdaje?

Zachichotała.

- Nigdy nie kosztowałam doskonalszego mięsa z rożna. - Podniosła kieliszek do ust i piła tak, jakby wędrowali przez czterdzieści dni i nocy. Kiedy już nasyciła się jadłem i napojem, osunęła się na krzesło z dłonią na brzuchu i błogim uśmiechem. - Cudowne!

Roan roześmiał się głośno. Musiał przyznać, że jedzenie było wysmienite. Niezli-

czoną ilość razy jadał w o niebo lepszych restauracjach, ale wiedział, że z tych wszystkich posiłków najlepiej zapamięta tę kolację w karczmie. Usta Prudence lśniły od tłuszczu, jej oczy błyszczały ze szczęścia, a policzki miała rumiane od słońca. Była niespotykanie piękna.

Rozległo się pukanie do drzwi. Woda do wanny była już gotowa. Przez następne dziesięć minut dwie służące nosiły do pokoju parujące wiadra, aż wypełniły ją niemal po brzegi.

Im też Roan wręczył banknot, z braku drobniejszych pieniędzy. Wybałuszyły oczy tak samo, jak stajenni.

- Za chwilę znowu będziesz bez pieniędzy - zauważyła ze śmiechem Prudence.

Roan uśmiechnął się do niej, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

- Wasza wysokość, kąpiel gotowa - zwrócił się do niej uroczyście.

- Nigdy tak bardzo jej nie potrzebowałam!

Podniosła się z krzesła, obeszła je i przestawiła obok miedzianej wanny. Na nim ułożyła kilka strojów wyciągniętych z kufra. Następnie zdjęła zniszczone ubranie i uśmiechnęła się zmysłowo do Roana, jak przystało na prawdziwą kochankę. Nie była już niewinną debutantką. Stała się odważniejsza, dojrzała i Roanowi bardzo się to podobało.

Ciało kobiety zawsze wydawało się Roanowi największym dziełem sztuki, ale widok nagiej Prudence wprost zaparł mu dech w piersi.

Weszła z gracją do wanny i zanurzyła się w gorącej wodzie. Serce zabiło mu jeszcze mocniej, kiedy odchyliła do tyłu głowę i zamknęła oczy.

- Jestem w niebie - mruknęła cicho. - Dziękuję, Roanie.

- Pozwól mi umyć ci włosy.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się zaskoczona.

- Byłbyś tak miły?

Podniósł dzban z misy i postawił przy wannie.

- Oczywiście - odrzekł, ale zanim zabrał się do rzeczy, napełnił jeszcze kieliszki winem. Prudence usiadła wyprostowana i pochyliła głowę do przodu, a Roan polał wodę z dzbana na jej głowę.

- Pani Bulworth będzie wdzięczna, kiedy zjawię się ładnie uczesana i w czystej sukience. - Uśmiechnęła się cierpko.

Roan uśmiechnął się i w milczeniu masował opuszkami skórę jej głowy, robiąc pianę.

- Będę za tobą tęskniła - powiedziała łagodnie. - Czy to szaleństwo? Znam cię zaledwie półtora dnia, a wiem, że będzie mi ciebie brakowało jak powietrza.

Zawahał się przez chwilę, zanim wrócił do mycia jej włosów. Zrozumiał, że on też będzie za nią tęsknił, i to bardziej, niż mógłby przypuszczać.

- Też będę tęsknił - przyznał krótko.

Zanurzył dzban w wannie i spłukał pianę z jej włosów. Prudence milczała, dopóki nie skończył. A potem złapała go za rękę.

- Dołącz do mnie.

- Nie zmieścimy się razem w tej wannie. - Roześmiał się.

- Założysz się? - odparła i podciągnęła kolana pod brodę.

Roan szczerze wątpił, czy uda im się ta sztuka, ale nic mu nie szkodziło spróbo-

wać. Szybko zrzucił z siebie ubranie, podczas gdy Prudence bezwstydnie mu się przyglądała. Niejedna kobieta widziała go już nago, ale pierwszy raz zapragnął być dla kobiety równie pociągający, jak ona była atrakcyjna dla niego. Wszedł do wanny, mocno uchwycił się brzegów i usiadł ostrożnie. Fala wody wylała się na podłogę, a Prudence zaśmiała się z tego radośnie. Zaraz pomogła mu się umyć, namydlając mu pierś, szyję i twarz. On też jej pomagał, a szczególnie dokładnie umył jej piersi i podbrzusze. Śmiała się z niego, kiedy zanurzył głowę między kolanami, żeby zmoczyć włosy.

- Chciałbyś, żebym cię ogoliła? Kiedyś goliłam hrabiego, kiedy już sam nie mógł utrzymać brzytwy.

- Chętnie - zgodził się bez wahania.

Sięgnęła za wannę i znalazła brzytwę oraz mydło do golenia. Z uśmiechem pochyliła się bliżej i uważnie zgoliła dwudniowy zarost z jego twarzy.

Kiedy byli już czysti i pachnący, Roan wziął kieliszki i podał jeden Prudence. Kąpiel sprawiła mu mnóstwo przyjemności. Teraz zagarnęła już włosy do tyłu, a jej piersi stykały się z powierzchnią wody. Twarz miała łagodnie oświetloną blaskiem ognia. Nigdy nie był równie urzeczony i szczęśliwy.

Rozmawiali o rodzinie oraz o koniach i psach, które oboje uwielbiali. Opowiedział jej o kanale, który miał połączyć jezioro Erie z miastem Nowy Jork. Prudence z kolei podzieliła się wspomnieniami o ojcu, który zmarł, kiedy jeszcze była bardzo mała. Mówiła, jaka była jej matka, zanim dotknął ją obłęd, a także o drugim jej małżeństwie z hrabią Beckington. Hrabia pokochał szczerze swoje pasierbice i wprowadził je w świat londyńskiego towarzystwa, balów i wieczorków muzycznych.

Prudence zaśmiała się niewesoło.

- Obawiam się, że nie będę już mogła do tego wrócić.

To go otrzeźwiło. Jeśli jakakolwiek kobieta zasługiwała na to, żeby być ozdobą towarzystwa, była to właśnie ona. Wyobrazził ją sobie w pięknej sukni, w klejnotach na szyi, olśniewającą wszystkich uśmiechem.

- Co zamierzasz, kiedy już spotkasz się z przyjaciółką? - zapytał cicho.

- O ile najpierw Merryton nie wyśle za mną pościgu? - Prudence ochlapała go ze śmiechem. - Pewnie wrócę do Blackwood Hall i będę czekała.

- Na co chcesz czekać? - dopytywał się, nie rozumiejąc.

Prudence wzruszyła ramionami.

- Na propozycję...

Roan skrzywił się na jej słowa.

- Nie smuć się, Roanie. Taki już los debutantek. Niczego innego nie możemy się spodziewać.

- Chyba wolno ci będzie znaleźć sobie zajęcie?

Roześmiała się.

- Jako guwernantka? Nauczycielka? Nie miałabym nic przeciwko temu, a nawet chętnie bym skorzystała z tej możliwości, bo zawsze chciałam mieć dużo dzieci... Nie wiem jednak, co ze mną będzie, ale młode damy dobrego urodzenia nie powinny pracować. Mają dobrze wyjść za mąż, a potem organizować wieczorki karciane oraz wydawać kolacje. - Uśmiechnęła się i znowu chlusnęła w niego wodą. - Czasem zazdroszczę Mercy. Znalazła od tego ucieczkę w sztukę. Szkoda, że sama nie



jestem tak wytrwała w moich dążeniach.

Roan spróbował się uśmiechnąć, ale przyszło mu to z trudem, bo widział w jej cudownych oczach cień zwątpienia i rezygnacji.

Prudence odwróciła wzrok. Wzięła łyk wina i odstawiła kieliszek. Przemknęła palcami po letniej już wodzie.

- Jutro nasza przygoda dobiega końca, prawda?

- Wcale nie musi - odparł od razu. Pod wpływem spojrzenia jej orzechowych oczu zgodziłby się na wszystko. - Pojedź ze mną na północ.

Uśmiechnęła się i podniosła na niego wzrok.

- I co będę tam robiła? Udawała twoją kuzynkę? I to przed ludźmi, którzy mogą przecież znać moją rodzinę...? A wszak nawet ta maskarada będzie miała wkrótce swój koniec.

Roan pragnął powiedzieć jej to, co chciałyby usłyszeć; zaproponować, że zostanie z nią w Anglii albo znajdzie sposób, żeby ich przygoda się nigdy nie skończyła. Mógłby zacząć się o nią ubiegać z zachowaniem wszystkich reguł obowiązujących w towarzystwie, a potem oświadczyć się jej...

Ale to były tylko mrzonki - miał rodzinę i swoje życie w Ameryce. Prowadził kwitnący interes i los wielu ludzi zależał od obietnicy, którą złożył ojcu w sprawie Susanny Pratt. Musiał też przywieźć z powrotem Aurorę, która miała do wypełnienia własne zobowiązania, a ich matka odchodziła od zmysłów z niepokoju. Choć bardzo tego pragnął, Roan nie mógł sobie pozwolić na odgrywanie roli adoratora panny Cabot.

Prudence po swoim wytłumaczyła jego milczenie.

- Nie musisz nic mówić - spróbowała go uspokoić. - Od początku wiedziałam, że nic więcej nie może z tego wyniknąć. Będę wspominała nasze wspólne dni z radością i... wdzięcznością.

- Z wdzięcznością? - zdumiał się gorzko Roan i zamknął oczy. Czuł się okropnie, był zatroskany i wściekły na siebie. - Dziwnie dobierasz słowa, zważywszy na to, że strasznie cię wykorzystałem, Pru. Odebrałem ci coś, czego już nigdy nie odzyskasz.

- Roanie! - Wyprostowała się i wzięła go ręką pod brodę. - Jak możesz tak mówić? Sama za tobą poszłam. Pozwoliłam ci na wszystko. Pragnęłam cię, chciałam, żebyś mnie dotykał... I dobrze wiedziałam, co robię.

Roan szukał słów, ale żadne nie mogło oddać jego cierpienia.

- Ja też nigdy tych dni nie zapomnę - odrzekł, chociaż i to wydało mu się całkowicie nieodpowiednie. Wziął ją za rękę i spojrzał głęboko w oczy. - Nigdy, Pru.

Uśmiechnęła się do niego z taką czułością, że od razu zrobiło mu się cieplej na sercu, ale zaraz jej wzrok nabrał łobuzerskiego błysku.

- Nasza przygoda chyba się jeszcze nie skończyła?

Roan też się uśmiechnął.

- Nic podobnego! - Podniósł się z wanny, ociekając wodą jak morska bestia, i wziął ją w ramiona. Wyszedł z kąpieli, trzymając ją na rękach, i zaniósł do łóżka. Położyli się. Pogłaskała go po twarzy i zanurzyła palce w jego mokre włosy.

- Roanie...

Jego ciało zareagowało natychmiast na dźwięk jego imienia wypowiedziany zmysłowym szeptem. Coś w nim pękło i zalała go fala czułości i troski, która dotarła do

najgłębszych zakamarków jego duszy.

Prudence westchnęła, zapraszająco wystawiając do niego delikatny bok szyi. Pocałował ją tuż poniżej ucha i wsunął ramiona pod jej plecy, przyciskając ją mocno do swojej piersi.

- Pragnę cię - szepnął. - Bardzo cię pragnę, Prudence.

Wziął w dłoń jej pierś i całował jej wilgotną jeszcze od kąpieli skórę.

Jej ciało odpowiadało na dotyk, czuł żywsze bicie jej serca i gorąco rozpalonej skóry. Jej zapach i ciężar ciała, który trzymał w ramionach, podniecał go do szaleństwa.

Wziął jej pierś między wargi, żeby usłyszeć zaraz jęk rozkoszy. Był zniewolony swoim pragnieniem. Nigdy nie pożądał i nie będzie już pożądać tak bardzo żadnej innej kobiety.

Wsunął dłoń między jej uda.

- Och! - jęknęła.

Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymywał się przed tym, by jej nie pojąć od razu. Pragnął, żeby ich akt trwał jak najdłużej, chciał zapamiętać każdą chwilę zbliżenia.

Pocałował ją w pępek i zaczął przemieszczać się coraz niżej. Prudence chwyciła palcami jego włosy. Ich ciężkie oddechy zlały się w jedno i całkowicie poddali się instynktom. Znalazł się teraz tuż przy źródle jej kobiecości i zanurzył w nim język. Jęki Prudence prowadziły go dalej, aż poznał ją tak, jak nigdy nie poznał żadnej kobiety.

I jak nigdy żadnej już nie pozna. Zaczęła poruszać biodrami, ponaglać go, a kiedy osiągnęła spełnienie, nie mógł już dłużej czekać i położył się na niej. Prudence uśmiechnęła się do niego uśmiechem zaspokojonej kobiety i ku jego zaskoczeniu wzięła go w dłoń. Zacisnął zęby, żeby zachować kontrolę, i położył rękę na jej dłoni, żeby pokazać, jak powinna nią poruszać.

Przyglądała mu się z uwagą i radością, jakby właśnie odkryła coś niezwykłego. Kiedy już nie mógł dłużej się wstrzymać, zatrzymał jej rękę. Prudence uśmiechnęła się i pomimo całej swojej niewinności w lot pojęła, jaką miała nad nim władzę. Roana naszała myśl, że to właśnie jest przekleństwem każdego mężczyzny.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa - wyznał niskim, ochrypłym z pożądania głosem. - Strach mnie ogarnia na myśl, że mógłbym przyjechać do Anglii i nigdy cię nie spotkać.

- Nie zapomnij o mnie, Roanie.

- Przysięgam, że nigdy nie zapomnę - obiecał gorąco i wszedł w nią delikatnie. Wziął ją w ramiona i położył się na plecach. Prudence westchnęła, przyjemnie zaskoczona, i oparła dłonie na jego piersi. Roan uniósł się i czule ją pocałował, nie przestając się w niej poruszać. Prudence podjęła rytm, a jego ogarnął podziw dla fizycznego i emocjonalnego zjednoczenia mężczyzny i kobiety. Kiedy pochyliła się nad nim, całkowicie zatracił się w tej cudownej chwili.

Prudence położyła się na nim i złożyła głowę na jego ramieniu.

- Czy zawsze jest w tym tyle pasji? - zapytała bez tchu.

Roan odgarnął włosy z jej twarzy.

- Ja nigdy wcześniej się tak nie czułem.

Uniosła się, a jej twarz jaśniała uśmiechem. Roan jęknął, słysząc w uszach echo

własnych słów. Czy naprawdę powiedziałem to na głos? – nie dowierzał sobie. Wyglądało jednak na to, że tak, a co gorsza, naprawdę tak myślał.

Prudence pocałowała go i zsunęła się z niego, aby położyć się przy nim na plecach i spleść z nim dłonie. Razem wpatrywali się w drewniane belki powały. Za nic nie chciał puścić jej ręki. Czuł, że uczucie, które do niej żywił, zrosło się z nim już na zawsze.

Miał mętlik w głowie. Nawiedziło go wiele sprzecznych myśli, nie rozumiał w pełni swoich uczuć ani pragnień.

Nagle Prudence spojrzała mu w twarz i uśmiechnęła się do niego.

– Czy myślisz... że moglibyśmy to zrobić jeszcze raz? W końcu nie nadszedł jeszcze ranek.

Położył dłoń na jej policzku.

– Jesteś niewiarygodna... Czym sobie zasłużyłem na taki skarb? – Prudence roześmiała się i wspięła na niego, a on odpowiedział na jej pytanie: – Oczywiście... Jestem cały twój. Do rana pozostało jeszcze dużo czasu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Poranek w końcu nadszedł, i to zdecydowanie za wcześnie. Do świtu leżeli w swoich ramionach, poznawali swoje ciała i kochali się. Prudence obudziły promienie słońca, wpadające przez okno do izby. Przeciągnęła się i zmarszczyła nosek. Roan leżał na boku przodem do niej z zamkniętymi oczami i oddychał głęboko. Pocałowała go dwa razy w pierś i usiadła na łóżku.

Otworzył oczy i przez chwilę się jej przyglądał.

- Jesteś nienasycona - zauważył i przesunął palcami po jej splątanych włosach.

- Możesz mieć rację - przyznała ze śmiechem. Wcześniej ta sama myśl zaświtała jej w głowie.

Obróciła się, pocałowała go w usta i spuściła z łóżka nogi. Przez dwa ostatnie dni dzieliła z Roanem piękny, intymny świat. Nie chciała go opuszczać. Wiedziała jednak, że tego nie uniknie. Każde z nich miało przed sobą własne życie i obowiązki względem rodziny.

Wstała szybko, żeby Roan nie zdążył jej dotknąć, bo wtedy całe zdecydowanie opuściłoby ją. Wystarczyłby drobiazg, a zaczęłaby go błagać, żeby jej nie zostawiał albo zabrał ze sobą. Jak ktoś pozbawiony nadziei...

Prudence owinęła się lnianym prześcieradłem. Czuła lekki ból, ale było to przyjemne. Przypominało jej o magii, którą odkryła w jego objęciach.

Podeszła do kufra i wybrała ciemnozieloną suknię z brązową lamówką. Za plecami usłyszała, że Roan też podniósł się z łóżka. Jej uszu dobiegł plusk wody w miednicy i rumor, z jakim zabrał się do przeglądania kufra. Zajął się porządkowaniem swoich rzeczy, żeby ukryć przed nim łzy szczęścia i żalu zarazem, które zbierały się jej pod powiekami.

Czy można tak szybko się zakochać? - pytała samą siebie. - Za sprawą szczęścia natrafić na kogoś dla mnie doskonałego? Czy będzie umiała kiedykolwiek być z kimś innym, skoro na zawsze zapamiętała dotyk jego dłoni? Patrząc w oczy innego i zapomnieć spojrzenia Roana? Czy mogłaby żyć spokojnie, wiedząc, że jej serce jest gdzieś po drugiej stronie oceanu z Roanem?

Wyobrażała sobie rodzinne obiady, na których wśród śmiechu bliskich będzie musiała ukrywać rozdzierający ból. Przy każdym ślubie, każdym narodzonym dziecku i w każde Boże Narodzenie jej siostry będą ze swoimi rodzinami, a ona będzie mogła jedynie myśleć o Roanie.

To takie niesprawiedliwe! - żaliła się w duchu.

Tymczasem Roan się ubrał. Prudence też włożyła sukienkę, ale nie skończyła się jeszcze pakować. Ukrywała przed nim zdenerwowanie. Nie chciała się zachowywać jak rozkapryszona panienka. Naprawdę wiedziała, na co się decyduje, kiedy wsiadała do dylizansu, i teraz będzie musiała znaleźć w sobie siłę, żeby żyć z konsekwencjami swojej decyzji. Chciała rozstać się z nim godnie.

Przygotowała się na chwilę, kiedy ją opuści. Wolą, żeby to on ją zostawił. Była

przekonana, że utrzyma swoje emocje na wodzy do czasu, aż Roan odjedzie na tyle daleko, żeby nie widział z powozu jej łez. Miała jednak pecha. Służący Bulworthów zjawił się już przed południem, dwie godziny za wcześnie.

- Podobno miałeś tu przyjechać dopiero koło południa - skarcił go Roan, jakby chłopak popełnił jakieś przewinienie.

- Nie wiem, milordzie. - Służący miał w rękach kapelusz. Wyglądał na osiemnaście albo dziewiętnaście lat, miał rzadką bródkę i rumienił się ze zdenerwowania. - Przyjechałem, kiedy polecił pan Bulworth.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła go Prudence i położyła rękę na ramieniu Roana. Wyglądał tego ranka trochę inaczej. Był uczesany, gładko ogolony i sprawiał na Prudence wrażenie jeszcze bardziej męskiego i onieśmielającego, choć przedtem nie uwierzyłaby, że to w ogóle jest możliwe. Jednak najbardziej zmieniły się jego oczy; zniknął z nich cały blask. Wydawały się niemal brązowe, a drobne zmarszczki nadały im zatroskany wygląd.

- W takim razie musimy się już chyba pożegnać. - Prudence próbowała mówić prawie radosnym głosem. Uśmiechnęła się do służącego. - To mój kufer.

Chłopak skinął głową i podniósł bagaż, a potem zarzucił go sobie na plecy.

Prudence starała się uśmiechnąć do Roana, ale ta sztuka się jej nie udała.

- Poprosiłabym cię o list, ale chyba lepiej tego uniknąć. Będę się tylko bardziej martwić...

- Możesz pojechać ze mną do West Lee. - Roan złapał ją za rękę.

- Wesley - mruknęła.

- Posłuchaj - ciągnął. - Przedstawimy cię jako moją kuzynkę i przyjaciółkę Aurory, która ma jej towarzyszyć w drodze do domu.

- Kiedy tylko otworzę usta, wszyscy poznają, że nie jestem Amerykanką. Możliwe też, że spotkam tam kogoś znajomego. Penfors jest wicehrabią i mógł poznać mojego ojczyma... albo Merrytona.

- Ale...

- Ale! - powtórzyła i wzięła go za obie ręce. - Muszę jechać, i ty też. Czy mamy inne wyjście? Chciałabym... dalej z tobą podróżować, ale to niemożliwe. Będę miała szczęście, jeśli kiedykolwiek ujrzę świat poza Blackwood Hall. A poza tym nie wiem, ile jeszcze byłabym w stanie wytrzymać. Im dłużej przy tobie jestem, tym bardziej chcę... wszystkiego. Chyba mnie rozumiesz?

Roan westchnął i ścisnął jej dłonie.

- Tak, oczywiście, że rozumiem. Masz rację, Pru. Jednak, gdyby nie Aurora... - Pokręcił smutno głową i wbił wzrok w ziemię. - Dalsza podróż ze mną byłaby już nazbyt lekkomyślna. Nawet jak na ciebie.

Podniósł oczy i uśmiechnął się blado.

- Kiedy wracasz do Blackwood Hall? Chciałabym się z tobą jeszcze zobaczyć...

- Nie! - zawołała i zerknęła ukradkiem na służącego. - To niemożliwe.

- Muszę...

- Nie - ucięła. Zrobiło się jej gorąco. - Jeśli to zrobisz, będzie jeszcze gorzej.

Wyglądał na dotkniętego, ale Prudence wiedziała, że nie zniosłaby jego widoku.

Roan ścisnął jej rękę jeszcze mocniej.

- Nie jestem gotowy, żeby pozwolić ci odejść. Może nigdy nie będę na to gotowy,

ale nie mogę...

Zacisnął zęby i odwrócił wzrok. Jego słowa sprawiły jej ból.

- Dlaczego nie jesteś Anglikiem? - jęknęła.

- A dlaczego ty nie jesteś Amerykanką? Jesteśmy sobie przeznaczeni, Pru. Nie umiem tego inaczej ująć. A wierz mi, że próbowałam...

Prudence przygryzła wargę, żeby stłumić łzy.

- W tej sytuacji - odrzekła - chyba powinnam...

Skinęła głową w stronę powozu, przy którym czekał służący.

- Tak. - Roan z trudem przełknął. Podał jej ramię i pomógł Prudence usadowić się.

Wychyliła się i pocałowała go w policzek. Prawie doprowadziło ją to do szału.

Roan cofnął się o krok i założył ręce za plecami.

- Spokojnej podróży, panno Cabot.

- Wzajemnie, panie Matheson.

- Ruszamy, panienko? - zapytał służący.

- Tak, bardzo proszę. - Kiedy powóz ruszył, uniosła rękę na pożegnanie, a kiedy odjechali kawałek, odwróciła się.

Roan stał na środku drogi i patrzył za nią. Spoglądał tak długo, aż całkiem stracili się z oczu. Gdzieś w połowie drogi między nim a Prudence jej serce pękło.

- Ciepło, prawda? - zagaił młodzieniec. - Wcale nie padało. Jest tak sucho, że na farmie Tatlingera plony są karłowate. Słyszałem, że może będzie chciał ją sprzedać Bulworthowi.

- Tak, jest okropnie sucho - zgodziła się Prudence machinalnie. Młodzieniec mówił dalej, ale Prudence nie słuchała go. Za bardzo była zanurzona we własnych, ponurych myślach.

- Do pomocy ściągnęli synów Fergusona. Sześciu chłopów, a każdy silny jak wół...

Prudence nie miała wątpliwości, że postąpiła tak, jak należało. Zawsze tak postępowała z wyjątkiem jednego popołudnia w Ashton Down. Nie wątpiła, że przyjdzie się jej tłumaczyć z nieobecności, ale wiedziała, że coś wymyśli. Na pewno nie mogła wspominać o żadnym obozowisku, jeziorze z nenufarami ani też o pobycie w luksusowym pokoju w karczmie, z wykwinną kolacją i gorącą kąpielą, w towarzystwie mężczyzny, który nie był choćby jej narzeczonym. Jeszcze czterdzieści osiem godzin temu nawet go nie знаła, a teraz czuła się samotna i opuszczona.

Zawsze postępowała, jak należało.

Ale co będzie, jeśli zaszła w ciążę? Byli ostrożni, ale ostatniej nocy oboje stracili nad sobą kontrolę. Według kalendarza za tydzień wszystko miało się wyjaśnić. Ale co pocnie ze sobą przez cały tydzień? Powstrzymała bieg myśli, żeby nie zrobić jeszcze większego głupstwa. Gdyby posunęła się choć o krok dalej, mogła stać się bohaterką skandalu, a nawet zostać oskarżona o obrazę moralności. Prudence nie miała pojęcia, jakie prawa mają tu zastosowanie, ale łatwo wyobraziła sobie, jak stoi przed sędzią pokoju: „Tak, wysoki sędzie, spałam z mężczyzną, z którym nie łączy mnie ślub...”.

- Bobby Ferguson jest z nich chyba najsilniejszy. Wyższy od braci o całą głowę i szeroki jak ten powóz - kontynuował służący.

O czym ten chłopak teraz mówi? - Prudence spróbowała się skoncentrować. Jej wzrok powędrował nad złote pola zboża.

Czym jest ów honor i godność, które tak cenila? Czy honor bez życia jest cokolwiek wart? Dlaczego więc miałyby z nim nie pojechać do Wesley i nie poczekać na odpowiedź razem z Roanem. Przecież nie znała Penforsa osobiście, więc z pewnością nie rozpoznałby jej. Istniała jednak duża szansa, że Roan zastałby Penforsów samych.

- Kiedyś widziałem, jak podniósł głaz wielki jak owca. Sam jeden!

Prudence usiadła wyprostowana, bo nasza ją nagła myśl: postąpiła niemoralnie, że nie pojechała do Wesley. Czy można było oczekiwać od biednego Amerykanina, że poradzi sobie w angielskim towarzystwie? To, że zostawiła go bez pomocy po tym, jak ją ocalił, było absolutnie niewybaczalne.

- Prawie że upuścił go farmerowi na stopy. Wcale go nie trafił, ale farmer zawył, jakby tak było. - Młodzieniec zaśmiał się na to wspomnienie.

- Zawróć - powiedziała Prudence, z początku tak cicho, że sama ledwie się usłyszała.

- Słucham?

- Zawróć! - powtórzyła i spojrzała przez ramię na drogę. - Zawróć! Zawracaj!

Złapała go za ramiona i potrząsała, a młodzieniec patrzył na nią, jakby postradała zmysły.

- Zawracaj! - krzyczała dziko.

Albo się przestraszył, albo zrozumiał wreszcie, o co jej chodzi.

- Pani i pan Bulworth mnie oczekują - zauważył młodzieniec, zatroskany. - Chcą, żebym panią przywiózł.

- Możesz im powiedzieć, że czekałeś, ale nie przyjechałam.

- Mam ich okłamać?

- Jak ci na imię?

- Robert, proszę pani - odparł z taką miną, jakby się bał, że dostanie w ucho.

- Posłuchaj mnie, Robercie. Zapomniałam zrobić czegoś bardzo ważnego, rozumiesz? Nie mogę tego tak zostawić. A robię to tylko z tego powodu, że pani Bulworth mnie oczekuje. Tak właśnie musisz jej powiedzieć. Prawda, że mnie nie zawiedziesz?

- No nie wiem - odparł przestraszony. - Pan Bulworth da mi popalić, jeśli uzna, że zrobiłem coś, czego nie powinienem.

- Ale właśnie o to chodzi, żebyś pomógł mi naprawić straszną krzywdę. Jedź szybciej! Nie możesz ich bardziej popędzić?

- Konie się spienią!

- Za chwilę może już być za późno. Proszę, spróbuj je pogonić!

- Wio! - ryknął Robert, aż Prudence się przestraszyła. Smagnął lejcami końskie grzbiety i popędzili tak szybko, że Prudence podskakiwała na siedzeniu. Pisnęła i złapała się za poręcz, żeby nie wypaść.

Po kwadransie znaleźli się już z powrotem na High Street i zatrzymali się ostro przed urzędem poczty.

- Och, nie! - jęknęła Prudence. - Tylko nie to!

Było już jednak za późno. Worki z poranną pocztą zniknęły.

- Co teraz, panienko? - zapytał Robert.

Prudence już jednak nie było. Wskoczyła z powozu i wpadła do budynku.

- Czy dyliżans już odszedł? - zapytała wystraszona urzędniczka.

- Oczywiście! - odparł, jakby usłyszał najgłupsze pytanie na świecie. - Nigdy się nie spóźnia. No, chyba że pada deszcz. Odjechał dokładnie kwadrans po.

Prudence jęknęła i przycisnęła rękę do piersi.

- W którą stronę? - zapytała.

- O tej porze jedzie tylko w jedną - odparł urzędnik i wskazał północ.

Obróciła się jak fryga i wystrzeliła na zewnątrz. Popatrzyła na Roberta i jego dwójkę koni. Dyliżans pocztowy ciągnęła czwórka świeżych zwierząt. Nie mieli szans.

Prudence ugięła się pod ciężarem swojej straty.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Roan był chory.

Nie czuł się źle i chętnie by się zgodził na taką odmianę. Po prostu był chory.

Zajrzał do wnętrza powozu. Na północ wybierała się z nim młoda kobieta z dwójką dzieci oraz dżentelmen, który skinął mu głową i bez słowa zatrzasnął drzwiczki. Z tyłu dwaj woźnicy ładowali bagaże pasażerów oraz worki z pocztą.

Roan był na siebie wściekły, że pozwolił sobie na tę przygodę z Prudence. Nie mogło z niej nic więcej wyniknąć. Usprawiedliwiał się na różne sposoby. Był mężczyzną o niezwykle silnych potrzebach, a ona była piękną kobietą i nie mógł się jej oprzeć. Uspokajał się w duchu, że podobnie jak w przypadku innych romansów, ukłucie żalu opuści go szybciej, niż powóz opuści Himple.

Nie mógł się jednak pozbyć poczucia straty, ogarniała go obezwładniająca tęsknota.

Karcił się w myśli, że zachowuje się jak dziecko, zamiast po męsku pogodzić się z tym, co nieuniknione, i ruszyć dalej. Co się stało z siłą woli, dzięki której zawsze umiał stłumić emocje? Zdołał się nawet pogodzić z perspektywą małżeństwa z Susaną Pratt.

Może strata tym razem okazała się zbyt duża...

Powóz zatrzymał się w wiosce na zmianę koni. Towarzysze podróży okazali się mało rozmowni, za co Roan był bardzo wdzięczny losowi. Ruszyli ze świeżym zaprzęgiem. Powóz kołysał się niespokojnie, a myśli Roana poszybowały w nieprzyjemną stronę. Zapatrzył się półprzytomnie w dal, gdzie pola i łąki przechodziły w odległy las, następnie spojrzął za siebie, na wstęgę przebytej już drogi. Nagle dostrzegł ruch; daleko za nimi po gościńcu pędził inny powóz.

Woźnica był pochylony nad lejcami i popędzał konie do pędu, którego taki pojazd mógł nie wytrzymać.

Strażnik też go zobaczył i na wszelki wypadek wyciągnął i odbezpieczył pistolet.

- Rabusie? - zapytał jeden z pasażerów, ale strażnik nic na to nie odrzekł.

Roan zmrużył oczy, próbując przebić wzrokiem pył, wzbijany przez dyliżans z drogi. To nie mogli być bandyci. Oni na pewno woleliby jechać wierzchem. Jeszcze raz przyjrzał się pościgowi i zobaczył, że za woźnicą ktoś próbuje wstać z siedzenia.

Prudence!

- Zwolnij! - zawołał i zerwał się na nogi. - Zatrzymać się!

- Proszę natychmiast usiąść - rozkazał strażnik. - Jeszcze chwila, a pan spadnie i skręci niechybnie kark.

- Stójcie! Stójcie! - wołał Roan.

- Dlaczego? - zaczął się z nim spierać inny pasażer. - Mamy dać się obrabować?

- Ten powóz jedzie po mnie! - zawołał Roan.

- Może po pana przyjechać na następny przystanek. Nie musimy się wszyscy zatrzymywać.

- Zatrzymać ten piekielny dyliżans! - ryknął Roan. Strażnik zawołał coś do woźnicy i powóz zaczął zwalniać.

- Niech was licho! - zaklął niezadowolony współpasażer, kiedy powóz za nimi zatrzymał się raptownie.

Ciągnące go konie miały boki pokryte pianą i dyszały tak, jakby przebiegły całą drogę od majątku Bulworthów. Roan zeskokczył na ziemię, a Prudence zesła z koźła.

- Co ty wyprawiasz? - zawołał do niej na powitanie. - Kompletnie oszalałaś! To głupie, nieodpowiedzialne...

Prudence cała promieniała. Dyszała tak, jakby biegła w zaprzęgu razem z końmi, ale jej oczy błyszczały w radosnym uśmiechu.

- Wesley - wykrztusiła. - Może jednak powinnam odwieźć cię do Wesley.

Roan nie mógł opanować emocji. Przyskokczył do niej i wziął w ramiona.

- Może powinnaś - mruknął i pocałował ją w policzek. Objął ją w talii i zaprowadził do dyliżansu.

- Zróbcie miejsce - zakomenderował i zwrócił się do Prudence - przyniosę twoje bagaże.

Wrócił do powozu i sam przydzwigał kufer, który zaraz wrzucił na dyliżans. Wrócił jeszcze po mniejszą torbę podróżną.

- Proszę - rzekł na odchodnym do młodego woźnicy Bulworthów, wręczając banknot, na który nawet nie spojrzał. I tak żadna kwota nie mogła wyrazić jego wdzięczności. Świadomość, że Prudence sama do niego wróciła, przepełniała go nieopisaną radością.

Zaniósł torbę do powozu.

- A co z jej biletem? - zawołał woźnica.

Roan podał mu kilka monet i wszedł do powozu. Usiadł obok Prudence, wziął ją za rękę i ścisnął mocno.

Prudence rozmawiała właśnie z mężczyzną ubranym w granatowy płaszcz i brokatową kamizelkę. Buty miał wypolerowane na wysoki połysk.

- ...może powinnam poczekać na poranny przejazd, ale mój ojciec... ma się bardzo źle. Nie chciałam jechać sama, więc ruszyliśmy w pościg za dyliżansem i... moim kuzynem.

Tłumaczyła się. Roan słuchał jej skonsternowany. W jego przekonaniu nie musiała się przed nikim tłumaczyć. Uśmiechnęła się do niego, najwyraźniej bardzo zadowolona ze swojej opowieści.

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech.

- I to wszystko po to, żeby podróżować w towarzystwie kuzyna?

Roan spojrzał na niego ostrzegawczo.

- Tak - zapewniła go Prudence, kiwając głową. Współpasażer znowu uśmiechnął się dwuznacznie i spojrzał Roanowi porozumiewawczo w oczy nad jej głową.

Roan zignorował go.

- Nie jesteś na mnie zły, prawda? - zapytała Prudence. Cała była oprószona pyłem z drogi, ale dla niego liczył się tylko błysk radości w jej oczach. - Nie widziałam innego sposobu.

- Cieszę się, że mnie posłuchałaś. Ale w jaki sposób...

- Nie mam pojęcia! - odparła, przewidując jego pytanie. - Myślałam, że nigdy cię nie dopędzimy.

- Mamy szczęście, że te pocztowe zaprzęgi nie są zbyt szybkie. - Uśmiechnął się, odgrywając rolę kuzyna, ale widział wyraźnie, jak przyglądali się im inni pasażerowie. Nic to jednak go nie obchodziło. Była przy nim i tylko to miało dla niego znaczenie.

Prudence ponownie roześmiała się.

- Zgubiłam czepek! - zawołała radośnie.

- Zgubiłaś czepek! - powtórzył głośno, zwracając uwagę reszty współpasażerów.

Tymczasem powóz toczył się przez dąbrowy oraz pastwiska owiec i bydła. Krajobraz stopniowo się zmieniał; równiny ustępowały miejsca wzniesieniom. Zaczęli zmieniać konie co dziesięć mil.

Na jednym z ostrych podjazdów dżentelmen zwrócił się konfidencjonalnie do Roana.

- Całkiem ładniutka ta pana kuzyneczka.

Roan powoli odwrócił do niego głowę.

- Słucham?

- Jest Angielką, prawda? A pan, sądząc z akcentu, chyba Amerykaninem.

- Co z tego?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nic - odparł i odsunął się od Roana.

Roan poczuł się nieswojo i zaczął obawiać o Prudence. Uznał jednak, że po dojechaniu do West Lee uwolni się od nieproszonego opiekuna. Nie zamierzał pozwolić, żeby jego ciekawość zmaćlała mu szczęście.

Przejechali kilka starych kamiennych mostów, minęli ruiny zamku i znaleźli się w cienistym lesie. Roanowi powoli kończyła się cierpliwość do ciekawskiego współpasażera, kiedy za kolejnym wzgórzem jeden z woźniców zawołał:

- Wesley! Następne będzie Wesley!

- Popatrz! - Prudence wskazała Roanowi krajobraz za oknem. Daleko, na wzgórzu, wznosił się majestatyczny dwór, zbudowany z poszarzałego wapienia, z dwiema wieżycami.

- Howston Hall - powiedział mężczyzna, siedzący obok Prudence. - To siedziba wicehrabiego Penforsa.

Roan był wstrząśnięty. Czy naprawdę tak wyglądał dom, w którym zaszyla się Aurora?

- Jest przeogromny - mruknął.

- Szesnaście sypialni gościnnych. - Widząc spojrzenie Roana, nieznajomy dodał: - Dobrze znam tę posiadłość. Jego lordowska mość jest moim przyjacielem.

Ta wiadomość zmroziła Roana. Prudence również pojęła, że nie pozbędą się natrętnego mężczyzny tak łatwo.

Wjechali do miejscowości, gdzie wszystkie domy były pobielone, znajdowały się tam dwa kościoły i uroczy skwer, który starszy pan właśnie kosił. Tutaj wszyscy pasażerowie wysiedli. Wyprzęgnięto konie, wypakowano bagaże i pocztę, a powóz odprowadzono do wozowni na końcu ulicy.

Kobieta z dziećmi przeszła na drugą stronę i zniknęła w zaułku między dwoma do-

mami. Dwaj mężczyźni, którzy jechali na górze, poszli do gospody. Angielski dżentelmen nigdzie się jednak nie ruszył.

- Dowiem się, jak możemy się dostać do dworu - zaproponowała Prudence.

- Do dworu? - nie posiadał się ze zdumienia dżentelmen, który zasłyszał jej słowa.

- Nie spieszy się pani do umierającego ojca?

Prudence zamrugnęła, zaskoczona.

- Spieszę. Spieszymy. Ale skoro już tutaj jesteśmy, chcielibyśmy złożyć jego lordowskiej mości wizytę.

- Doskonale! Skoro jesteście gośćmi jego lordowskiej mości, nie musicie się kłopotać dojazdem. - Uśmiechnął się do Roana. - Zapraszam więc pana z kuzynką do mojego powozu.

- Nie śmielibyśmy się narzucać. - Prudence zerknęła na Roana kątem oka. - Ani sprawiać kłopotu...

- Sprawiać kłopotu? Przecież przyjedzie cały powóz!

- Dziękuję, ale chcielibyśmy spędzić trochę czasu w wiosce. Jest urocza! - Złożyła dłonie i rozejrzała się dookoła, udając, że podziwia widoki.

Niełatwo było go jednak zbyć.

- To nie Mayfair - odparł jowialnie. - Tutaj dorożki nie czekają na każdym rogu. Proponuję wam pomoc ze szczerego serca. Ale jest pani pewna, że ojciec pani nie oczekuje?

Roan nie słyszał o Mayfair, ale po wypiekach na policzkach Prudence wyraźnie widział, że bardzo chciałyby uniknąć przejażdżki w towarzystwie nieznanego, który uparcie nie przyjmował odmowy. Zarazem zdawał sobie sprawę, że dżentelmen ma rację. Podszedł bliżej.

- Jej ojciec ma najlepszą możliwą opiekę. Chcielibyśmy złożyć wizytę jego dobroczyńcy.

- Ach, jego dobroczyńcy! - mężczyzna powtórzył z rozbawieniem.

Roan miał ogromną ochotę przyłożyć mu w twarz.

- Chce pan jeszcze coś dodać? - zapytał przez zęby.

- Jedynie tyle, że chętnie służę swoim powozem.

Nie podobał się Roanowi ten obrót spraw. Zwłaszcza kiedy myślał o siostrze, która mogła w tej chwili przygotowywać się do kolacji z Penforsem.

- Komu mamy dziękować za życzliwość?

- Jestem lord Stanhope - powiedział radośnie dżentelmen. Roan był niemal pewien, że usłyszał cichy jęk Prudence. - Z kim mam przyjemność?

- Matheson - przedstawił się szorstko Roan. Prudence milczała. - Weźmiemy tylko nasze bagaże.

- Służący się tym zajmie. Wystarczy, że podacie mi nazwiska na waszych kufrach.

- Są bardzo ciężkie - odparował Roan. - Chodź, kuzynko. Weźmiesz swoją torbę.

Wziął Prudence pod ramię i odprowadził od dżentelmena.

- Roanie! - szepnęła przerażona. - To katastrofa! Nie powinnam była tu w ogóle przyjeżdżać. Powinnam zostać w powozie i pojechać do Cassandry!

- Nic podobnego. Zrobiłaś dokładnie to, co należało. Z niczyjego widoku nigdy się tak nie ucieszyłem. Nie mam pojęcia, co to za gość, ale nie przejmuj się, Pru. - Przyjrzał się bagażom wystawionym na chodnik. - Jest po prostu ciekawy.

- To lord Stanhope! - weszła mu w słowo Prudence. - Jest hrabią, Roanie!

- Królewskiej krwi?

- Co? Nie! - Ścisnęła go boleśnie za ramię. - Ja go znam!

- Uspokój się, Pru. Jak zobaczy twoje zdenerwowanie, zaczniesz coś podejrzewać.

Prudence kiwnęła głową i odetchnęła głęboko.

- Słyszałam o nim - dodała spokojniej. - Nie zostałam mu formalnie przedstawio-

na, ale Honor tak. Zna się z moją rodziną i jest członkiem tego samego klubu, co

Augustine. Kiedy tylko pozna moje nazwisko, od razu napisze do Merrytona, a mnie

odwiezie do Londynu.

Roan popatrzył na Stanhope'a, który mówił coś stangretowi i wskazywał ich dłońmi.

- Nie masz się czego obawiać - odparł Roan. - Jesteś moją kuzynką. Panna Cabot...

Prudence walnęła go w ramię.

- Au! - syknął Roan, zaskoczony siłą ciosu.

- Nie wypowiadaj mojego nazwiska!

- Chciałem tylko powiedzieć, że ona została w Blackwood Hall...

Prudence znowu go walnęła.

- Przecież nie wypowiedziałem!

- Ale powiedziałeś Blackwood Hall - szepnęła surowo i popatrzyła na Stanhope'a.

- Cały Londyn wie, kto mieszka w Blackwood Hall.

- Dobrze, rozumiem. Już nie będę...

- I cały Londyn dowie się o wszystkim! Stanę się pośmiewiskiem sfer! Skąd mi

przyszło do głowy, że mogę być taka, jak moje siostry? - Wzniósła oczy do nieba. -

Nigdy nawet nie chciałam ich przypominać. A okazało się, że jestem jeszcze gorsza!

Merryton i Augustine każą mnie...

- Bardzo przepraszam. - Stanhope podszedł do nich z tajemniczym uśmiechem,

jakby ich trójka dzieliła sobie tylko wiadomy sekret.

Prudence zacisnęła usta i odwróciła głowę, jakby chciała ukryć przed nim twarz.

- Chłopak zapakuje wasze bagaże. Wystarczy, że je wskażecie.

Roześmiał się cicho i odszedł.

- Już po mnie... - szepnęła Prudence omdlewającym głosem.

Zdawała się całkowicie przytłoczona perspektywą towarzyskiego skandalu, choć

przez ostatnie dwa dni była ostoją spokoju i determinacji, gotowa rzucić się razem

z nim w każdą nową przygodę. Niemal zastrzeliła człowieka, ryzykując własne ży-

cie. Roan nie rozumiał, w jaki sposób taki dandys pozbawił ją odwagi, ale najchę-

tniej dałby mu za to po uszach.

- Nie martw się - spróbował ją uspokoić, kładąc jej rękę na plecach. Wskazał słu-

żącemu kufry. - Wkrótce się go pozbędziemy.

- Och, Roanie! - powiedziała cicho i uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Ty się go po-

zbędziesz, nie ja.

Roana ogarnęło przytłaczające poczucie winy.

Kiedy bagaże zostały załadowane, lord Stanhope zaprosił ich do powozu. Pomógł

Prudence wsiąść, a Roan zaraz do nich dołączył. Usiadł naprzeciwko Stanhope'a

i nie spuszczał go z oczu. Zastanawiał się, co z nim począć. Przygoda zaczęła się

wspaniale, ale z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Widok Prudence przepełnił go taką radością, że nie zastanawiał się nad konsekwencjami. Teraz twierdził, że nie powinna była zawracać z drogi i rezygnować z wizyty u przyjaciółki.

Kiedy powóz wyjechał już z miasta, Stanhope zwrócił się do Prudence.

- Proszę o wybaczenie, ale nie miałem przyjemności pani poznać.

- Matheson - odpowiedziała z wolna. - Panna Matheson, do usług.

Zaciekawiony Stanhope uniósł jedną brew.

- Matheson... miło mi panią poznać, panno Matheson. Musi mi pani powiedzieć, skąd pani przyjechała. Wydaje mi się pani znajoma. Może spotkaliśmy się już kiedyś?

- Jestem przekonana, że nie miałam tej przyjemności, milordzie - odparła szybko Prudence i pokręciła głową. - Pochodzę z zachodu. To niezmiernie uprzejmie z pana strony, że zdecydował się pan użyć nam swego powozu. To piękny pojazd, a resory wydają się całkiem nowe. Mam rację?

Resory? - zdumiał się Roan i zerknął z niepokojem na Prudence.

- Trudno mi powiedzieć - odrzekł Stanhope, patrząc na nią bez emocji. - Powóz jest wynajęty.

- Niech mi będzie wolno zapytać, skąd pan pochodzi, milordzie? - włączył się do rozmowy Roan, ściągając na siebie całą uwagę hrabiego.

- Z Londynu - wyjaśnił Stanhope. - Mieszkam w pobliżu Grosvenor Square.

- Dopiero co pan był w Londynie? Co nowego słyhać w stolicy? - Roan nie przestawał zarzucać Stanhope'a pytaniami. Prudence tymczasem sprawiała wrażenie niezainteresowanej i spokojnie się wachlowała.

Kiedy jednak Roan zaczął pytać Stanhope'a o handel w Londynie, aby przy okazji zaspokoić swoją ciekawość, ten machnął na niego ręką, na której błyszczał wielki rodowy sygnet.

- Handel mnie nie interesuje, szanowny panie. Jesteście więc kuzynami? - zapytał, zanim Roan zdołał wrócić na temat pogody. - Jesteście spokrewnieni przez pana ojca z kuzynki...

- ...ojcem - odparł Roan.

- ...matką - rzuciła w tej samej chwili Prudence.

Prudence zamknęła oczy, a Stanhope się roześmiał.

- Chyba coś tu się nie zgadza.

- Przeciwnie - odrzekła Prudence, odzyskując animusz. - Moja matka jest żoną brata jego ojca.

Uśmiechnęła się. Roan zrozumiał, że była dumna z błyskawicznej reakcji.

Stanhope najwyraźniej bawił się setnie, a Roanowi wydawało się, że przesłuchaniu nigdy nie będzie końca, kiedy nagle za zakrętem drogi pokazał się Howston Hall.

Roan natychmiast zamilkł. Z bliska gmach prezentował się jeszcze okazalej. Trudno było mu sobie wyobrazić, jak udało się Aurorze uzyskać zaproszenie do tak wspaniałego majątku. Jakich mogła mieć wspólnych znajomych z gospodarzem i skąd?

Budynek mierzył trzy kondygnacje i wzniesiono go w całości z kamienia. Jedną

z wieńz oplótl bluszcz, a róże na treliazu tworzyły kwietny łuk nad głównym wejściem. Powóz zajechał pod wrota, omijając wyspę zieleni, pośrodku której stała fontanna w formie trzech ryb skaczących w górę, a z ich pyszczków płynęła woda. Obok fontanny przechadzały się dwa pawie.

Dom sprawiał wręcz idylliczne wrażenie. Roan nigdy nie widział takiego w Ameryce. Nie był w stanie stłumić podziwu i szacunku dla majątku i dobrego smaku właścicieli. Dom rodzinny Roana, jeden z najbardziej okazałych w dolinie i również stojący na wzgórzu, był o połowę mniejszy.

Powóz zatrzymał się. Podwójne wrota rozwarły się i na spotkanie pośpiesznie wyszedł im kamerdyner z dwoma lokajami w liberii. Stanęli w ordynku przed schodami, czekając, aż stangret otworzy drzwiczki pojazdu.

Stanhope wysiadł jako pierwszy i podał pomocną dłoń Prudence.

- Milordzie, witamy - rzekł kamerdyner. - Madame.

Roan opuścił powóz jako ostatni, tymczasem z domu wyszedł w pośpiechu niski i pękaty jegomość. Miał rumiane policzki i szeroki nos, wyglądał na około sześćdziesięciu lat. Tuż za nim postępowała wyższa o głowę, ale podobnie tęga dama. Miała łagodną twarz i przypominała Roanowi jego babcię.

- Mój drogi lordzie Stanhope! - zawołał radośnie okrągły dżentelmen. - Obawialiśmy się, że już nas pan nie zaszczyci!

- Będiesz dziękował niebiosom, że się zdecydowałeś - dodała dama, unosząc się z entuzjazmu. - A tyle cię już ominęło! Redmayneomalże nie ustrzeił *lady Vanderbeck*!

- Ustrzeił? - zdumiał się Stanhope, podchodząc do damy. Ucałował ją w dłoń.

- Moja droga połowica troszkę koloryzuje - wtrącił się pulchny gospodarz. - Chodzi zaledwie o lotkę od badmintona. Nie pozwalamy Redmayne'owi nosić broni po tym, co wydarzyło się ostatnim razem. Widzę, że przyprowadziłeś ze sobą przyjaciół.

Popatrzył na Roana i Prudence i rozłożył szeroko ramiona.

- Jesteście tu najmilej widziani!

Stanhope nawet się nie zająknął z wyjaśnieniem, jedynie popatrzył na Roana, jakby oczekiwał, że to on zaprzeczy. Roanowi ani się to śniło, przynajmniej do czasu, aż się wyjaśni, gdzie się podziewa jego siostra.

- Bardzo mi przyjemnie - rzekł Roan, ale przerwał mu tętent, z którym grupka jeźdźców przetoczyła się ze śmiechem przez podjazd.

- Doprawdy, Penfors! - zawołała jedna z kobiet. Miała na sobie kostium jeździecki w kolorze rubinu, a na głowie dopasowany kapelusz, zawadiacko przekrzywiony na bok. - Jakoś zapomniłeś nas poinformować, że drogę całkiem zmyło!

- A to ci dopiero! - zafrasował się baryłkowaty dżentelmen, który okazał się nikim innym, jak samym lordem Penforsem. - Nie miałem o tym zielonego pojęcia. A ty, kochanie?

Z ostatnim zdaniem zwrócił się do towarzyszącej mu damy.

- Nikt mi o tym nie doniósł! - zaprotestowała, jakby została oskarżona o zbrodnię. - Cyrylu!

Odwróciła się do domu, a jej głos poniósł się po całym podwórzu.

- Cyrylu! Co to za historia z podmywaniem drogi?

- Stanhope! - zawołała dama w rubinowym kostiumie. - Ty łotrze!

Zeskoczyła z konia.

- Wiedziałam, że w końcu się zjawisz!

Stanhope roześmiał się.

- Absolutnie wyjątkowo pozwalam ci się nazywać łotrem, *madame*. Nie udało mi się jeszcze w pełni zasłużyć na to zaszczytne miano.

Dama podeszła do niego i uściskała go gorąco.

- Lordzie Penfors! - zwróciła się do gospodarza, biorąc Stanhope'a pod ramię. -

Po prostu musisz zaprosić na nasze przyjęcie pana Fitzhugh!

Wyciągnęła dłoń w stronę mężczyzny zasiadającego na potężnym czarnym ogierze.

- Przybył ze Szkocji z niezwykle wypchaną kabzą. Wygląda na to, że nareszcie udało mu się sprzedać zamek.

- Ależ, oczywiście, proszę do nas dołączyć, panie Fitzhugh. Z radością będziemy pana gościć.

Mężczyzna zeskoczył z wierzchowca. Natychmiast podbiegł stajenny, żeby przejąć wodze. Fitzhugh uklonił się, zamiatając kapeluszem podwórzec, podziękował Penforsowi i pospieszył dołączyć do Stanhope'a i damy w karmazynie. Pozostali jeźdźcy ruszyli, gawędząc, w stronę stajni.

Na podjeździe zostali tylko Penfors, Roan i Prudence w dość niezręcznej sytuacji. Wokół w tę i we w tę biegali służący.

- Och, proszę o wybaczenie! - odezwał się Penfors, spoglądając w górę na Roana.

- Czy zostaliśmy sobie przedstawieni?

- Niestety, nie - odparł Roan. Tymczasem żona Penforsa wypadła z domu i zdecydowanym krokiem ruszyła w ich stronę. - Proszę o wybaczenie, że przybyliśmy niezapowiedziani. - Nazywam się Roan Matheson, a to jest...

Penfors nie dał mu dokończyć. Obrócił się na pięcie i zawołał:

- Cyrylu! Pokój dla pana i pani Matheson! To goście Stanhope'a, więc niech to będzie dobry pokój! Cyrylu, byle nie w zachodnim skrzydle!

- Och, nie! - jęknęła Prudence. - Proszę się nie kłopotać...

- Nonsens, *madame*. Stanhope jest naszym bardzo dobrym przyjacielem, więc i wy nimi jesteście. - Popatrzył na Roana. - Ani przez myśl by mi nie przeszło ulokować was w zachodnim skrzydle. Zachowujemy je dla tych drani, którzy zjawiają się niezapowiedziani.

Roześmiał się serdecznie.

- Mój panie! - upomniała go żona, która ponownie zjawiała się wśród nich. - To nieprawda. Drani do Howston Hall zwyczajnie nie wpuszczamy.

- O, nie możesz tak mówić! - nie zgodził się Penfors. - Czy zwróciłaś uwagę na wczorajsze towarzystwo przy kolacji?

- Mogę tak mówić, a nawet już tak powiedziałam. Proszę ze mną, pani Matheson.

- Wyciągnęła rękę do Prudence. Czy mamy się spodziewać pani pokojówki?

- Niestety...

- O, to nic nie szkodzi. Dziewcząt u nas nie brakuje. Zatrudniamy tutaj chyba całe Wesley, nieprawdaż, Penfors?

- Na pewno znaczną część. Proszę mi powiedzieć, drogi panie Matheson, jak pan



sobie radzi z kartami? – zapytał go Penfors, gdy tymczasem lady Penfors zabrała ze sobą oniemiałą Prudence.

– Ach... Ani za często nie wygrywam, ani nie przegrywam – odparł Roan.

Penfors wybuchnął tubalnym śmiechem.

– Cóż to jest za dziwaczna mowa? Pan na pewno był w Eton, nieprawdaż? Sam jestem człowiekiem Cambridge.

– Mój panie, może zamiast gadać, zaprowadzisz tego biedaka do jego pokoju? – zawołała lady Penfors przez ramię. – Bez wątpienia oboje zechcą wziąć kąpiel przed kolacją, a czasu mało!

– Ach! Moja żona ma całkowitą rację, nieprawdaż? – rzucił Penfors, spoglądając na zegarek.

– Niech pan uważa na żonkę, panie Matheson – dodała jeszcze z oddali lady Penfors. – Mój mąż się nie całkiem się omylił. W naszym domu aż się roi od łotrów i rozpustników.

Roześmiała się wesoło i razem z Prudence zniknęła we wnętrzu domu.

– Pan pozwoli za mną, *sir* – rzekł do Roana kamerdyner, prowadząc go i Penforsa w ślad za służącym z bagażami.

– Wydaje się pan zaniepokojony – zauważył Penfors. – Strzela pan?

– Do łajdaków? – zapytał Roan.

Penfors wybuchnął takim śmiechem, że z oczu popłynęły mu łzy. Otarł je jedną ręką, drugą trzymając się za brzuch.

– Wspaniale! Wspaniale! Słyszałaś go, matko? Błyskotliwy gość nam się trafił! – wołał Penfors, chociaż jego żona dawno już zniknęła w głębi dworu.

Wyrwał do przodu i poszedł jej szukać, a Roan skierował się do pokoju.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pokój gościnny okazał się urządzony z prawdziwym przepychem. Prudence zachwycała się wysokim sklepieniem, wielkim łóżem z baldachimem i olbrzymim oknem, wychodzącym na piękne jezioro za domem. Łoże okalały brokatowe zasłony, podłogę pokrywały grube dywany, a nad kominkiem zawieszono świetny landszaft z polowaniem na lisy.

Jednak zachwytu nie starczyło na długo. Prudence zaczęła przechadzać się niepokojnie, a za każdym razem, kiedy mijała przy kominku Roana, spoglądała na niego wilkiem. Na chwilę zatrzymała się przy oknie i zawiesiła wzrok na parze łabędzi, która zerwała się do lotu na zachód. Wyglądały tak, jakby zniknęły w zachodzącym słońcu.

Ten obraz świetnie odzwierciedlał jej stan ducha. Miała poczucie, że tak urzekł ją blask, jakim emanował Roan, że bez wahania skoczyłaby za nim w ogień.

Odwróciła się od okna i znowu minęła Roana przy kominku. Tym razem jednak zatrzymała się i stanęła z nim twarzą w twarz, opierając ręce na biodrach.

Roan siedział na fotelu z nogami na stołku i kołysał w palcach kieliszkiem brandy. Uniósł brew.

- Jak możesz tak sobie siedzieć, kiedy szybujemy w stronę palącego słońca? - wściekła się na niego i na potwierdzenie swych słów wyciągnęła oskarżycielski palec w stronę okna.

- Proszę?

Prudence machnęła ręką. Nie umiałaby nawet wytłumaczyć miotających nią mieszanych emocji po tym, jak radość i nadzieja zgasły w niej za sprawą Stanhope'a.

- Stanhope mnie pozna, jestem tego pewna. Czy zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie oznacza?

- Nie - odparł Roan, kręcąc głową. - Pru, on cię nigdy nie pozna. Ma o tobie całkiem mgliste pojęcie.

- Mgliste pojęcie? Co to w ogóle ma znaczyć?

Roan westchnął. Odstawił brandy, zdjął nogi ze stołka, pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

- Jak by to ująć? Ma jako takie pojęcie o tym, jaką jesteś kobietą...

Prudence parsknęła urażona i odwróciła się do niego plecami.

- To nie tak... - Roan położył jej ręce na biodrach i przyciągnął ją do siebie. - Nie chciałem cię dotknąć. On jedynie podejrzewa, że coś tu nie gra, a jest mężczyzną, więc naturalnie...

- Naturalnie? - przerwała mu.

- Chcę przez to powiedzieć - podjął, głaszcząc ją po karku - że to najłatwiejsze wytłumaczenie. Przecież on nas nie zna. Pamiętaj, że znikniemy stąd, kiedy tylko odnajdę Aurorę, i więcej go nie zobaczysz.

- Skąd masz tę pewność? - Prudence strząsnęła z siebie ręce Roana i odsunęła

się od niego. Odwróciła się znowu w jego stronę. – Roanie...

Zamilkła, żeby zebrać myśli.

– To był najbardziej niezwykły i cudowny czas mojego życia. Miałam nadzieję, że nigdy nie dobiegnie końca, ale kiedy go zobaczyłam... – jęknęła. – Jestem taka głupia!

– Na to nie pozwolę. – Roan wstał, podszedł bliżej i położył palec pod jej brodę, żeby podniosła wzrok. – Jesteś piękną, oszałamiającą kobietą, która chciała ugasić pragnienie życia. Jeżeli z powodu tego strojnisia zakończysz nasze przygody, pęknie mi serce.

Wziął jej twarz w dłonie.

– Nie chcesz chyba mojej śmierci, Prudence?

Nie umiała powstrzymać uśmiechu.

– Nie – odparła.

– Kochana jesteś. – Wziął ją w ramiona. – Przykro by było, gdybym musiał udusić go jeszcze przed kolacją.

Prudence westchnęła i oparła głowę na jego piersi.

– Co my teraz zrobimy?

– To, co możemy. Na razie proponuję, żebyśmy skorzystali z propozycji lady Penfors i oboje wzięli kąpiel. Potem udamy się na tę uprzykrzoną kolację i przy odrobinie szczęścia zastaniemy przy stole Aurorę, a w każdym razie dowiemy się, gdzie możemy ją znaleźć. A potem opuścimy Howston Hall. Tak, jak sama mówiłaś, sprawa szybko pójdzie w zapomnienie.

– Nic nie rozumiesz, Roanie! To hrabia i obraca się w tych samych kręgach, co moja rodzina.

– Posłuchaj. Jeśli kiedykolwiek spotkasz Stanhope'a, a on okaże się na tyle bezczelny, żeby się dopytywać, po prostu zaprzeczysz, że kiedykolwiek tu byłaś. Prudence Cabot nigdy nie odwiedziła Howston Hall. Co najwyżej Prudence Matheson. Pozostanie tylko słowo cnotliwej debutantki przeciwko słowu tego mężczyzny. Nikt nie uwierzy, że właśnie ty, bezpiecznie ukryta w Blackwood Hall, pojawiłaś się tu w jakiś cudowny sposób bez zaproszenia ani opiekuna. Sam nie mogę w to uwierzyć, chociaż jako jedyny oprócz ciebie znam prawdę.

– Kiedy tak to ujmujesz, rzeczywiście nie wygląda to strasznie – przyznała niepewnie.

– Przypomnij sobie, co skłoniło cię w Ashton Down do wybrania się w drogę dyliżansem, Pru. Trafił nam się wybój na drodze. I tym razem poradzimy sobie doskonale. To tylko jedna noc! Przypomnij sobie, czego już dokonaliśmy. Myślisz, że jakiś goguś nazwiskiem Stanhope może nas zniszczyć? Bzdura. Jesteśmy nie do pokonania, panno Matheson.

Prudence uśmiechnęła się niewesoło. Bardzo chciałyby w to uwierzyć i w jego oczach widziała, że i on usilnie tego pragnął. Chciałyby nigdy nie wracać do swojego dotychczasowego życia. Z radością oddałyby się poszukiwaniu jego siostry jak Anglia długa i szeroka, a jeśliby zaszła taka potrzeba, nawet cały świat. We dwójkę mogliby stawić czoło każdemu przeciwnościom.

– Chodź do mnie – mruknął kojąco i pocałował ją czule. Prudence niemal uwierzyła, że w końcu jakimś cudem wszystko się ułoży.

Usłyszeli pukanie i odskoczyli od siebie jak oparzeni. Roan podszedł do drzwi i wpuścił do środka służących z wanną oraz służące z wiadrami gorącej wody.

- Zostawię panią samą, pani Matheson - powiedział, wziął swój kieliszek i udał się do przyległego saloniku.

Po kąpieli i kropelce brandy, której też sobie nie odmówiła, Prudence poczuła się trochę lepiej. Była gotowa odpiierać ataki Stanhope'a. Postanowiła bawić się pytaniami jak towarzyską zabawą i przez cały czas być o dwa kroki przed nim.

Ubrała się w delikatnie haftowaną złotą jedwabną sukienkę z bladozielonym trenem, wyszywanym tym samym złotem. Dziewczyna, która przyszła jej pomóc przy garderobie, uczesała jej włosy i wplotła w nie zieloną wstążkę.

Po przygodach minionych dwóch dni Prudence czuła się teraz jak prawdziwa księżniczka. Włożyła szmaragdowy naszyjnik, szmaragdowe kolczyki i wzięła ulubione satynowe buciki.

Roan czekał w saloniku przy oknie, trzymając ręce za plecami. Miał na sobie frak i ciemne spodnie.

- Roanie?

Odwrócił się na dźwięk jej głosu. Na szyi miał śnieżnobiały fular, a pod frakiem kamizelkę w złote i czarne paski. Wyglądał oszałamiająco, był przystojny i postawny. Pomyślała, że przypomina amerykańskiego księcia. Ogarnęło ją uwielbienie. A może to była miłość?

Roan też jej się przyglądał. Wręcz chłonał ją oczami.

- Dobry Boże, jaka ty jesteś piękna!

Zaczerwieniła się z radości i spuściła wzrok.

- To miłe, co mówisz.

- Nigdy w życiu nie widziałem bardziej pociągającej kobiety. - Pokręcił głową. - Ale na pewno powtarzało ci to już wielu adoratorów. Z pewnością słyszałaś już, jaka jesteś wyjątkowa.

Prudence roześmiała się.

- Nie.

- Mówiłem szczerze - zapewnił ją i dotknął jej policzka wierzchem dłoni, a potem musnął palcami jej dekolt. - Zachwycałaś mnie codziennie, ale dzisiaj zaparłaś mi dech w piersi.

Pochylił się i pocałował ją czule w usta.

Uśmiechnęła się i pogłaskała go po szorstkim policzku.

- Uwielbiam cię, wiesz o tym? - Zaplotła palce na jego karku i nakłoniła go do opuszczenia głowy. - Jesteś też bardzo przystojny. Ale ty pewnie słyszysz to ciągle od tych ptaszynek, które wianuszkami cię otaczają w Ameryce.

- Żadne ptaszynki mi nie towarzyszą - odparł i pocałował ją gorąco. Opuścił ręce na jej biodra, ale zaraz zabrał je z westchnieniem. - Kusicielka z ciebie. Z radością zerwałbym z ciebie tę sukienkę.

Przeciagnął kciukiem po jej ustach.

- Jak do tego doszło? Dlaczego stałaś na skwerze w Ashton Down akurat tego dnia, w tej samej chwili, kiedy ja tam przyjechałem?

- Mogłabym cię zapytać o to samo.

- Ja będę sobie zadawał to pytanie do końca życia. - Westchnął. - Głowa do góry,

Prudence. Uśmiechaj się do nich tak samo, jak uśmiechasz się do mnie, a zanim nadejdzie północ, wszystkich ich oczarujesz.

Wzięła go za rękę.

- Muszę powiedzieć, że znacznie bardziej podobało mi się nasze obozowisko nad strumieniem ze starą szkapą za towarzystwo.

Roan roześmiał się.

- Niech nikt nie śmie powiedzieć, że Roan Matheson nie umie zrobić wrażenia na kobiecie.

Chociaż dopiero co minęło wpół do siódmej i było zdecydowanie za wcześnie na kolację, w salonie znajdowało się już ponad dwudziestu gości.

Penfors powitał ich w drzwiach i nalegał na to, żeby ich osobiście wszystkim przedstawić. Zebrani poznali ich jako gości Stanhope'a, a on wcale nie starał się tego sprostować, jedynie rzucał jej porozumiewawcze spojrzenia, jakby byli tajnymi współnikami.

Prudence udawała, że niczego nie widzi. Ciarki chodziły jej ze strachu po plecach.

W międzyczasie Roan rozglądał się wśród zebranych w poszukiwaniu siostry. Lordowi Vanderbeckowi, szczupłemu mężczyźnie o niezbyt wyrazistej linii szczęki, bardzo się spodobało, że Matheson przyjechał aż z Nowego Jorku. Roan odpowiadał uprzejmie na wszystkie jego pytania; sprawiał całkiem swobodne wrażenie.

Vanderbeck okazał się nieciekawym rozmówcą i Prudence zaczęła się rozglądać za kobietą, która przypominałaby Roana. Poszukiwania te zaprzętnęły ją tak bardzo, że wystraszyła się porządnie, kiedy pojawiła się przy niej nagle lady Penfors.

- Nie ma po co słuchać tego nudziarza - powiedziała gospodyni całkiem głośno. Najwyraźniej nie przejmowała się, czy Vanderbeck ją usłyszy. - Chodź, musisz poznać mnóstwo ludzi.

Prudence została przedstawiona młodemu, rudowłosemu panu Fitzhugh, który otwarcie zachwycił się jej dekoltem. Z kolei państwo Gastineau ledwie zaszczycili ją spojrzeniem. Pan Redmayne i jego kompan, pan True, przywitali się grzecznie, a pan True wskazał swoją siostrę, wdowę Barton. Prudence rozpoznała w niej rubinową amazonkę, która tak widowiskowo zsiadła z wierzchowca, żeby przywitać się ze Stanhope'em.

Nagle stanął przed nią sam lord Stanhope i wpatrywał się w nią uparcie. Wszystko wskazywało na to, że znowu skupi na niej całą swoją uwagę. Już miał się do niej z czymś zwrócić, kiedy lady Penfors zasłoniła ją własnym ciałem.

- Stanhope! Ciekawe, dlaczego nie przedstawiłeś pani Barton swojej przyjaciółce.

Prudence uniknęła wzroku Stanhope'a.

- Miło mi panią poznać - przywitała się z panią Barton.

Kobieta miała żywe, brązowe oczy i urocze dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechała.

- Ależ z ciebie piękność, proszę, proszę - bez żadnych ogródek oceniła pani Barton, lustrując Prudence od wstążki we włosach po satynowe pantofle.

- Poznaj panią Matheson - zawołała pełnym głosem lady Penfors.

- Ach... - Prudence poczuła, że się rumieni. Szukała sposobu, żeby delikatnie poprawić gospodynię, ale weszła jej w słowo pani Barton.

- To olśniewająca kreacja - zauważyła z dużą aprobatą. - Przypomina robotę pani Dracott.

Pani Dracott była najbardziej wziętą projektantką w Londynie. Prudence nawet się nie śniło, że ktokolwiek to zauważy. Prudence osłupiała. Wyznanie prawdy byłoby równoznaczne z przyznaniem się, że nie jest tą, za którą się podaje.

Pani Barton jednak roześmiała się życzliwie, widząc jej zmieszanie.

- Wybacz, zachowałam się nieuprzejmie. Zapomniałam, że dzieła pani Dracott nie są dla wszystkich dostępne. Chyba po prostu chciałam się pochwalić, że los był w tym względzie dla mnie życzliwy. - Zrobiła pełen obrót, zwracając uwagę na swoją bladoróżową suknię.

- Jest przepiękna - przyznała Prudence, gdyż inaczej popełniłaby wielki nietakt.

- Dziękuję - powiedziała pani Barton i puściła do niej oczko. - Chciałabym odmalować twoją kreację.

Prudence nie była pewna, czy chodziło o malowanie jej na płótnie, czy ozdobienie samej sukni.

- Kto jest jej twórcą? - zainteresowała się wdowa.

- Kto? - powtórzyła Prudence, żeby zyskać na czasie. Odchrząknęła i wypaliła: - Moja matka.

Stanhope zakrztusił się, zwracając na siebie uwagę.

- Ty głupolu! - skarciła go pani Barton i wymierzyła mu łokciem kuksańca. - Myślisz, że tylko słynna krawcowa umie nawlec nitkę? To chyba jasne, że suknię uszyła jej matka!

- Skoro tak twierdzisz... - Stanhope uśmiechnął się do Prudence.

Prudence już całkiem straciła nadzieję. Odniosła wrażenie, że Stanhope zrobił aluzję do tego, że jej matka nie była już w stanie niczego uszyć - a co dopiero coś tak wykwintnego.

- Już sobie wyobrażam, jak ten śliczny tren powiewa za tobą w tańcu! - Pani Barton zakryła usta dłonią. - Ależ tak! Musimy urządzić tańce! Lady Penfors!

Wdowa wołała, wymachując wachlarzem tuż przed Prudence, która musiała robić przed nim uniki.

- Cóż za wspaniały pomysł! - odkrzyknęła lady Penfors. - Tak, urządzimy tańce zaraz po kolacji! Cyrylu? Gdzie ty się znowu podziewasz, Cyrylu? Natychmiast poślij do wsi po muzykantów.

- Czy naprawdę warto zaprzętać sobie głowę muzyką? - zaprotestowała nieśmiało Prudence, szukając poparcia.

- Nic z tego. Już postanowione - bezlitośnie rozwiała jej nadzieje pani Barton. Tymczasem kamerdyner posłusznie zjawił się u boku swojej chlebobawczyni i nastąpiła żywa wymiana zdań. Po chwili drobiazgowo poinstruowany Cyryl ruszył wypełnić misję, a pani Penfors zaklaskała w dłonie, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę niesfornych dzieci.

- *Attention! Attention!* Proszę wszystkich o uwagę. Kolację podano. Proszę wrócić do swoich partnerów i przejść w parach do sali jadalnej.

Po chwili Roan znalazł się u boku Prudence.

- Obiecuj mi, że kiedy zaczniesz się do mnie zbliżać Vanderbeck, przyjdiesz mi na odsiecz - mruknął ponuro. - Jeśli będzie trzeba, strzelaj.

- Znalazłeś ją? - szepnęła.

Roan pokręcił głową.

- Nie widziałem jej tutaj. Staralem się zasięgnąć języka, czy wszyscy goście schodzą dziś na kolację, ale to była tylko woda na młyn niepowstrzymanego gadulstwa Vanderbecka.

Nie mieli czasu nic więcej do siebie powiedzieć. Pan Fitzhugh przystanął obok Prudence i wyraził przypuszczenie, że zbyt długo już nie padał deszcz. Chciał wiedzieć, czy również w jej mniemaniu trawa zaczęła już z lekka brązowieć.

W jadalni Prudence z wielką ulgą przyjęła, że posadzono ją naprzeciwko Roana przy jednym końcu stołu, a Stanhope'a przy drugim. Nawet to nie ostudziło jego zainteresowania jej osobą. Prudence czuła na sobie jego badawcze spojrzenie, aż włosy na karku zaczęły jej stawać dęba.

Po prawej stronie miała panią Gastineau, a po lewej starszego jegomościa o nazwisku Mount. Lord Mount był naprawdę bardzo stary i przygłuchy, co Prudence złożyła częściowo na karb gęstych włosów, które zarastały mu uszy.

Nikt w jej najbliższym otoczeniu nie był zainteresowany okolicznościami, w jakich się tu znalazła. Nikt nawet nie spojrzał z ukosa na nią i Roana, jakby podejrzewał podstęp. Prudence zaczynała się przekonywać, że Roan miał rację. Wystarczyło pozwolić sprawom toczyć się własnym rytmem, by wkrótce cała afera dobiegła szczęśliwego końca. Powoli wracał jej spokój.

Zaczęła z zainteresowaniem rozglądać się po współbiesiadnikach. Otaczała ją barwna zbieranina i jeśli pominąć Stanhope'a, nikogo tu nie знаła. Howston Hall był na tyle odosobniony, że Prudence znowu zgodziła się z Roanem. Szanse ponownego spotkania kogokolwiek z zebranych tego wieczoru istotnie były niezwykle małe.

Kolacja przebiegła w miłej atmosferze. Podano zupę i pieczonego bażanta, a przy winie omawiano planowane na jutro polowanie. Jednak dopiero gdy uprzątnięto naczyń, Roan znalazł okazję, by zapytać Penforsa o wizytę siostry w Howston Hall.

- Powinna się była tu zjawić w ciągu ostatnich dwóch tygodni - wyjaśnił.

- Panna Matheson! - zawołała głośno lady Penfors, odrywając kilka osób od rozmowy i strasząc Prudence, która rozejrzała się i odkryła, że nie uszło to uwadze Stanhope'a. Szybko odwróciła głowę.

- Aurora Matheson - wyjaśnił Roan. - W ostatnim liście napisała, że gości u przyjaciela, który planuje u was odwiedziny, milordzie.

- U mnie? - zdziwił się Penfors.

Roan się zaniepokoił.

- Jest bardzo młoda - dodał. - Ma kasztanowe włosy i brązowe oczy.

- A, tak, Amerykanka! - przypomniał sobie nagle Penfors. - Była fantastyczna. Taka bystra i świetnie się sprawiła na polowaniu.

- Na polowaniu? - Roan nabrał wątpliwości, że mówią o dwóch różnych Aurorach.

- Ależ tak! - otrząsnął się nagle Penfors i wzniosł palec w górę. - Teraz rozumiem, skąd ta mowa. Podejrzewałem Eton, ale nie, proszę pana! Pan mówi w ten sposób, bo jest Jankesem!

Roan zerknął na Prudence.

- Tak - odparł po prostu.

- Jankes? - wtrącił się pan Gastineau. - Mój dziadek tam był, w koloniach, w siedemdziesiątym siódmym. Ostra zima. Stracił dwa palce.

- Zimy bywają wściekle surowe - przyznał Roan i zwrócił się ponownie do Penforsa. - Wybacz pan, milordzie, ale czy to znaczy, że Aurora wyjechała już z Howston Hall?

- A tak, wyjechała. Kiedy to było? - zawołał do żony przez cały stół, bijąc w blat dla zwrócenia uwagi.

- Co tam się dzieje? - Lady Penfors była poirytowana. - Po co walisz w stół, ty staruchu?

- Kiedy była u nas ta Amerykanka?

- Amerykanka, pamiętam. Prawdziwa ślicznotka. - Lady Penfors uśmiechnęła się życzliwie. - I doskonale sobie radziła na polowaniu!

Roan popatrzył na Prudence niepewnie.

- Tak, tak, ale kiedy tutaj była? - powtórzył pytanie Penfors, znowu waląc w stół.

- Tutaj?

- Tak, tutaj! - zawołał głośniej.

- Po co tak ryczysz? Wszyscy cię świetnie słyszymy - odparła cierpko lady Penfors. - Nie przypominam sobie tak dokładnie. W tym samym czasie, co Villeroyowie. Wróciła z nimi do Londynu. Pamiętasz państwa Villeroy? Cyrylu, kiedy tu byli Villeroyowie?

- Opuścili nas przed dwoma tygodniami - odpowiedział kamerdyner.

- Przed dwoma tygodniami! - wrzasnęła lady Penfors przez cały stół, jakby tylko ona dosłyszała słowa kamerdynera.

- Pojechała do Londynu? - powtórzył Roan, chmurząc czoło.

- Spodobał jej się Albert, pamiętasz to, Penfors? - Lady Penfors zachichotała jak podfruwajka i wydeła znacząco usta.

- Jaki znowu Albert? - zapytał Roan.

- Al-ber. Al-ber! - poprawił go Penfors. - Prawie przyprawiła biedaka o palpacje serca, nazywając go uparcie Albertem.

- Moja siostra? - znowu zdziwił się Roan.

- *Lady Penfors!* - wykrzyknął jego lordowska mość, lekko zniecierpliwiony tym, że Roan za nim nie nadąża.

- Co? - zawołała lady Penfors.

- Niczym się nie przejmuj i jedz swój pudding. Wszystko już nam wiadomo. Amerykance spodobał się młody Villeroy, więc wróciła z całą rodziną do Londynu. Mam rację?

- Tak - potwierdziła lady Penfors. - Albert!

- Al-ber - poprawił lord Penfors.

- A co ja powiedziałam?

- Dobry Boże! - mruknął Roan pod nosem i osunął się na krzesło.

- Nie ma powodu do obaw, *sir* - zauważył Penfors. - Francuzi nie garną się już do amatorów jak kiedyś. Prawie dają się znieść. A chłopak nie jest dla pana siostry żadnym zagrożeniem. Nawet ścieląc łóżko, cały by się spocił.

Pani Gastineau się roześmiała.



- Albert Villeroy to takie chucherko: ma wystające kości i smukłe dłonie...

- A niechby nawet miał dłonie jak szynki wieprzowe! - odparł Roan.

Penfors wybuchnął śmiechem i pokazał go palcem.

- Patrzcie, jaki to kawalarz! Nasza Amerykanka odjechała z młodym Villeroyem.

Śliczna dziewczyna z tej pana siostry, Matheson. Doskonale gra w wista.

Roan wyglądał, jakby zaraz miał dostać apopleksji.

- Pardon, milordzie - odezwała się cicho Prudence - ale czy przypadkiem wasza miłość nie zna adresu Villeroyów w Londynie?

- Oczywiście, że znam - obruszył się Penfors. - Dostatecznie często z nimi jadalem. A to nie jest w najmodniejszej części Mayfair, lecz na Upper George Street. Zna pani to miejsce?

- Tak - odparła Prudence zamyślona.

- No i proszę. - Stanhope popatrzył na Roana. - Pana kuzynka wie doskonale, gdzie można znaleźć Villeroyów. Może ją pan tam posłać z mieczem i tarczą.

- Kuzynka! - zdumiała się lady Penfors.

Przy stole zapadła cisza. Prudence poczuła, że się czerwieni, serce jej trzepotało. Była pewna, że nadszedł moment publicznego upokorzenia.

W tym momencie podniósł głos lord Penfors.

- Stanhope, ty łotrze! Ona jest zdecydowanie za młoda dla Mathesona, możesz być tego pewien - zawołał i skinął głową w stronę Prudence. - Nie żartuj sobie z mojej dobrej pani Matheson.

Stanhope z wdziękiem się uklonił.

- Prędzej bym sobie wyciął język, niż żartował z tu obecnej pani Matheson - odparł. - Proszę o wybaczenie, *madame*, byłem przekonany, że poza wszystkim innym jesteście kuzynami.

- Na litość boską, milordzie, przecież to pan powinien wiedzieć najlepiej. Przecież to są pańscy przyjaciele! - oburzyła się lady Penfors.

- To prawda, *milady* - przyznał.

Prudence milczała. Patrzyła tylko uparcie na Roana, który najwyraźniej dostał szczękoscisku.

- Ojej! Zobacz, która godzina! - ocknęła się lady Penfors. - Czas podać portwajn!

Na szczęście dla Prudence i Roana na tym skończyła się kolacja. Damy zostały poinstruowane, aby udały się do salonu w celu rozpoczęcia przygotowań do tańców. Panowie mieli w tym czasie popijać porto.

Pomimo późnej pory muzykanci zjawili się jeszcze w trakcie posiłku i zajmowali się strojeniem instrumentów. Kiedy do dżentelmenów dołączyły panie, lady Penfors nie mogła już się doczekać rozpoczęcia zabawy i błyskawicznie zarządziła pierwsze utwory.

Roan od samego progu szukał Prudence wzrokiem. Już niemal się do niej przebił przez ciżbę, kiedy przechwyciła go pani Barton i wzięła za łokieć z uwodzicielskim uśmiechem.

- Proszę mi pozwolić nauczyć pana figur tego wiejskiego tańca.

- Myślę... - zająknął się Roan, ale nie dostał prawa głosu.

- Pan po prostu musi mi pozwolić na ten kaprys. Mam wielką chętkę zatańczyć

z wysokim Amerykaninem. – Wsunęła dłoń pod jego łokieć i jak kotka otarła się o jego bok. – Czy Amerykanie w ogóle tańczą, panie Matheson? Z całą pewnością inaczej niż my. Na pewno wycinacie nie lada hołubce!

Roan zdołał tylko rzucić Prudence spojrzenie pełne frustracji.

– Pani Matheson?

Prudence odwróciła się przerażona, słysząc znajomy głos. Stanhope uśmiechnął się do niej czarująco, spoglądając błyszczącymi niebieskimi oczami.

– Czy poprawnie się do pani zwracam?

Prudence opuściła na moment wzrok, żeby wziąć się w garść, po czym uniosła stanowczo głowę.

– Czego pan sobie życzy, milordzie?

Roześmiał się zachwycony, a jego twarz stała się całkiem łagodna. Był przystojny w chłopięcy sposób.

– Zatańczyć, oczywiście! Przyznaję, że wciągnęła mnie intryga, którą na oczekaniu sfastrygowała pani Barton. Prawie z końskiego grzbietu wypytała mnie o wszystko, co tyczy się pani amerykańskiego przyjaciela i muszę panią ostrzec, że może go już pani nie odzyskać. Potrafi być w tych sprawach niezwykle zdeterminowana. Ja tymczasem mam zadanie dotrzymać pani towarzystwa i zabawiać.

– Doprawdy, tylko taki jest pana cel? – zapytała sceptycznie.

– Oczywiście – odparł radośnie. – Wszyscy zaczęliby panią wytykać palcami, gdyby tylko podpierała pani ponuro ścianę, jak przed chwilą. A przecież nie chce pani zwracać na siebie zbędnej uwagi.

Prudence doskonale go zrozumiała.

– Ustawić się! – zawołała lady Penfors, jakby dowodziła formacją wojskową. – Za chwilę rozpoczniemy tańce.

– Chodź, kuzynko. Już tego nie unikniesz. – Stanhope zniżył głos, uśmiechnął się i zaoferował Prudence ramię.

Ze zrezygnowanym westchnieniem Prudence pozwoliła się zaprowadzić na parkiet. Kiedy tylko dobieły się pierwsze nuty, poszukała wzrokiem Roana i ukloniła się, nie zwracając uwagi na swojego partnera. Roan bez trudu opanował pierwsze kroki. Zachowywał się całkiem swobodnie, tymczasem ona wzdrygnęła się zaskoczona, kiedy Stanhope wziął ją za rękę.

– Obawiam się, że będzie pani musiała na mnie patrzeć.

Prudence spojrzała.

– Nie otrzymam nawet cienia uśmiechu? – zapytał przekornie. – Być może jest pani na mnie ciągle obrażona o moją niefortunną uwagę przy kolacji?

Zrobił obrót i puścił jej rękę.

– Na pewno rozumie pani moje zmieszanie. Z początku była pani jedynie jego kuzynką w drodze do chorego ojca, a potem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zostaliście małżeństwem. To bardzo interesujące...

Prudence zauważyła, że Stanhope ma jasnoniebieskie oczy i zdecydowaną linię szczęki. Był niewątpliwie atrakcyjny i w innych okolicznościach nie miałaby nic przeciwko jego towarzystwu. Dzisiaj jednak okazał się dla niej zbyt nachalny.

Stanhope uniósł brew w oczekiwaniu na odpowiedź. Oboje zrobili krok wstecz, przepuszczając środkiem pierwszą parę.

- Wydaje się pani zbита z tropu - dodał, nie przestając się uśmiechać.

Prudence nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jak dotąd kierowała się w życiu szczerością i otwartością. Oszustwo było dla niej wyczerpujące. Miała jednak w zanadrzu jeszcze jedno kłamstwo, które mogło ocalić jej reputację.

- Przecież pan zna prawdę, milordzie - odparła beznamiętnie.

Uniósł kpiarsko brew.

- Prawdę?

- Proszę nie udawać. Prawda jest taka, że uciekliśmy razem - oznajmiła. - Tak pan przecież przypuszczał.

Uśmiechnęła się, bo miała pewność, że przynajmniej tym razem nie zdoła w żaden sposób podważyć jej zeznania.

- Doprawdy? - zapytał, biorąc znowu jej rękę i obracając ją. - Jakże to śmiałe! Na pewno mieliście dobry powód.

Prudence zarumieniła się.

- Oczywiście - odparła.

- Czy nosisz pod sercem dziecko? - zapytał niezobowiązującym tonem.

Pytanie było tak niespodziane, że Prudence stłumiła okrzyk oburzenia.

- Nie - odparła rozeźlona i wzniosła zarazem modły do nieba, żeby tak w istocie nie było.

Stanhope wzruszył tylko ramionami.

- Czy to nie jest najczęstsza przyczyna ucieczki kochanków? Choć może się myłę. Zazwyczaj nie słyszy się o tym od samych uciekinierów. Dochodzą do nas tylko niejasne pogłoski, że taki a taki chłopak uciekł z taką to a taką dziewczyną. - Zadumał się. - Osobiście nie spotkałem jeszcze debiutantki, która by zrobiła coś szczególnie niestosownego. Z wyjątkiem sióstr Cabot, oczywiście.

Serce zamarło Prudence w piersi. Pomyliła kroki i zaplątała się w sukienkę. Stanhope jednak złapał ją miękko i pomógł odzyskać równowagę, jakby spodziewał się tego potknięcia. Zrobili razem krok w prawo. Prudence patrzyła na niego jak oniemiała i zastanawiała się, jakim cudem odkrył prawdę. Rozejrzała się, szukając ratunku, ale Roan był zajęty wirującą przed nim, roześmianą panią Barton.

- Nie obawiaj się - dodał Stanhope uspokajająco.

Jak w tej sytuacji miała się jednak zdobyć na spokój? Wpadła w panikę. Zaczerwieniła się po cebulki włosów, a strużka potu spłynęła jej po szyi.

Tylko nie zemdlej! - pomyślała ostrzegawczo. - Czego mógł ode mnie chcieć? Może chodziło mu o pieniądze za milczenie?

Stanhope mlasnął językiem.

- Z twojej reakcji wnoszę, że jesteś zaskoczona, że udało mi się przejrzeć waszą grę.

- Mylisz się, milordzie...

- Panno Cabot, możemy sobie darować dalsze podchody. Czy naprawdę nikt pani nigdy nie powiedział, jak bardzo jest podobna do swojej siostry Grace? Słyszałem, że młodsze siostry Cabot są prawdziwymi pięknosciami, a teraz na własne oczy widzę, że to prawda.

Prudence z trudem zwalczyła mdłości z nerwów.

- Milord zna Grace?

- Ależ, oczywiście. Miałem też przyjemność poznać panią Easton - dodał, mając na myśli Honor.

Nie było już sensu zaprzeczać. Tymczasem Stanhope wziął ją za rękę, obrócił ją i puścił. Wykonali kolejny krok w stronę pierwszej z par. Prudence próbowała uspokoić napięte nerwy. Narastała w niej złość na Stanhope'a i na cały świat.

- Tylko nie zemdlej, moja droga. To by jedynie pogorszyło sytuację, prawda? Nie poddawaj się. Udało wam się wszystkim przekonać, a ja wcale nie zamierzam was wydawać.

Prudence nie brała jego zapewnień za dobrą monetę. Wychowała się w najwyższych kręgach londyńskiej arystokracji, więc doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo podstępny jest to świat.

- A ja wcale nie zamierzam zemdleć, milordzie - odparła chłodno. - Czego sobie milord życzy? Pieniędzy? Nie dysponuję nimi.

- To bolesne oskarżenie. - Puścił do niej oczko, kiedy zajęli miejsce pierwszej pary. Wyciągnął do niej rękę, a potem objął ją w pasie i poprowadził przed resztą par. - Nie chcę od pani absolutnie niczego, panno Cabot. Nigdy bym nie wykorzystał kobiety w tak okrutny sposób.

Prudence nie uwierzyła mu.

Serce biło jej jak młot, oblewał ją zimny pot. Każdy krok znała na pamięć, nie zwracała wcale uwagi na to, że tańczy. Pochylała się i unosiła w doskonałej harmonii, uśmiechała się we właściwych momentach i w niczym nie dała po sobie poznać bólu, który niemal rozrywał ją na kawałki. Poruszała się lekko i beztrudnie, ale kiedy wrócili na koniec szeregu, wyrwała mu rękę.

- Dziękuję za taniec. Na więcej nie mam ochoty - powiedziała bez emocji.

Stanhope wzruszył ramionami.

- Przyjemnego wieczoru, pani Matheson - odparł spokojnie. Założył ręce za plecy i odszedł tak, jakby przechadzał się ogrodem i wąchał róże.

Prudence rozejrzała się, szukając schronienia. Gdziekolwiek się zwróciła, napotykała podstępne spojrzenia i porozumiewawcze uśmiechy. Czowała się tak, jakby wszyscy wokół wiedzieli, co robiła.

Kiedy poczuła na ramieniu dotyk dłoni, odskoczyła, pewna, że znowu nachodzi ją Stanhope.

- Pru! - usłyszała.

Odwróciła się do Roana, który spoglądał na nią z wyrazem troski.

- Co się stało? - zapytał.

Uspokój się. Prudence wiedziała dobrze, jak ważne są pozory.

- Nic mi nie jest. - Posłała mu wymuszony uśmiech. - Po prostu jestem zmęczona. Chciałabym się położyć.

- Czy Penfors...

- Przekaż mu wyrazy ubolewania. - Zanim Roan zdążył zaprotestować, zostawiła go samego i dziarsko odmaszerowała do drzwi. Nie zatrzymywała się ani nie oglądała za siebie. Uśmiechnęła się do lokaja, który otworzył przed nią drzwi, ale kiedy tylko znalazła się za nimi, zerwała się do biegu. Dotarła do swojego pokoju, zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz. Po chwili zmieniła zdanie i przekręciła go z powrotem. Nie chciała, żeby Roan pomyślał, że zamknęła się tu przed nim. Cofnę-

ła się na parę kroków i przystanąła z falującą piersią, wpatrując się w drzwi. Niemal oczekiwała, że lada chwila wpadnie do środka Stanhope.

Nikt jednak nie przyszedł.

Prudence widziała swoją przyszłość jak na dłoni. Nie знаła tylko dnia ani godziny, w której cały Londyn pozna jej tajemnicę. Słyszała śmiechy i widziała przerażenie Merrytona i gniew Eastona.

- Sama jesteś sobie winna - szepnęła. Długo gardziła Honor i Grace za to, co zrobiły. Teraz zaczynała myśleć, że to przez nie wpakowała się w całą tę kabałę. Gdyby nie to, nie miałyby żadnych inklinacji, żeby szukać w Ashton Down przygód.

Wiedziała jednak, że nie była to prawda. To ona sama dokonywała wyboru, oszukiwała, odrzucała wymogi przyzwoitości, karmiła swoje pragnienia. Jej siostry nie przyłożyły do tego ręki, Prudence dokonała wszystkiego sama. Kiedy zmusiła chłopaka, żeby zawrócił powóz, doskonale zdawała sobie sprawę z konsekwencji. Nie do pomyślenia było, żeby kobieta podróżowała z obcym mężczyzną, udawała jego żonę w rezydencji hrabiego i dzieliła z nim pokój.

Prudence miała się za lepszą od sióstr, a okazała się dokładnie taka sama i równie jak one powodowana pożądaniem.

Padła na kolana i skuliła się na dywanie. Zaczerpnęła powietrza, ale nie czuła, żeby wypełniło jej płuca. Z bolesnym jękiem przebiegła wzrokiem sztukaterie na suficie, gipsowe owoce i sznury. Była z wszystkich najgorsza.

Wyciągnęła rękę na dywanie i zamknęła oczy. Wspominała swoje życie: idyllę w Longmeadow i lata spędzone w Londynie na wieczorkach, kolacjach i balach. Pamiętała Blackwood Hall, przemierzanie godzinami korytarzy w poszukiwaniu czegośkolwiek, czym mogłaby zająć myśli, poczucie wewnętrznej pustki i przerażające wrażenie, że nic się nie zmienia.

Ostatnie dni z Roanem okazały się najbardziej upojne w całym jej dotychczasowym życiu. Zwiody ją nadzieje i obietnice. Była podniecona, zaangażowana, roześmiana, odurzona powietrzem i przestrzenią...

Drzwi otworzyły się nagle i Prudence poczuła powiew na twarzy.

- Dobry Boże! - Roan był już przy niej i pomagał jej się podnieść. Dotykał z troską jej twarzy i głowy, jakby szukał ran. - Powiedz, to Stanhope, prawda?

Jego twarz wykrzywiła furia.

- Czy on cię skrzywdził? Dotykał cię?

- Nie, nie - zaprotestowała słabo. - Nie dotykał mnie. Jest dżentelmenem. Ale wie, kim jestem. Rozpoznał mnie!

Roan zbladł jak płótno. Kręcił głową i nie mógł w to uwierzyć.

- Wie, że jestem Prudence Cabot.

- Co powiedział? Czego chce?

Roześmiała się gorzko.

- Niczego - odparła ze wzruszeniem ramion. - Tak właśnie powiedział. Nie chce niczego i nie zdradzi mojej tajemnicy. Może i jestem głupia, ale nie jestem aż taka naiwna...

- A niech go piekło pochłonie! - zaklął Roan. - Niech go jasny szlag trafi!

- Muszę wracać do domu - oznajmiła ze smutkiem Prudence. - Muszę tam być, kiedy dowie się o mnie cały Londyn.

Roan wyglądał na zmartwionego. Wziął jej rękę, pomógł wstać i położył dłoń na jej szyi. Przyglądał się badawczo jej twarzy.

- Chcesz jechać do Blackwood Hall? Zabiorę cię tam, jeśli tylko chcesz. I wszystko wyjaśnię.

Prudence pokręciła głową.

- Muszę udać się do Londynu do mojej siostry Honor. Ona będzie wiedziała, co robić. - Zamilkła, żeby przyzwyczaic się do myśli o tym, co nastąpi później. - Ona i Augustine muszą usłyszeć o wszystkim ode mnie.

Roan wpatrywał się w nią z uwagą. Prudence wyczuwała jego wewnętrzną walkę. Pragnął wszystko naprawić, ale nie mógł tego zrobić. Co jej pozostawało? Miałyby wszystko rzucić i jechać za nim do Ameryki? Wziąć z nim ślub?

- Oczywiście - odezwał się Roan głosem pełnym napięcia. - Wynajmę nam powóz z samego rana.

- Nie - zaprotestowała Prudence i ścisnęła go za rękę. - Nie idź jeszcze...

- Tylko po powóz. - Wziął jej twarz w dłonie. - To nie potrwa długo.

- Jeszcze nie, Roanie, proszę! Kiedy wyjdiesz, choćby na moment, to będzie początek naszego końca. A ja nie chcę, żeby to się już kończyło!

- Och, kochana - objął ją mocno i kołysał ją w ramionach, z ustami w jej włosach.

- Wyjdź za mnie, Pru. Pojedź ze mną do Ameryki.

Położyła dłoń na jego piersi, podniosła głowę i spojrzała na niego. Patrzył szczerze.

- Przecież obiecałeś...

- Tak - odparł. - Ale nie jej. Prawie jej nie znam. To mojego ojca będę musiał przekonać.

- Nie możesz, Roanie!

- Mogę - rzekł stanowczo. - I tak zrobię.

Odgarnął włosy z jej twarzy.

- Prudence, kocham cię - wyznał. - Próbowałem się przekonywać, że to niemożliwe, nie tak szybko, nie w taki sposób. Ale nie mogę z tym dłużej walczyć. Czuję to.

Położył pięść na piersi.

- Czuję w każdej chwili, z każdym oddechem, kiedy jestem przy tobie. Napotykaemy pewne przeszkody, to prawda, ale zobacz, co udało nam się przewyciężyć przez kilka ostatnich dni. Wyjdź za mnie i wyjedź ze mną do Ameryki. Mówiłaś, że nic tu cię dobrego nie spotka, tylko życie w zamknięciu. Tam będziesz miała wszystko.

- Tutaj mam rodzinę - protestowała. - Siostry, siostrzeńców, matkę... Jak mogłabym ich zostawić? Skąd możemy wiedzieć, że nie staniemy się innymi ludźmi?

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał zdezorientowany.

- To, że tutaj spędziliśmy ze sobą magiczny czas. - Położyła mu rękę na sercu. - Zupełnie, jakbyś pojawił się tylko po to, żeby spełnić moje życzenia. Przeżyłam z tobą przygody, o jakich mi się nawet nie śniło. Ale małżeństwo? W obcym kraju, gdzie panują inne obyczaje, stać się częścią nieznannej rodziny? Przecież nawet sami nie wiemy, czego byśmy od siebie oczekiwali.

Roan wydawał się wstrząśnięty. Prudence odczuwała to boleśnie, ale w całym swoim zapatrzeniu w Roana nie mogła sobie pozwolić na tak szaleńczy wybryk. Co

by jej pozostało, gdyby dowiedziała się o nim czegoś, czego nie mogłaby zaakceptować? A gdyby z drugiej strony jego rodzina nie zaakceptowała jej? Jak by sobie poradziła całkiem sama, z własną rodziną na drugim końcu świata?

Roan spochmurniał. Najwyraźniej szukał właściwej odpowiedzi.

- Zostań w Anglii! - powiedziała nagle i wzięła jego twarz w dłonie. - Zostań tutaj razem ze mną!

- Nie, Pru. Nie mogę - odparł ze smutkiem. - Jak mógłbym zapewnić ci utrzymanie? Jestem szefem rodzinnego interesu. Wszyscy liczą, że zapewnię im godny byt. Nie chodzi tu o mnie, ale o dobro całej mojej rodziny. Jest jeszcze Aurora... Obiecałem matce, że przywiozę ją do domu.

- Moja rodzina też na mnie polega - odrzekła Prudence łagodnie. Do oczu napłynęły jej łzy. Patrzyli na siebie nagle z dwóch jakże różnych światów.

Roan pogłaskał ją po głowie.

- Zastanów się nad tym - poprosił. - Przynajmniej tyle mi obiecuj.

- Roanie...

- Cicho... - Położył jej palce na ustach. - Nie dawaj mi odpowiedzi, dopóki nie będziemy w Londynie. Pomyśl o tym, co powiedziałem. Dam ci wszystko, czego zapragniesz. Przysięgam, że pozostaniemy sobą, takimi, jakich nas teraz widzisz.

- Roanie...

- Wierzę w to, co mówię - dodał, przyglądając się jej uważnie. - Zastanów się, proszę.

Wyglądał, jakby odmowa miała go zdruzgotać.

Ale Prudence nie mogła się zgodzić.

Miotaly nią sprzeczne emocje. Traciła panowanie przy tym mężczyźnie, który stał się tak bliski jej sercu. Teraz oddalał się od niej, wracał do Ameryki i chociaż był tuż przy niej, ogarnęła ją nieukojoną tęsknota.

Czy powinna z nim jechać? Czy mogła zostawić wszystko i wyruszyć na ślepo w nieznaną? Jej praktyczny zmysł, który rządził rozsądkiem, odpowiadał przecząco. Nakazywał jej powrót do roli przykładnej córki i siostry i przestrzegał przed małżeństwem powodowanym uczuciem. Uczucia bledną, a brutalna rzeczywistość wkrótce przyćmiłaby magię jednego wspólnego tygodnia.

Takie były racje praktycznej Prudence. Co jednak miała począć z tym, że serce szeptało „tak”?

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Za każdym razem, kiedy Roan próbował zasnąć, zaraz otwierał oczy, żeby się upewnić, czy Prudence nadal leży przy nim. Przypomniawszy sobie dzień, w którym zobaczył ją pierwszy raz w Ashton Down. Nie doceniał jej urody, kształtów, rysów twarzy, oczu. Kiedy zrozumiał, że wsiadła do dyliżansu wyłącznie z jego powodu, uznał, że jest w zabawny sposób pozbawiona zahamowań. Przypominała mu Aurorę, miał ją za uroczą i głupiutką. Spełniał jej kaprysy i traktował niczym młodszą siostrę.

Teraz nic już nie było dla niego oczywiste i jednoznaczne. Wiedział tylko tyle, że przygoda Prudence stała się jego przygodą. I to jedną z największych i najbardziej niezwykłych przygód w jego życiu.

Był gotów zaryzykować niezadowolenie Susanny Pratt oraz gniew swojego ojca. Był gotów poświęcić wszystko dla kobiety, którą poznał zaledwie kilka dni temu. Cały jego świat stanął przez Prudence na głowie.

Mimo wszystko nie zapomniał o Aurorze. Spodziewał się ją tu zastać, a usłyszał, że wyjechała przed dwoma tygodniami. Nie wiedział, czy nie zrobiła nic równie lekkomyślnego, jak Prudence.

O świcie ubrał się, zamknął kufer i obudził ukochaną pocałunkiem. Poszedł na dół i posłał do pokoju służącą, żeby pomogła jej się ubrać. Następnie poprosił o przygotowanie powozu do wsi.

- O której godzinie odjeżdża dyliżans do Londynu? - zapytał kamerdynera. Cyryl miał tego ranka trochę nieprzytomny wyraz twarzy, ale odpowiedział bez zajknięcia.

- O dziesiątej, *sir*. Dojedzie pan nim do Manchesteru. Do samego Londynu jest całe dwa dni drogi.

Roan zobaczył przed sobą perspektywę dwóch dni, spędzonych w zatłoczonym powozie, dwóch dni dręczącej niepewności, czy w końcu Pru zgodzi się za niego wyjść. Westchnął i odsunął od siebie te myśli. Nie chciał sobie teraz zaprzętać tym głowy.

Sprowadzono powóz i zapakowano ich bagaże. Nikt nie wyszedł im na pożegnanie. Na pytanie Roana Cyryl odpowiedział:

- Jego lordowska mość wraz z gośćmi położyli się tuż przed świtem. Nikt jeszcze nie wstał.

Roan czuł się w Howston Hall jak w groteskowym śnie. Nie rozumiał, jak można żyć bez celu i zajęcia.

Wkrótce pojawiła się Prudence. Była nieco blada. Miała na sobie śliczną żółtą suknię podróżną. Pomagając jej wsiąść do powozu, Roan zauważył Stanhope'a, który wyszedł na podjazd.

- Już nas pan opuszcza, panie Matheson? - zapytał uprzejmie.

Roan zatrzasnął drzwiczki od powozu i podszedł do niego. Spojrzał mu z bliska



w oczy.

- Czego pan, u diabła, chcesz? - zapytał niegrzecznie.

Stanhope uniósł brew, jakby go Roan rozbawił.

- Życzyć państwu szczęśliwej podróży, oczywiście. Być może zobaczymy się jeszcze w Londynie.

Roan nic nie odpowiedział, tylko odwrócił się na pięcie i odszedł do powozu.

Dylichans do Manchesteru okazał się niezwykle tłoczny i Roan musiał zająć miejsce na dachu, podczas gdy Prudence usiadła w środku, przyciśnięta do ściany przez kobietę, która przewoziła kota w klatce.

Było dość ciepło, ale i duszno. Roan miał wrażenie, że to jego zgryzoty osiadły w ciężkim powietrzu.

W Manchesterze zdobył dla nich pokój w karczmie, ale podróż z Wesley okazała się tak męcząca, że oboje padli na łóżko i od razu zasnęli. Nazajutrz znowu wstali o świcie i zajęli miejsca w dylichansie do Londynu, który wbrew przewidywaniom okazał się jeszcze bardziej oblegany od poprzedniego.

Gdy minął jeszcze jeden nieznośny dzień osobnej podróży, Roan i Prudence przybyli do stolicy. Było wpół do ósmej i słońce już zachodziło. Roan martwił się o ukochaną; wyglądała na wykończoną.

- Znajdę dla nas nocleg - powiedział i objął ją w pasie. Uśmiechnęła się, ale bez przekonania.

- O nie - odparła, kładąc mu rękę na ramieniu. - Pół życia spędziłam w Londynie i jestem tu znana. Najlepiej będzie od razu udać się do Honor.

Roanowi się to nie podobało, ale rozumiał. Nagle rozboleła go głowa.

- Dobrze - zgodził się niechętnie. - Zawiozę cię tam. Podaj mi tylko adres.

Prudence spuściła wzrok i okręciła sobie na palcu pasek od torebki.

- Co teraz będzie? - zapytała.

Roan planował odwiedzić najbliższy szynk i utopić smutki.

- Znajdę sobie pokój.

Z zachodniego nieba znikwały już ostatnie smugi różu, kiedy przyjechali pod dom na Audley Street. Powietrze było tak gęste, że Roan z trudem oddychał. Wskazany przez Prudence dom był pomalowany na radosny, żółty kolor i miał trzy piętra z balkonami. Okna wychodzące na ulicę były wysokie i padało z nich zachęcająco ciepłe światło.

Dorożkarz zostawił ich na chodniku wraz z bagażami. Prudence usiadła ciężko na swoim kufrze i zapatrzyła się na dom.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - szepnęła zamyślona.

Roan przysiadł się do niej, objął ramieniem i pocałował w skroń.

- Ja powiem im wszystko. Zostaw to mnie.

- Jesteś przemiły. - Uśmiechnęła się do niego. - Dziękuję, ale z jakiegoś powodu mam wrażenie, że z twoich ust gorzej to przyjmą.

- A więc co im powiesz?

Wzruszyła ramionami.

- Prawdę. - Uśmiechnęła się. - A w każdym razie jej większą część.

Spojrzała na niego błyszczącymi oczami i Roan poczuł się zagubiony.

- Pru... - powiedział głosem szorstkim od emocji. - Minęło zaledwie kilka dni, a ja nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie.

- Ani ja bez ciebie - odparła cicho. - Prawdę powiedziawszy, w ogóle niewiele mogę sobie teraz wyobrazić, a wiem tylko tyle, że nie chcę się z tobą rozstawać.

- Więc nie rozstawaj się.

- Żeby to było takie proste, Roanie. Musimy wejść do środka.

Roan wcale się z tym nie spieszył, ale Prudence wstała i szybko podeszła do drzwi żółtego domu. Zastukała trzy razy mosiężną kołatką. Po kilku chwilach drzwi się rozwarły i światło kinkietów zalało próg. Stał w nich mężczyzna ze świeczką. Był szczupły, ciemnowłosy i przystojny. Roan zastanawiał się, czy to sam Easton.

Mężczyzna najpierw popatrzył na Prudence, a potem na Roana, który stał za jej plecami.

- No proszę! Zapowiada się interesujący wieczór. Zapraszam do środka, panno Prudence. Pana również, bardzo proszę.

Zrobił krok wstecz i uklonił się.

- Dziękuję, Finneganie. Pozwól, że ci przedstawię pana Mathesona - dodała nerwowo. - Roanie, poznaj Finnegana, kamerdynera.

- Kamerdynera i pokojowego - dodał Finnegan z uśmiechem. - Zapraszam.

Prudence weszła do środka, a za nią z ociąganiem Roan. W hallu zdjął z głowy kapelusz.

Finnegan przyjrzał mu się od stóp do głów, co w mniemaniu Roana było niezwykle śmiałym zachowaniem jak na kamerdynera.

- Państwo Easton na pewno będą przeszczęśliwi, że pozostaje pani wśród żywych, panno Prudence.

- Czy są może w trakcie kolacji? Bo jeśli tak, chętnie zaczekamy.

- Zjedli już wieczorny posiłek i ułożyli dzieci do spania. Właśnie relaksują się w zielonym salonie. Proszę za mną.

Finnegan jeszcze raz omiół Roana spojrzeniem i poprowadził ich po schodach, oświetlając drogę świecą.

Dom był wspaniale utrzymany. Na ścianach wisiały portrety, a choć w nikłym blasku świecy Roan nie widział dokładnie dywanów pod nogami, czuł, jakie były grube.

Kiedy dotarli na pierwsze piętro, Finnegan ponownie się odezwał.

- Proszę pozwolić mi wyrazić, jak bardzo się cieszę, że nie została pani porwana przez piratów i wywieziona do Indii, jak podejrzewała panna Mercy. Nie dało się jej przekonać, że mogło być inaczej.

- Chciałaby móc o tym później opowiadać, prawda? Ale skąd wiesz, jakie są jej przypuszczenia, Finneganie? Widziałeś się z nią? - zapytała Prudence.

- Ależ, oczywiście. Cała rodzina zjechała do Londynu, żeby naradzić się nad panią zniknięciem.

Prudence spojrzała niespokojnie przez ramię na Roana.

Finnegan zaprowadził ich przed lśniące, mahoniowe drzwi i bez pukania otworzył jedno skrzydło.

- Co, u licha? Finneganie! - rozległ się niezadowolony głos mężczyzny.

- Niech mi będzie wolno, *sir. Madame...* - powiedział Finnegan. - Przyszedł ktoś, z kim na pewno będziecie się chcieli zobaczyć.

- Nieprawda - odparł mężczyzna. - Dość już dziś mieliśmy gości. I bardzo cię proszę, żebyś nie wpuszczał tu więcej do domu lady Chatham. Jej gadulstwo doprowadza mnie do białej gorączki.

- George! - upomniała go łagodnie kobieta.

Prudence spojrzała na Roana i spróbowała się uśmiechnąć. Wyprostowała ramiona i weszła do środka za Finneganem. Mężczyzna stłumił okrzyk, kobieta pisnęła.

- Prudence! Dobry Boże, gdzieś ty się podziewała! Zamartwiamy się tu wszyscy na śmierć!

Roan poszedł w jej ślady; Prudence była już w objęciach kobiety, którą Roan uznał za jej siostrę, Honor. Na kominku wesoło trzaskał ogień, na podłodze, u stóp potężnego mężczyzny, leżały rozrzucone dokumenty oraz koszyk robótek ręcznych. Jego spojrzenie było twarde. Roan doskonale rozumiał, co czuje.

- A pan kim jest? - zapytał Easton. - Prudence, czyś ty postradała rozum? Nie przyszło ci do głowy, że odchodziliśmy od zmysłów? Masz się natychmiast przede mną wytłumaczyć!

- Przynajmniej pocałuj ją na powitanie, George - wtrąciła się kobieta. Miała czarne włosy, a nie złote jak Prudence. Ocierała łzy radości z niebieskich oczu.

George Easton przytulił Prudence i pocałował szybko w policzek. Dał sobie chwilę, żeby ochłonać, po czym znowu podniósł na nią ten sam, twardy wzrok.

- Co masz na swoje usprawiedliwienie?

- Zostawiłam przecież list w Ashton Down... - Prudence się zająknęła.

- List? - powtórzyła oskarżycielsko Honor. - W którym pisałaś, że jedziesz ze znajomą... której nikt inny nie znał!

Spojrzała na Roana i zakryła usta dłonią.

- A więc to taka znajoma?

Roan chciał odpowiedzieć na pytanie, ale zanim zdołał cokolwiek wykrztusić, otrzymał cios w szczękę. Zatoczył się do tyłu i bezwiednie podniósł rękę w uderzone miejsce.

- George, nie! - Prudence skoczyła między nich. - To nie była jego wina! Ja sama się na to zdecydowałam. Jestem temu człowiekowi winna wdzięczność, bo bardzo mi pomógł.

George obciągnął kamizelkę i patrzył na Roana wilkiem.

Roan poruszał zuchwą, żeby sprawdzić, czy nie jest złamana. Potem odpowiedział George'owi równie twardym spojrzeniem. Nie zamierzał pozwolić tak się do siebie odnosić.

- Proszę... To jest pan Matheson - przedstawiła go, kładąc mu rękę na ramieniu. Następnie zwróciła się do niego. - Ci dwoje to oczywiście moja siostra Honor Easton oraz mój szwagier, pan George Easton. Czy moglibyśmy usiąść? Mamy wam wiele do opowiedzenia.

- Ależ, oczywiście. Finneganie, brandy! - zarządził Easton i wskazał na Roana. - A dla niego whiskey. Skąd się pan tu wziął?

- A czy odpowiedź nie wytrąci pana z równowagi? - zapytał Roan.

Easton westchnął.

- Zapewne tak. Proszę o wybaczenie, być może zbyt pochopnie pana oceniłem. Skąd pan jest?

- Z Nowego Jorku.

- Dobry Boże! - mruknął Easton, jakby to było samo dno piekła.

- Niech nam lepiej Prudence opowie, co się wydarzyło. - Pani Easton spoglądała na Roana nieufnie. - Augustine całkiem stracił głowę, a Grace jest w hysterii. Doktor Linford natychmiast nas poinformował, że nie spotkał cię w Ashton Down i od tamtej pory jeden z ich służących cię poszukuje. Nie wyobrażasz sobie, co przeżywalismy. A dzisiaj usłyszeliśmy, że zmusiłaś woźnicę do zawrócenia z bezpiecznej drogi do domu Cassandry! Dlaczego?

Prudence spojrzała na Roana i odchrząknęła.

- Proszę usiąść, panie Matheson - zaproponowała pani Easton, wskazując aksamitną kanapę.

- Jeśli pani pozwoli, wolę stać - odrzekł uprzejmie Roan.

Prudence opadła na kanapę, jakby przygnieciona ciężarem minionego tygodnia.

- Nie wiem nawet, od czego miałabym zacząć.

- Najlepiej od chwili, kiedy opuściłaś Blackwood Hall, bo wtedy ostatni raz ktokolwiek cię widział - podsunął surowo Easton.

Prudence tak właśnie zrobiła. Zrelacjonowała wszystko, co się jej przytrafiło, rozpoczynając od problemów Roana z odnalezieniem Wesley.

- Pomogłam mu nabyć bilet na właściwy dyliżans, a potem... potem pojechałam za nim. - Wzruszyła ramionami.

- Pojechałaś za nim... - powtórzył Easton z wolna, jakby jej nie zrozumiał.

- Ale dlaczego? - zawołała Honor. - Jak mogłaś zrobić coś takiego całkiem sama, nawet bez służącej? To do ciebie całkiem niepodobne, Prudence. Zawsze jesteś w takich sprawach bardzo ostrożna...

- Dlatego że mi się spodobał, Honor - odparła Prudence. - Czy to nie oczywiste? Zwyczajnie mi się spodobał! Z miejsca się zadurzyłam po uszy.

Na te słowa Roan nie umiał powstrzymać uśmiechu.

- Myślałam, że skoro i tak czeka mnie życie za murami Blackwood Hall, dlaczego nie skorzystać z tej okazji i nie zrobić czegoś dla siebie? Zamierzałam wysiąść z dyliżansu w Himple i pojechać dalej według planu, żeby nikt niczego nie podejrzewał. Ale pękła oś i przyjechał Linford, a ja powinnam mieć na nogach buty!

- Co takiego? - zapytał Easton, spoglądając na żonę. - O czym ona mówi?

Prudence wzięła głęboki oddech i wróciła do opowieści. Zrelacjonowała usterkę i to, jak strach przed spotkaniem z Linfordami kazał jej oddalić się od zreperowanego powozu. Potem przeszła do tego, jak Roan w obawie o jej bezpieczeństwo sam zrezygnował z przejazdu. Opisała zakup starej szkapy, dalszą podróż, niegościnnie zajazd, obozowisko i atak bandytów.

- O mój Boże! - jęknęła pani Easton.

- On mnie ocalił, Honor - podkreśliła Prudence.

- Ja ciebie ocaliłem? To ona do niego strzeliła - wtrącił Roan.

- Och! - pani Easton zapadła się w poduszkach kanapy. - Zabiłaś go?

- Nie - odparła Prudence. - A przynajmniej tak mi się wydaje.

- Trzeba było go zabić - stwierdził Easton. - Jeśli już wyciągasz broń, strzelaj, żeby zabić.

- W pełni się zgadzam - powiedział Roan. Zauważył, że Easton spogląda na niego

nieco łagodniej.

- Och, Pru! - siostra wzięła rękę Prudence. - Przeszłaś tyle ciężkich chwil! Biedactwo... Co potem zrobiliście?

Prudence spojrzała na Roana.

- On rozpałił ogień, a ja... siedziałam przy nim z pistoletem w dłoni na wypadek, gdyby wrócili.

- Przez całą noc? - szepnęła Honor.

- Przez całą noc.

Easton spojrzał ponuro Roanowi w oczy. Roan odpowiedział mu równie ponurym spojrzeniem.

- Mam go zabić już teraz czy...

- George! - zawołały jednocześnie Prudence i Honor.

- To nie jego wina - dodała Prudence. - Tylko moja.

- Nie całkiem - przyznał Roan, nie spuszczać Eastona z oczu. - Ale nie zamierzam za nic przeproszać.

- Ach, tak? - Easton ustawił się jak do szarży.

- George, kochanie... - Pani Easton wstała z kanapy i podeszła do męża. - Zapomniałaś już, że ty też nie zawsze przestrzegałaś konwenansów?

- To było co innego!

- Nieprawda - odparła i położyła dłoń na jego policzku. To go najwyraźniej uspokoiło. Zacisnął tylko zęby i odwrócił się do ognia.

- Wysłuchaj, proszę, co mam do powiedzenia - poprosiła szybko Prudence. - Do Himple dotarliśmy następnego dnia...

Opowiadała bez przerwy, nie dając Eastonowi czasu na reakcję. Wyjaśniła, że była już w drodze do pani Bulworth, ale zmieniła zdanie i dołączyła do Roana. Nie przyznała się, co ją do tego skłoniło, ale Roan podejrzewał, że słuchacze nie mieli wątpliwości.

Kiedy jednak Prudence opowiedziała o wizycie w Howston Hall, pani Easton popatrzyła na nią zdumiona.

- Przedstawiłaś się jako kto? Jego druga siostra? A może córka?

- Córka! - Roan był zbulwersowany. - Mam trzydzieści lat, *madame*.

- A jak myślisz, Honor? - odpowiedziała łagodnie Prudence. - Nie jako siostra ani wychowanka. Ani też kochanka.

Pani Easton już drugi raz podniosła się z kanapy.

- Nie... Och, nie! - Przycisnęła rękę do brzucha. - Pru, nie zrobiłaś tego!

- A widzisz! - triumfował Easton. - Trzeba go było zastrzelić, kiedy tylko przestąpił próg.

- Jeśli zechce pan wyjść na zewnątrz, panie Easton - stawił mu czoło Roan - z radością wyjaśnię wszystkie dręczące pana wątpliwości.

- Natychmiast przestańcie - ofuknęła ich pani Easton. - Obydwaj!

- Jest jeszcze gorzej - przyznała Prudence.

- Jak może być jeszcze gorzej? - zadrwił Easton, rozrzucając ręce w rozpacz.

- Był tam lord Stanhope. Spotkaliśmy go już w dylizansie do Himple. I... on wiedział, kim jestem.

- Skąd? - chciała wiedzieć Honor. - Przedstawiłaś mu się?

- Nie. Ani też Penforsowi, skoro już o tym mowa. Wydawało mi się, że jestem bezpieczna. Nie mógł mnie poznać. Ale Stanhope zgadł, kim jestem, bo bardzo przypominam Grace.

- Oczywiście, że zgadł. Jesteście jak bliźniaczki - wtrącił się Easton.

- Nieprawda - zezłościła się pani Easton i machnęła na niego ręką. - Co powiedział?

- Tylko tyle że na razie zachowa to dla siebie. Ale wiem, że kłamał. Myślę, że chodzi mu o pieniądze.

- Myślę, że pieniądze okażą się najmniejszym z naszych zmartwień - mruknął Easton.

- Na litość boską! - Pani Easton ponownie opadła wstrząśnięta na kanapę. - Nie możemy pozwolić, żeby Merryton się o tym dowiedział. Wyobrażasz sobie, co by zrobił?

- A może właśnie powinniśmy? - nie zgodził się Easton. - Na pewno rozwiązałyby nasz problem. Mów, Pru, co było dalej?

- Skoro nie zastaliśmy mojej siostry w Howston Hall - podjął Roan - natychmiast wyruszyliśmy do Londynu.

- Wyjechała stamtąd dwa tygodnie przed naszym przybyciem w towarzystwie państwa Villeroyów.

- Villeroyów? - Pani Easton spojrzała na męża. - Tych z George Street? A ci co robili u Penforsa? Zazwyczaj odmawiają zaproszeń. Wystarcza im własne towarzystwo. Niewiele się o nich słyszy w naszych kręgach.

- Mają syna - wtrącił Roan. - Muszę znaleźć swoją siostrę. W domu czeka na nią narzeczony.

- A co z tobą? - zapytał Easton. - Jakie są twoje dalsze zamiary, skoro już przeciągnęłaś Prudence przez angielskie bezdroża?

- George, proszę - powiedziała Prudence zmęczonym głosem. - Rozumiem, że jesteś rozgniewany, ale nie będziemy za nic przeproszać. Nie żałuję niczego ani trochę, tak jak wy z Honor albo Merryton z Grace.

- Słucham? - Pani Easton była wstrząśnięta.

- Nie usłyszałam słowa przeprosin za wasze postępowanie.

- A co to ma z tobą wspólnego?

- Wszystko, Honor. Przez ciebie mnie i Mercy jest znacznie trudniej! Nie zaprzeczaj!

- Milcz, Prudence! - Pani Easton uniosła głos, drżący od powstrzymanej furii.

Roan położył Prudence rękę na ramieniu, ale ona ją strząsnęła.

- Nie rozumiesz, że ja cię o nic nie obwiniam, Honor? Teraz cię rozumiem. Naprawdę - powtórzyła. - Nie można się oprzeć głosowi serca. Wcześniej tego nie rozumiałam.

- Byłam w zupełnie innej sytuacji niż ty. - Honor nie dawała za wygraną. - Musiałam myśleć o trzech młodszych siostrach.

- Byłaś w dokładnie takiej samej sytuacji co ja. Zakochałaś się i wyszłaś za niego za mąż.

- Ty za niego nie wyjdiesz! - odparła, wskazując Roana palcem.

- Wyjdę, jeśli tylko podejmę taką decyzję - odpowiedziała stanowczo Prudence.

- Co ty sugerujesz? - wtrąciła szybko pani Easton. - Nawet o tym nie myśl. Nigdzie stąd nie wyjedziesz!

- Sama jeszcze nie wiem, co zamierzam - powiedziała na to Prudence. - Ale nie dam się zamknąć jak w klasztorze tylko dlatego, że wy albo Merryton zaplanowaliście dla mnie takie życie.

Pani Easton obróciła się do Roana.

- Jak śmiesz zatruwać jej głowę takimi myślami?

Siła pogardy w jej głosie zmroziła Roana, ale nie pozwolił się zbić z tropu.

- Nie muszę jej nic mówić - odparł. - Ma własny rozum, i to całkiem sprawny.

Prudence uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Bzdura! Wykorzystałeś niewinną kobietę...

- Honor... - przerwała jej ze spokojem Prudence.

Przez chwilę siostry mierzyły się wzrokiem, w końcu Honor odwróciła się i przyłożyła opuszki palców do rozpalonej twarzy.

- No to mamy niezły bałagan do posprzątania - odezwał się pan Easton. - Co robimy?

- Dla mnie najważniejsze jest odnalezienie siostry - odparł Roan.

- Nikt tu pana nie trzyma - wypaliła pani Easton.

- Kochanie... - tym razem to mąż ją, dla odmiany, uspokajał. - Za późno dziś na odwiedziny u Villeroyów. Pójdziemy jutro.

- My? - zdziwił się Roan. Nie ufał mu wcale i nie zdziwiłby się, gdyby Easton postarał się wtrącić go do więzienia.

Easton parsknął.

- Nie wiem, jakie panują obyczaje w Nowym Jorku, ale u nas, w Londynie, zanim zapuka się do czyichś drzwi, trzeba najpierw zostać formalnie przedstawionym.

- Chcesz mi powiedzieć, że ty mnie przedstawiś?

- Tak, oczywiście, że to zrobię - zniecierpliwił się Easton. - Tylko tak się ciebie pozbędę.

- Dziękuję - odparł Roan. - A teraz proszę o wybaczenie, ale muszę państwa opuścić.

- A ty dokąd się wybierasz? - zawołała Honor.

- Znaleźć jakiś szynk.

- Nigdzie się stąd nie ruszysz!

- Honor... - uspokoił ją ponownie George.

- Zostanie tutaj - powtórzyła stanowczo. - Przyprowadził nam z powrotem Prudence. A mogło się jej przytrafić coś strasznego. To chyba oczywiste, że zostanie z nami.

- Nie uważasz, że mając na względzie łączący ich... związek... - George jako pierwszy wypowiedział to słowo - ...to może nie jest najlepszy pomysł?

- Przeciwnie, po tym, co się wydarzyło w Howston Hall, to jest krok we właściwym kierunku.

Easton nie mógł z tym dyskutować. Roan jednak czuł na plecach palące spojrzenie gospodarza, kiedy Finnegan prowadził go do pokoju.

- Roanie...

Otworzył oczy. Leżał na łóżku w swoim pokoju, a Prudence stała przed nim jak we śnie, ubrana w samą tylko koszulę nocną. Jej włosy spływały na ramiona złotymi falami. Uciszyła go palcem na ustach i wspięła się na niego.

- Myślisz, że to rozsądne? - szepnął do niej. - Nie mam pod ręką pistoletu.

Uśmiechnęła się do niego w blasku księżyca.

- Chyba jesteśmy bezpieczni. Słyszałam chrapanie George'a.

- Hmm... - Roan nie był przekonany. - Wracaj, Prudence. Są na mnie wściekli i skorzystają z każdej okazji, żeby się mnie pozbyć.

- Wrócę, ale najpierw chcę ci podziękować.

- Za co? - szepnął rozmarzony, kiedy nachyliła się ku niemu.

- Za przygodę mojego życia. Za to, że pokazałeś mi, jak żyć.

Roan otworzył szerzej oczy, wziął jej głowę w dłonie i kazał na siebie spojrzeć.

- Nie dziękuj - odparł ponuro. - Podziękowania są zbyt ostateczne.

- Czy wspominałam już, jak cię uwielbiam?

Tak, już mu to mówiła. Ale Roan zdawał sobie sprawę, że jak dotąd nie usłyszał od niej, że go kocha. Obawiał się, że wcale tak nie jest, że wszystko to sobie wyobraził i teraz, w znajomym miejscu, jej własne emocje wydawały się jej głupie.

- Chcę, żebyś mnie kochała. Chcę, żebyś za mnie wyszła!

Prudence pieściła jego twarz.

- Pru...

Uciszyła go pocałunkiem.

Roan poddał się. Wsunął rękę pod jej koszulę i dotykał gorącej, gładkiej skóry ud.

Tego właśnie pragnął od życia. Dla takich chwil żył. Kiedy zanurzył się w niej, myślał tylko o tym, jak bardzo ją kocha.

Następnego ranka obudził Roana śpiew ptaków pod błękitnym niebem. Prudence odeszła jak duch, jak senne marzenie. Była znowu daleko, poza jego zasięgiem. Wspominał jej łagodny uśmiech i uniesienie w spojrzeniu. Pamiętał, jaka była piękna... Roan wiedział, że zapamięta tę noc na zawsze.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Prudence wymknęła się z pokoju Roana wyczerpana fizycznie i emocjonalnie. Przed tygodniem zapragnęła czegoś, co wypełniłoby pustkę w jej życiu. Teraz, kiedy jej życzenie się spełniło, stała się kłębkim nerwów. Czy podróż za ocean rozpalila by ogień miłości, czy też oboje z Roanem oddaliliby się od siebie, a ich uczucie by zgasło? Podobne pytania nie dawały jej spokoju.

Wstała później niż zwykle. Przy porannym stole zastała Honor i jej najstarszą córkę, Edith.

Augustine też był w pokoju śniadaniowym. Wyglądał przez okno i kołysał się nieznacznie na boki, jakby nucił sobie tylko znaną melodię.

- Dzień dobry - powiedziała cichutko Prudence.

Augustine odwrócił się do niej w jednej chwili.

- Prudence Martho Cabot! - odpowiedział na cały głos. - Powinienem cię uwięzić w wieży!

- Nie wolno ci zamknąć cioci Pru! - mała Edith rozplakała się, a Augustine obszedł pośpiesznie stół, przewracając po drodze krzesło, i objął Prudence w potężnym uścisku.

- Mamo, nie pozwól mu zamknąć cioci Pru! - łkała mała Edith.

- Wujek Augustine nikogo nie będzie więził - uspokoiła ją Honor. - To tylko takie żarty.

- Oczywiście, że jej nie zamknę - przyznał Augustine i wypuścił Prudence z objęć, po czym zwrócił się do małej dziewczynki: - Ale pamiętaj, żebyś nigdy w życiu od nas nie uciekła jak ciocia Pru. Obiecujesz?

- Obiecuję - powiedziała Edith, zeskoczyła z krzesła, podbiegła do Prudence i przytuliła się do jej nóg.

Prudence schyliła się po siostrzenicę i podniosła ją.

- Wcale nie uciekłam, kochanie. Po prostu szukałam przygód.

- Nie słuchaj jej, panno Edith - wtrąciła Honor i pogłaskała córeczkę po głowie. - Chodźmy, niania czeka.

Prudence niechętnie wypuściła siostrzenicę. Patrzyła za nią i myślała, że mogłaby jej już nigdy nie zobaczyć. Zrobiło się jej bardzo ciężko na sercu.

- Kochana Prudence - odezwał się Augustine, kiedy już Honor i Edith opuściły jadalnię. - Coś ty najlepszego uczyniła? Wiesz, jak się zamartwialiśmy? Powinnaś bardziej sobie cenić cnotę.

Prudence mogłaby się spierać, nie miała jednak na to ochoty.

- Przykro mi, Augustynie - odpowiedziała po prostu.

Augustine z bardzo poważną miną ścisnął ją za rękę.

- Myślałem, że zdążymy uprzedzić skandal, ale obawiam się, że już na to za późno. Zderzyłem się z lordem Stanhope'em w klubie White'a...

- Co takiego? - Prudence jęknęła boleśnie. - Kiedy to się stało?

- Och, dopiero co zeszłego wieczoru. Powiedział, że pożyczył konia z Howston Hall i przyjechał do Londynu w towarzystwie zarządcy majątku. Wyznał, że miłym zaskoczeniem okazał się dla niego fakt, że miał tam okazję poznać cię osobiście.

Niepokój ścisnął Prudence żołądek.

- Co dokładnie powiedział? - zapytała drżącym głosem.

- zaproponował, że odwiedzi mnie dziś wieczorem, żeby porozmawiać w cztery oczy. A kiedy wspomniałem o tym Honor, wyjawiała mi, że byłaś tam w towarzystwie dżentelmena! - szepnął nerwowo, jakby usłyszał, że Prudence była widziana w towarzystwie samego szatana.

- O Boże! - jęknęła Prudence.

- Pru, kochanie, powstrzymam się od pytania o tego dżentelmena, bo mógłbym nie przeżyć twojej odpowiedzi - wyznał. W tym momencie do pokoju śniadaniowego wróciła Honor. - Ale w moim przekonaniu najlepiej byś zrobiła, wracając natychmiast do Blackwood Hall. Co z oczu, to z serca, jak to się mawia.

- I co by mi z tego przyszło? - zapytała Prudence i podeszła do okna. - Ludzie i tak by gadali. Poza tym, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Czy nie wszystko zostało już o siostrach Cabot powiedziane?

- Oczywiście, że to ma znaczenie! - Augustine podniósł głos. - Czy naprawdę chcesz nas wszystkich okryć niesławą?

- Zatem każ mi się ukrywać, jakbym była kryminalistką - odparła ze złością Prudence.

- Nie sądzę, żeby o to chodziło Augustine'owi - wtrąciła Honor.

- W żadnej mierze - zgodził się z nią Augustine. - Uważam tylko, że najlepiej będzie dla ciebie zniknąć na jakiś czas, dopóki sprawa nie przycichnie.

Odchrząknął i spojrzał na Prudence poważnie.

- Nigdy więcej nie wolno ci nas tak nastraszyć - dodał, grożąc jej pulchnym palcem.

- Oczywiście - zgodziła się Prudence z goryczą. - Wolno mi tylko trzymać się skromnie na uboczu i odzywać się wyłącznie wtedy, kiedy mnie pytają. Nie przejmuj się, Augustynie. Może poślubię tego tajemniczego dżentelmena i raz na zawsze rozwiążę twój problem.

Prudence nigdy nie widziała swojego przyrodniego brata w stanie takiego szoku. Szczęka mu opadła. Poruszał bezdźwięcznie ustami, jakby starał się nazwać niewypowiedziane. Oczy wyszły mu z orbit. Dopiero po chwili odzyskał mowę.

- Coś ty powiedziała? Co zamierzasz? Kim jest ta kanalia?

- Nie jest żadną kanalią. Jest Amerykaninem!

Augustine spurpurowiał. Oddech uwiązał mu w gardle.

- Czym jest? - wykrztusił, gwizdząc jak imbryk.

- Prudence, przestań! - zawołała Honor, przerażona.

- Przecież jedynie mówię prawdę.

- A jego uczucia? - Honor wzięła w obronę przyrodniego brata. - Augustynie, kochanie, pozwól, że ja się tym zajmę.

- Wprost nie mogę uwierzyć, co ona opowiada! - wyznał, rozkładając w bezsilności ręce. Honor wzięła go łagodnie pod łokieć i wyprowadziła z pokoju.

- Wszystko się ułoży, kochanie. Myślę, że powinieneś już wracać do domu, do Mo-

niki. Na pewno nie może się doczekać opowieści o perypetiach Prudence.

Augustine spojrział na siostrę przez ramię. Miał taki wyraz twarzy, jakby zobaczył za plecami upiora. Prudence kochała brata i nie chciała go skrzywdzić.

- Augustynie... - odezwała się skruszonym głosem.

- Tak - zwrócił się z powrotem do Honor. - Na pewno nie może się doczekać!

Kilka chwil później Honor wróciła i spojrzała na Prudence ponuro.

- Zadowolona? - zapytała ze złością. - Augustine całkiem się rozsypał.

- A co miałam mu powiedzieć, Honor? Powinnam się wypierać? Udawać, że sama jestem pozbawiona uczuć?

- Nie. - Honor przybrała ton, jakim zwykle mówi się do małych dzieci. - Ale powinnaś była okazać nieco więcej taktu.

Prudence przyznała jej w duchu rację. Usiadła naprzeciwko siostry.

- Przepraszam. Źle do tego podeszłam.

Honor odwróciła wzrok.

- Czy naprawdę chcesz za niego wyjść? - zapytała, spoglądając z naciskiem na siostrę.

- Nie wiem - wyznała Prudence żałośnie. - Nigdy nie czułam do nikogo tego, co czuję do niego.

Przycisnęła dłoń do piersi.

- Nie wyobrażam sobie, żeby to się kiedykolwiek mogło powtórzyć. Ale potem mam takie wrażenie, jakbym zachorowała na febrę, i wtedy chciałabym, żeby mi jak najszybciej przeszło. Ale mi nie przechodzi, tylko jest coraz gorzej.

- Ojej! - Honor wyprostowała się nagle. - Posłuchaj mnie, Prudence. Dziś po południu przyjeżdżają Grace i Mercy. Czy nie mogłybyśmy przynajmniej porozmawiać o czymś racjonalnym, a nie od razu o podróży do Ameryki? Może przynajmniej pozwolisz nam się wypowiedzieć na temat, który dotyczy przecież nas wszystkich?

- To moje życie i mój wybór. Jak może dotyczyć was wszystkich? - odparła Prudence poirytowana.

- A jak może być inaczej? Sama wczoraj wyraziłaś niezłomne przekonanie, że moje decyzje wpłynęły na twoje życie. Myślisz, że któraś z nas chciałaby posłać ukochaną siostrę do... Ameryki? - Honor z trudem wydusiła to słowo. - Czy nie jesteśmy dla ciebie przynajmniej równie ważne, jak ten obcy? Na moim miejscu chciałabyś ode mnie tego samego, i dobrze o tym wiesz, Pru.

Prudence popatrzyła na swoją piękną siostrę, którą przez całe życie podziwiała. Wiedziała, że ma ona rację. Siostry zawsze były dla niej najważniejsze. Ale teraz w jej świecie zaistniał też Roan i chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, najwyraźniej zajął w nim centralne miejsce.

- Tak - zgodziła się. - Nigdy nie chciałabym was skrzywdzić, Honor.

Honor posłała jej zmęczony uśmiech.

- Wiem, kochanie - odparła i ścisnęła ją za kolano.

- Gdzie on się podziewa? - zapytała potulnie Prudence.

- Masz na myśli Mathesona? Pojechał razem z George'em do Villeroyów.

Honor podeszła do kredensu, najwyraźniej niegotowa, żeby o tym więcej rozmawiać.

Prudence zobaczyła oczyma duszy, jak Roan biegnie do wytęsknionej siostry, ści-

ska ją i kładzie jej ręce na ramionach.

- O której wyszli?

- O dziewiątej - odparła Honor. - George powiedział, że wrócą pewnie jeszcze przed południem.

Położyła przed Prudence talerz z przekąską.

- Zjedz coś, poczujesz się lepiej - dodała z troską.

Roan i George nie wrócili jednak przed południem. O drugiej Prudence przechadzała się niespokojnie po salonie, kiedy zeszła do niej Honor z trójką dzieci: Edith, Tristanem i Willsem. Wszyscy byli ubrani do wyjścia.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Prudence.

- W odwiedziny do *lady* Chatham. Jeśli ich do niej nie przyprowadzę, sama tu przyjdzie i George będzie niepokieszony.

- Ale... co się dzieje z George'em i Roanem?

- Kto to Roan? - zapytał Tristan, marszcząc nos.

- Nikt taki - odpowiedziała Honor, na gust Prudence trochę zbyt ochoczo. - Najwyraźniej coś ich tam zatrzymało. Może sobie poczytasz? Zostawiłam też na górze robótki, jeśli chciałabyś czymś zająć palce.

Wyprowadziła dzieci z salonu.

- I przestań tak krążyć - rzuciła jeszcze na odchodnym.

Po ich wyjściu Prudence poszła za radą siostry i spróbowała zająć się robótkami, ale nie mogła się skupić. Wróciła na dół.

Duszne powietrze ostatnich dni w końcu zrodziło deszcz, który uderzał miarowo o szyby. Prudence wpatrywała się w strużki wody na oknie i zastanawiała się, co się przytrafiło mężczyźnie, który w zaledwie kilka dni nauczył ją o miłości, tęsknocie, szczęściu i bólu więcej, niż poznała przez całe życie.

Właśnie zamierzała ponownie spróbować haftowania, kiedy usłyszała kołatanie do drzwi. Niewiele myśląc, Prudence rzuciła robótkę na ziemię i podbiegła do okna. W strugach deszczu wyłowiła jedynie kształt brązowego kapelusza, który skrywał swojego właściciela.

Prudence była jednak przekonana, że nie mógł to być nikt inny, jak Roan. Pobiegnęła z powrotem do salonu, poprawiła fryzurę i stanęła na środku, czekając na przybycie ze złożonymi rękami.

Po chwili przyszedł Finnegan i wręczył jej na srebrnej tacy kartę wizytową. Prudence przebiegł po plecach dreszcz. Roan na pewno by się w ten sposób nie zapowiadał. Z duszą na ramieniu podniosła karteczkę.

Stanhope.

A więc to tak! - pomyślała. Czy powinna zaczekać na gospodarzy? Nie chciała dać po sobie poznać strachu. Uznała też, że skoro sama się wpakowała w te tarapaty, powinna stawić czoło konsekwencjom.

- Czy nikogo nie ma w domu?

- Nikogo, panienko.

- Zaproś go do środka, Finneganie.

Kamerdyner odwrócił się, ale zatrzymała go jeszcze.

- Finneganie! - zamilkła. - Zostaw, proszę, drzwi otwarte i... nie oddalaj się, dobrze?

- Będę zaraz za drzwiami - zapewnił ją. - Na pewno panienka chce go przyjąć?

- Ani trochę. - Prudence roześmiała się nerwowo. - Niestety jednak, muszę. Wezwij go, proszę.

Stanhope wszedł do salonu i zatrzymał się zaraz za progiem.

- Panno Cabot, cieszę się, że mnie pani przyjęła.

- Dzień dobry, milordzie - odparła chłodno.

- Proszę mi wierzyć, że dobrze jest panią widzieć z powrotem w domu i w doskonałej formie. - Uśmiechnął się życzliwie.

Miał na sobie płaszcz, czarne spodnie i kamizelkę oraz śnieżnobiałą koszulę i fular. Prudence na sam jego widok robiło się niedobrze.

- Czym mogę panu służyć?

Stanhope uniósł brew i posłał jej uśmiech zaskoczenia.

- Wydaje się pani niespokojna, panno Cabot. Czy wolałaby pani mnie nie oglądać?

- Mam mnóstwo spraw do załatwienia. - Nie zamierzała dać po sobie poznać najmniejszej słabości.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zanim ponownie się odezwał.

- Dobrze, od razu przejdę do rzeczy. - Wskazał na kanapę pod oknem. - Może przynajmniej pani usiadzie?

Uśmiechnęła się do niego i spokojnym krokiem podeszła do kanapy. Usiadła z dłońmi na podolku.

Stanhope usadowił się obok niej, zarzucając połą płaszcza. Choć ich znajomość była co najwyżej powierzchowna, dla niewtajemniczonych sytuacja sprawiałaby pozory spotkania doskonałych przyjaciół.

- Tak? - zagaiła w nadziei, że szybko będzie miała to za sobą.

- Tak obcesowo? Bez żadnych uprzejmości, uwag o pogodzie ani pytań o mój powrót z Wesley?

Serce podskoczyło jej w piersi na dźwięk tego słowa.

- Czy to doprawdy konieczne? Wiem, po co pan przyszedł.

Stanhope roześmiał się wesoło.

- Czyżby, panno Cabot? Obawiam się, że jest pani w błędzie. Mam dla pani pewną propozycję.

Prudence poczuła się niezręcznie.

- Och, to nic nieprzyzwoitego, proszę się nie obawiać.

- Miło mi to słyszeć - odparła chłodno. - Na czym owa propozycja polega?

Westchnął, jakby miał do czynienia z niegrzecznym dzieckiem.

- Wyobrażałem sobie, że odbędzie się to w znacznie przyjemniejszych okolicznościach, ale nie ma na co czekać. Będę mówił otwarcie: możemy nawzajem sobie pomóc.

Prudence spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- W jaki sposób?

- Jest pani bardzo urodziwa i każdy dżentelmen byłby szczęśliwy, mogąc mieć panią za żonę.

Prudence zaczęła się czerwienić.

- Mówił pan, że to nic nieprzyzwoitego!

- Proszę mnie wysłuchać do końca. Nie jest tajemnicą, że przez wzgląd na skan-

dale i obłęd matki pani perspektywy matrymonialne są cokolwiek... ograniczone. Gdyby na dokładkę wydał się pani sekret o tej małej wycieczce na wieś, szanse spałyby, nie oszukujmy się, w okolice zera.

Prudence ogarnęło wstrętne poczucie upokorzenia.

- Milordzie, nie musi mi pan prawić komplementów, ale czy naprawdę przyszedł pan tu mnie poniżyć? - zapytała beznamiętnie. - Jeśli tak, traci pan tylko czas. Niełatwo mnie dotknąć z tych właśnie powodów, o których raczył pan przed chwilą wspomnieć.

- Miałbym panią poniżyć? - zdumiał się. - Ależ wręcz przeciwnie, panno Cabot. Chcę pani podać pomocną dłoń.

Prudence popatrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- W tym celu jestem gotów przymknąć oczy na powody, dla których jest pani uważana za nie najlepszą partię. Prawdę mówiąc, te sprawy nic dla mnie nie znaczą. Tak się składa, że mój majątek jest dość poważnie zadłużony i bardzo przydałby mi się sowity posag. Mniej więcej taki, jakiego spodziewałbym się od pani.

Prudence zaparło dech. Gdyby nie Roan, być może udałoby się jej wykrzesać z siebie nawet coś na kształt wdzięczności za ofertę Stanhope'a. W jej świecie małżeństwa zawsze były rodzajem transakcji, a taka propozycja ze strony hrabiego byłaby dla niej niespodziewanym uśmiechem losu.

Mimo tego tak chłodna rozmowa na ten temat okazała się dla niej prawdziwie przykrym doświadczeniem. Dopiero od niedawna wiedziała, jak bardzo potrzebuje miłości.

- Jestem przekonany, że doszło cię o mnie niejedno złe słowo - podjął, przyjmując, że milcząco zgadza się z jego tokiem rozumowania. - Zostaniesz hrabiną Stanhope, ze wszystkimi przywilejami, jakie to ze sobą niesie. Będę dla ciebie dobrym mężem, ojcem dzieci, będę cię szanował i dzięki mnie zachowasz pozycję towarzyską. Kto wie? Może nawet narodzi się między nami szczere uczucie?

Uśmiechnął się do niej. Prudence siedziała jak oniemiała.

Stanhope przyglądał się jej ciekawie.

- Wiem, że to duże zaskoczenie, ale musi się pani zgodzić, że trudno nam obojgu byłoby liczyć na lepszą partię, prawda?

- Nie - odrzekła z nagłą stanowczością.

- Nie?

- Myli się pan, milordzie. Nie przyjmę pana propozycji.

Stanhope wyglądał na zbitego z tropu.

- Ale dlaczego? Jakże ma pani inne wyjście?

- To chyba powinno być dla pana oczywiste. Zamierzam wyjść za pana Mathesona - wyjaśniła i zdała sobie sprawę, że mówi szczerze. Kochała go i wolała zaryzykować wszystko, niż przez całe życie obracać się wśród ludzi, powodowanych takimi motywami, jakie przedstawił jej przed chwilą Stanhope.

Popatrzył na nią zdumiony, a potem postanowił się upewnić, czy dobrze ją zrozumiał.

- Co pani powiedziała?

- Chcę wyjść za mąż...

- O, słuch mam dobry. Ale czy naprawdę chce pani zostawić całą swoją rodzinę? A

może ten Janek chce się osiedlić u nas?

- Ja do niego pojedę.

- A co na to pani rodzina? Beckington, Merryton, Easton... Co oni o tym myślą?

Prudence nie odpowiedziała. I Stanhope zrozumiał ją w lot.

- Nie znają pani decyzji albo się z nią nie zgadzają.

- To dla mnie bez znaczenia - odparła Prudence. - Kocham go.

- Miłość! - zawołał Stanhope i zrobił szeroki gest, jakby deklamował poemat na scenie. - Ale noc na sianie to nie jest żadna miłość, panno Cabot. Doprawdy, jest pani naiwna.

- Pana propozycja to nie oferta małżeństwa, ale bezduszna transakcja.

- Proszę to przemyśleć, panno Cabot. - Zniżył głos. - Skontaktuję się z panią za dwa dni.

- Proszę przyjść, ale odpowiedź otrzyma pan tę samą.

Stanhope wbił wzrok w dywan. Miał zacięty wyraz twarzy.

- Czy przypadkiem pani siostra nie stara się o przyjęcie do akademii sztuki Lisson Grove? - zapytał niezobowiązującym tonem i powoli podniósł wzrok.

- Jak pan śmie? - Prudence nie posiadała się z oburzenia. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Jej wybuch nie zrobił na Stanhopie najmniejszego wrażenia.

- Może ci o tym nie wiadomo, ale mój dziadek hojnie wspierał tę szkołę. Jedno moje słowo mogłoby rozwiać nadzieje pani Mercy, że spędzi szczęśliwe życie, malując miski owoców.

- Nie ośmieli się pan!

- Wygląda na to, że od przyjęcia mojej propozycji zależy więcej, niż się z początku zdawało. - Wzruszył ramionami, jakby nigdy nic.

- Jest pan wstrętny - odrzekła cicho. - Dlaczego karze pan Mercy za coś, na co nie ma wpływu?

- To się nazywa zemsta. Jeśli pani rodzina odbierze mi tę możliwość, ja też muszę wam coś odebrać.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Pan jest potworem.

Pokręcił głową.

- Po prostu myślę praktycznie. Co i pani polecam. Jak będzie wyglądało życie pani bliskich, gdy ich pani zostawi na pastwę plotkarzy? Jak młoda Mercy Cabot zniesie przyszłość bez wymarzonej sztuki? - Stanhope triumfował. Podniósł się z kanapy i wyprostował dumnie. - Dziękuję, panno Cabot. Sam znajdę drogę do wyjścia.

Gdy została sama, Prudence długo nie mogła zebrać myśli ani nawet się ruszyć.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Finnegan, zjawiając się w drzwiach.

- Niestety nie. - Prudence podbiegła do okna i przyglądała się, jak Stanhope wsia-  
da na konia w strugach deszczu.

- Czy mogę coś dla pani zrobić?

- Nie, dziękuję, Finneganie. Po prostu muszę się położyć. Wybaczysz mi?

Minęła go i poszła na górę do swojego pokoju.

Gdyby tylko wrócił Roan! - pomyślała. Potrzebowała kogoś, komu mogła się zwierzyć i kto pomógłby jej zrozumieć, co zaszło.

Roan jednak nie wracał. A w miarę upływu popołudnia Prudence coraz bardziej upewniała się w tym, co należało uczynić.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Grace i Mercy, uciekając przed deszczem, wskoczyły do domu tuż za Honor i dziećmi. Kiedy Honor posłała je do niani, siostry dopadły Prudence w salonie i zasypały ją pytaniami o ostatnie przygody.

Żadna z nich nie była zdziwiona historią, więc Pru podejrzewała, że co ciekawsze fragmenty słyszały już od Honor i Augustine'a.

Kiedy Prudence skończyła opowiadać, Grace uściskała ją gorąco.

- Skoro już na własne oczy widzę, że jesteś cała i zdrowa, powiedz mi, proszę: czy ci całkiem rozum odjęło?

- Grace! - zawołała Mercy.

- Nie masz pojęcia, ile zgryzoty przysporzyłaś swoim zniknięciem mnie i mojemu mężowi! - ciągnęła Grace niezrażona. - Merryton był dla ciebie zawsze taki dobry... a jak ty mu się odpłacasz? Jak możesz być taka uparta?

- A ty dlaczego byłaś uparta? - odparowała Prudence.

Grace wydawała się oburzona.

- Chcesz mi wypominać moje błędy? Może i się pomyliłam, ale popatrz, jacy jesteśmy szczęśliwi z Merrytonem! A poza tym moja sytuacja bardzo się różniła od twojej. Próbowалам nas wszystkie ratować!

- Tobie i Honor wydaje się, że tylko wy możecie zachowywać się nieprzyzwoicie. Naprawdę uważasz, że moja sytuacja jest inna? - chciała wiedzieć Prudence. - Po prostu próbuję ratować siebie. Ty i Honor jesteście zamężne. Mercy ma swoją sztukę. A ja chciałam... poznać smak przygody.

- Popatrz - wtrąciła się Mercy i podsunęła Prudence pod oczy pudełko. - Augustine mi je podarował.

Wewnątrz znajdowały się cztery pędzle malarskie wysadzone masą perłową.

- Musiały sporo kosztować - cieszyła się. - To sobole włosie. Najlepsze!

- Nie teraz, Mercy - mitygowała ją Grace.

- Wiedziałaś, że na sześć miejsc o przyjęcie starało się ponad stu artystów? - ciągnęła Mercy, nie zwracając uwagi na starszą siostrę. - To najbardziej prestiżowa szkoła w całej Anglii, a ja będę jedną z sześciu wybranych osób!

- Mercy, to nie pora na to - złościła się Grace. - Prudence zrobiła coś bardzo złego i musimy przywołać ją do porządku.

W tym momencie do salonu weszła Honor.

- Kogo chcesz przywołać do porządku?

- Prosiłam Prudence, żeby się wytłumaczyła, ale ona odmawia.

Prudence wzruszyła ramionami.

- Co chcesz usłyszeć, kochanie? Że popełniłam błąd? Proszę bardzo: to był błąd. Ale nic mnie to nie obchodzi.

- Pru! - zawołała Grace, zbulwersowana.

- Przeprosiłam już - przypomniwała siostrom Prudence. - Co jeszcze mogę zrobić?

Nie cofnę przecież czasu.

Grace rozłożyła ręce i wzniosła oczy do nieba.

- Czy myślisz, że się aż tak zmieniłaś? - zapytała Mercy. - To przecież do ciebie takie niepodobne, żeby się tak nieodpowiedzialnie zachowywać.

- Nie, Mercy, przeciwnie. Nareszcie jestem sobą! Pierwszy raz od czterech lat nie muszę się oglądać na Honor i Grace.

Grace wyglądała, jakby chciała ją spoliczkować. Ale Mercy była innego zdania.

- W pełni cię rozumiem - oznajmiła.

Grace szukała wzrokiem wsparcia u Honor, ale doczekała się tylko wzruszenia ramion.

- Ma rację - powiedziała, po czym zwróciła się do Prudence. - Powiesz im wreszcie?

- Co jeszcze? - Grace podparła się pod boki.

Prudence zastanawiała się, jak to będzie opuścić siostry. Spojrzała na pędzle, z których Mercy tak się cieszyła. Bardzo dużo zależało od jej decyzji.

- Pru! - zawołała Mercy. - Nie trzymaj nas dłużej w niepewności! Co chcesz nam powiedzieć?

- Dostałam propozycję - powiedziała Prudence nieswoim głosem.

Grace otworzyła usta ze zdziwienia. Mercy popatrzyła wielkimi oczami.

- Od kogo? - zapytała Grace. - Chyba nie od tego, z którym... miałaś przygody?

- Tak - przyznała Prudence. - Od niego... ale też jeszcze od innego.

- Co? - wybuchła Honor. - O czym ty mówisz? Nie było mnie tylko trzy godziny, a tymczasem ty zdobyłaś kolejnego adoratora? Od kogo tym razem?

- Od Stanhope'a.

W następnej chwili rozpętało się prawdziwe piekło. Wszystkie trzy siostry naraz zadawały pytania, wyrażały swoje niedowierzanie i chciały znać wszelkie szczegóły.

Prudence opowiedziała im o wszystkim, poza szantażem, jakiego się dopuścił Stanhope wobec Mercy.

- Nie mogę w to uwierzyć! - Honor była jak urzeczona. - Jak brzmi twoja decyzja?

Prudence nie miała czasu odpowiedzieć, bo dał się słyszeć hałas z hallu.

- Wrócił George - ucieszyła się Honor.

Istotnie, w hallu stał George, ociekając deszczówką od stóp po kosmyki włosów. Podał służącemu przemoczony płaszcz.

- To jakiś cholerny potop! - zawołał tytułem wyjaśnienia.

Prudence minęła go w drzwiach i wybiegła na zewnątrz. Gdzie Roan? - to pytanie nie dawało jej spokoju. Przed domem stał tylko stajenny z koniem George'a.

- Martwiłyśmy się, kochanie. Gdzie byłeś? - zapytała Honor, obejmując męża za szyję.

- Przykro mi. - Pocałował ją w policzek.

- A gdzie Matheson? - spytała w końcu Prudence.

- Spodziewam się, że wróci za jakieś dwie godziny. - George uporał się w końcu z rozwiązywaniem przemokniętego fularu. - Dziewczęta są, widzę, w komplecie. A gdzie Merryton?

- Przyjedzie trochę później - odparła Grace. - Co się stało?

- Jak dacie mi do ręki whiskey i posadźcie przed kominkiem, wszystko wam opowiem. - Sprawiał wrażenie zadowolonego. Objął Honor i mrugnął do Prudence. - Idziemy na górę?

- Nie możesz nas tak trzymać w niepewności - zaprotestowała Mercy, wbiegając za George'em i Honor po schodach.

- Nie uwierzysz, co to był za dzień, Mercy. Czyste szaleństwo - podjął radośnie George i zwrócił się do Prudence. - Nie jesteś wcale najbardziej nieposłuszną kobietą tego tygodnia.

- George'u Easton - rzekła do niego z naciskiem Honor - bądź łaskaw powiedzieć nam wreszcie, co się stało.

- Dobrze już, dobrze. Wszystko opowiem. Dzisiejszego ranka poszliśmy z Mathesonem do Villeroyów. Na miejscu nie tracił ani chwili, tylko od razu zapytał o swoją siostrę. Villeroy potwierdził, że panna Aurora Matheson gości u nich od kilku tygodni oraz że cała ich rodzina dopiero niedawno wróciła z wizyty w posiadłości Howston Hall.

- Co oni tam robili? - zainteresowała się Honor.

- To nieważne - wcięła się Prudence. - Dzięki Bogu, że ją znaleźliście.

- Znaleźliśmy, a jakże! Takiego zdania był też od razu Matheson. Poprosił, żeby siostra natychmiast zeszła spotkać się z nim w salonie. Ale państwo Villeroy odpowiedzieli coś wymijająco, jakby starali się uniknąć wyjawienia szczegółów co do miejsca pobytu Aurory.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznała Prudence.

- Podobnie jak Matheson. - George się roześmiał. - Villeroyowie wdali się w domową sprzeczkę na temat śniadania, a on sprawiał wrażenie, że zaraz zacznie pięściami wybijać szyby w oknach. Dopiero wtedy Villeroy przyznał, że Aurora odeszła.

Serce Prudence stanęło.

- Odeszła?

- Tak, odeszła! - George rozejrzał się po twarzach sióstr i uśmiechnął tajemniczo. - Razem z ich synem.

Uniósł brew i łyknął whiskey.

Siostry Cabot w jednej chwili położyły dłonie na ustach.

- Villeroy wyjaśnił, że ich syn Albert bardzo polubił pannę Aurorę i poprosił ją o rękę, a ona się zgodziła. Kiedy Matheson to usłyszał, widać było, że resztką siły powstrzymuje się przed popadnięciem w krwawą furię. Villeroy wyjaśnił jednak, że nie pozwolili synowi na ślub z nieznaną Amerykanką, która nie wносиła nawet żadnego posagu.

- A więc uciekli! - zawołała Prudence.

- Tak, do Gretna Green.

- Katastrofa! - wykrzyknęła Honor.

- Matheson nie wiedział, co to wszystko znaczy, a kiedy mu wyjaśniłem, prawie dostał apopleksji. Villeroy powiedział, że nieobecność młodych odkryli właśnie tego ranka. Został tylko list.

- Ależ to podniecające! - zauważyła Mercy, która przycupnęła na skraju kanapy.

- Matheson nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Zapytał mnie: „Którędy do

Gretna Green”? Potem chciał odkupić konia, ale Villeroy się wtrącił, że chętnie będzie mu towarzyszył w pościgu i ma dla niego odpowiedniego wierzchowca.

- Tak więc wybraliście się tam we trójkę? - zapytała Honor z niedowierzaniem.

- Nie mogłem ich tam puścić samych, Amerykanina i Francuza. To był mój obowiązek.

- Jednak... - Honor nie była przekonana - ...nie mogłeś przecież w jeden dzień pojechać do Gretna Green i wrócić!

- Istotnie. - George najwyraźniej doskonale się bawił. - Szczęście sprzyjało Mathesonowi. Deszcz rozmył drogi i powóz młodych kochanków musiał bardzo zwolnić. Dopadliśmy ich w Oksfordzie.

George roześmiał się na głos.

- W życiu nie widziałyście takiego zaskoczenia, jakie odmalowało się na twarzy panny Matheson na widok brata. Matheson był w stanie najwyższego wzburzenia i ktokolwiek stanąłby mu wtedy na drodze, rozszarpany zostałby na kawałki.

- Boję się spytać, co stało się później. - Prudence zamknęła oczy.

- I tak wam opowiem. Villeroy zaopiekował się swoim synem, a Matheson siostrą. Wszyscy wracają już do Londynu. Zaprosiłem oboje Mathesonów, żeby zamieszkali z nami, ukochana. Matheson chce wypłynąć z Liverpoolu przed końcem tygodnia.

George Easton popatrzył na cztery siostry Cabot i dopił whiskey.

- Wypiję jeszcze jedną - oznajmił. - Zasłużyłem.

- I ja też poproszę. - Prudence zwróciła się do Honor, która stała już przy kredensie.

Nikt nawet słowem tego nie skomentował.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Tak się cieszę, że przyjechałeś - wyznała bratu panna Aurora Matheson w drodze do Londynu.

Matheson był gotowy walczyć do upadłego, prawić siostrze kazania i szafować gorzkimi słowami. Wystarczyło jednak jedno żalosalne spojrzenie i szczerze słowa, żeby cały gniew z niego uszedł.

- Co ty sobie myślałaś, Auroro? Musiałaś przecież wiedzieć, że robisz to wbrew nam. I co będzie z panem Gundersonem? Miałem wrażenie, że ci się spodobał.

- Spodobał - przyznała. - I nadal mi się podoba. Nie wiem, dlaczego powiedziałam Albertowi tak. Chyba nigdy do końca nie wierzyłam, że to zrobi. Jest taki cichy i potulny... Ale kiedy mnie pocałował i powiedział: „chodźmy”, całkiem straciłam głowę. Jest taki romantyczny!

- Chciałaś wyjść za mąż, bo spodobał ci się pomysł ucieczki kochanków?

- Wiem, że to niewybaczalne - przyznała. - Ale wydawało mi się, że go kocham.

- Kochasz go? - powtórzył z ironią w głosie, jakby zapomniał, że sam też dopiero co odnalazł miłość. - Dlaczego nie wróciłaś do domu z ciocią Mary i wujkiem Robertem? Przecież wiedziałaś, że Gunderson na ciebie czeka. Wtedy chyba jeszcze nie chciałaś wyjść za Villeroya?

- Och, Roanie. Jestem taka głupia! - odparła skruszona Aurora. - Albert Villeroy ma wielki dar mowy. Opowiadał, ile jeszcze pozostało mi do zobaczenia w Anglii, i przekonywał, że będzie podróżował z rodzicami po największych majątkach przyjaciół rodziny. Straciłam głowę!

- Rozumiem potrzebę doświadczenia życia, ale ten młody Villeroy nie wydaje się do tego odpowiednim towarzyszem dla ciebie...

- Wiem. Zdaję sobie sprawę! Ale przez te kilka tygodni tak zawrócił mi w głowie, że uwierzyłam, że go kocham. Ale kiedy przyjechałeś, nie posiadałam się z radości. Zrozumiałam, że wcale nie chcę doprowadzić tej sprawy do końca. - Zamilkła i do-dała po chwili: - Chyba wszystko zepsułam. Jest mi wstyd.

- Więc dlaczego to zrobiłaś? - Roan pytał już bez złości.

- Nie przypominaj mi o tym, dobrze? Wiem, że byłam okropna.

- Nawet bardzo - zgodził się.

- Ale przynajmniej nie zepsułam wszystkiego. Twoje zaręczyny ciągle mogą dojść do skutku! To wspaniałe. Gdyby nie ty, ojciec nigdy by mi chyba nie wybaczył.

Roan poklepał ją po ramieniu.

- Wybaczyłby. Zawsze ci przecież wybacza. Ciekawe, że mnie nigdy tak łagodnie nie traktował.

- Ciebie? Jak dotąd nie miał ci czego wybaczać. Poza tym jesteś mężczyzną, więc możesz robić, co tylko zechcesz.

- To nie jest całkiem prawda. Może i mam więcej swobody od ciebie, ale też odpowiadam za naszą rodzinę.

- Kiedy ożenisz się z Susanną Pratt, będziesz mógł nadal robić, co tylko zechcesz. A ja będę musiała wykonywać polecenia Sama Gundersona.

Roan nic na to nie odpowiedział.

- Czy wyżywamy już dzisiaj? - zapytała. - Chciałabym się pożegnać z kilkorgiem przyjaciół.

- Po tym, co zrobiłaś, nie jestem zbyt przychylnie nastawiony do twoich kolejnych odwiedzin u znajomych. Dzisiaj jesteśmy gośćmi państwa Eastonów. Pożegnaniem zajmujemy się jutro.

- Czy to przyjaciele cioci Mary?

- To moi przyjaciele - uciał szybko. Obawiał się, że Aurora przejrzałaby przyczynę emocji w jego głosie, gdyby zaczął mówić o Prudence. Potrzebował czasu, żeby wymyślić, jak powiedzieć o wszystkim rodzinie.

- A skąd ty znasz kogokolwiek w Londynie? - zainteresowała się Aurora. - Od dawna tu jesteś?

- Kilka dni.

Aurora przechyliła głowę.

- Czegoś mi najwyraźniej nie mówisz, Roanie.

Roan nie umiał oszukać siostry. Odetchnął głęboko i opowiedział jej wszystko o podróży przez Anglię, przygodzie i o tym, jak się zakochał.

Kiedy skończył mówić, Aurora nie miała już zbyt wielu pytań.

- Co będzie z panną Pratt? - chciała wiedzieć.

- Nie jesteśmy nawet ze sobą zaręczeni.

- Wszyscy jednak oczekują...

- Powiem jej o wszystkim, kiedy tylko znajdziemy się w Nowym Jorku.

Aurora zacisnęła usta.

- A co na to powie ojciec?

- Obawiam się, że będzie bardzo niezadowolony z nas obojga.

Aurora wyjrzała za okno. Deszcz nie przestawał padać.

Merryton z dziećmi dołączył do sióstr przed kolacją. Prudence była pewna, że Grace opowiedziała pokrótce mężowi ostatnie wydarzenia, bo patrzył na nią z niechęcią.

- Milordzie? - zapytała.

- Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa, Pru - odparł. - Ale wolałbym o tej sprawie pomówić w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Merryton nigdy nie był wylewny, ale Prudence wyczuwała wyraźnie, jak bardzo jest niezadowolony.

- Przyjechał! - zawołała Mercy, wpadając do salonu.

- Przestraszyłaś mnie - upomniała ją Honor. - Kto przyjechał?

- Amerykanin! - odrzekła Mercy i pobiegła zobaczyć mężczyznę, który był przyczyną całego zamieszania.

Kiedy Prudence dobiegła na szczyt schodów, Roan zdjął już płaszcz i kapelusz. Popatrzył na nią i uśmiechnął się ciepło. Prudence też się do niego uśmiechnęła, choć serce jej krwawiło.

Dopiero po chwili zwróciła uwagę na jego siostrę. Panna Aurora Matheson była

całkiem ładna. Miała kasztanowe włosy i żywe, brązowe oczy. Była też podobna do Roana; miała taki sam nos i kości policzkowe. Wyglądała na zaskoczoną i szczęśliwą, kiedy cztery siostry zeszły po schodach na jej spotkanie.

- Pani Easton, miło mi panią poznać. - Ukłoniła się. - Proszę mi wybaczyć to najście.

- Przepraszam, ale to nie ja jestem panią Easton - sprostowała Prudence. - Nazywam się Prudence Cabot.

- Poznaj moją siostrę, pannę Aurorę Matheson - wtrącił Roan.

- Dużo o tobie słyszałam - przyznała Prudence.

- Mam nadzieję, że nie same złe rzeczy? Jestem w strasznym stanie. Chociaż za rogiem jest hotel, Roan nalegał, żebyśmy przyszli tu prosto z podróży.

- Bardzo mu jesteśmy za to wdzięczni - rzekła Honor.

- Nie śmiałabym się narzucać - ciągnęła Aurora. - Mam nadzieję, że takie słuchy do was nie doszły.

- To żaden kłopot, panno Matheson...

- Proszę, mówcie mi Aurora. - Siostra Roana w najmniejszym stopniu nie sprawiała wrażenia speszzonej.

- Musisz umierać z głodu - zmieniła temat Honor. - Może napijesz się z nami wina? Kolację podadzą za pół godziny.

- Dziękuję, rzeczywiście jestem głodna jak wilk. Pewnie słyszałyście wszystko o moich przygodach? - Spojrzała na brata. - Przez cały dzień nic prawie nie mieliśmy w ustach.

- Zapraszam. - Honor poprowadziła Aurorę pod ramię schodami na górę. Zaraz za nimi szła Mercy, otwarcie zafascynowana młodą Amerykanką, a na końcu Grace.

Prudence popatrzyła na Roana, a on ścisnął jej dłoń. Dopiero po chwili wziął ją pod rękę i ruszyli na górę.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak, ale to był wyczerpujący dzień. A u ciebie?

- Również - zgodziła się.

- Muszę z tobą porozmawiać, ale boję się zostawić Aurorę z nimi samą na dłużej niż minutę.

Roan miał powody do ostrożności. Przez pierwsze pół godziny Aurora rozprawiała o swoich przygodach i przepraszała za najście, ale sprawiała wrażenie całkiem nieświadomej kłopotów, jakie ściągnęła na brata, który przejechał za nią pół świata. Okazała się sympatyczna i gadatliwa. Od razu budziła sympatię. Opowiadała z entuzjazmem i łatwo można było zapomnieć, że dopiero co omal nie wzięła ślubu z przygodnie poznanym Francuzem.

Prudence żałowała nawet, że sama nie umie traktować życia tak lekko.

- Słyszałam, że drogi były nie najlepsze - zauważyła, zwracając się do Roana.

- Wydawały się jeszcze gorsze, bo brakowało mi twojego towarzystwa.

Prudence zarumieniła się trochę.

- Szkoda, że nie widziałam twojej twarzy, kiedy ją wreszcie znalazłeś!

- Na pewno była czerwona ze złości. - Popatrzył przez pokój na siostrę. - Żał mi biednego drania, który się z nią ożeni.

Podano kolację. Aurora cały czas była podekscytowana i radosna. Wcale nie sprawiała wrażenia poruszonej faktem, że przeszkodzono jej wziąć ślub. Prudence nie posiadała się ze zdumienia, jak udaje się jej nie zwracać uwagi na trudności i ból, które sprawiała swoim bliskim.

Po kolacji Roan wymówił się od dalszej konwersacji i postanowił, że razem z siostrą udadzą się na spoczynek. Była to uprzejmość, której Aurora zdawała się całkiem nieświadoma. Była jedynie rozczarowana, że wieczór dobiega końca.

- Matheson - zatrzymał go jeszcze na odchodnym George - czy możemy zamienić słowo na osobności? Lordzie Merryton?

- Oczywiście - odparł Roan i wyszedł razem z nimi z salonu.

Prudence ogarnął lęk o to, jakie sprawy będą razem omawiać. Zaraz po ich wyjściu do bawialni wszedł Finnegan.

- Pozwoliłem sobie ułożyć bagaże panny Matheson w niebieskim salonie - oznajmił.

- Pomogę jej się rozpakować - zaoferowała Prudence.

- Dziękuję. - Aurora uśmiechnęła się. - Bardzo się cieszę.

Przygotowano dla Aurory sypialnię na końcu korytarza z jasnoniebieskimi ścianami i białą pościelą. Po przeniesieniu bagaży Aurora rzuciła się na łóżko i westchnęła z rozkoszą, spoglądając na baldachim.

- Moje łóżko u Villeroyów było takie nierówne!

- Na pewno jesteś bardzo zmęczona - zauważyła Prudence.

- Odrobinę - przyznała. - Obawiam się jazdy do Liverpoolu. Tamtejsze drogi są strasznie wyboiste.

Prudence udawała, że ustawia szpargały na toaletce. Popatrzyła na Aurorę w lustrze.

- Pozwolisz, że cię zapytam... czy nie jest ci smutno?

- Smutno? - Aurora oparła głowę na łokciach. - Może odrobinę. Na pewno nie tak, jak Albertowi. Myślałam, że się rozpłaczę, kiedy nas dogonili. Biedny...Może naprawdę mnie kochał? Ojciec miał rację, oboje jesteśmy zbyt impulsywni.

- Oboje?

- Roan i ja - wyjaśniła. - On bywa bardzo zaangażowany w swoje zamysły.

Prudence nie mogła się nie zgodzić.

- Czy wiesz, że to on porozmawiał ze mną pierwszy o moim narzeczonym, panie Gundersonie? - ciągnęła Aurora. - W każdym razie to on był moim narzeczonym. Roan mówi, że teraz jest ze mnie bardzo niezadowolony...

Aurora najwyraźniej nie widziała niczego niezręcznego w mówieniu tego dnia o innym narzeczonym.

- To Roan mnie przekonał, jak ważne może się okazać to małżeństwo dla całej naszej rodziny. A także wyjaśnił, dlaczego myślimy w ten sposób o małżeństwie. Chyba łatwiej dzięki temu mnie przekonał, choć zawsze lubiłam pana Gundersona.

- To prawda - zgodziła się Prudence. - Małżeństwa zawiązuje się dla koneksji i fortuny, choć niekiedy też dla uczucia.

- Dla uczucia... - powtórzyła Aurora. - To dobre określenie. Żywię uczucie do pana Gundersona. Mam nadzieję, że Roan do panny Pratt również. Uczucie to nie



miłość. W każdym razie jeszcze nie. Dobrze powiedziane, panno Cabot.

Uczucie to nie miłość – powtórzyła w myślach Prudence. Nie wiedzieć czemu, te słowa bardzo ją zabolaly.

– Czy coś się stało? – zaniepokoiła się Aurora.

– Nie, nic... – Prudence pokręciła głową.

Aurora podeszła do toaletki i podniosła porcelanowe lustro. Zaczęła się w nim przeglądać.

– Okropnie się czuję, że pan Gunderson stracił do mnie sympatię. Teraz chyba jest jeszcze bardziej ważne, żeby Roan wypełnił swoje zobowiązanie wobec pana Pratta i ożenił się z Susanną. Chociaż nie mam co do tego żadnych wątpliwości... Roan zawsze dotrzymuje słowa. Życie jest znacznie prostsze, kiedy go sobie nie komplikujemy, prawda?

Aurora przeciągnęła się.

– Ależ ja jestem zmęczona!

– Oczywiście – odrzekła słabo Prudence. – W takim razie już sobie pójdę.

Wyszła od Aurory i przechadzała się bez celu korytarzami, rozpamiętując jej słowa. Roan był zdecydowany. Jego rodzina tego od niego oczekiwała. Aurora wyraźnie powiedziała, że na pewno dotrzyma słowa. Zapraagnęła z nim porozmawiać, ale kiedy podeszła do salonu George'a, spod drzwi sączyło się światło, a ze środka dobiegały ściszone męskie głosy.

Prudence wróciła na górę, a z każdym stopniem jej kroki stawały się coraz cięższe. Z ogromnym wysiłkiem woli dotarła do swojej sypialni i padła na łóżko. Jej myśli krążyły wokół Roana, mężczyzny, który pokazał jej świat. Czuła się tak, jakby miało pęknąć jej serce.

Deszcz przeszedł, chmury się rozwiały. Na niebie pozostał tylko samotny i szary księżyc.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Roan wracał do sypialni o wpół do dwunastej. Wspominał przekłętą kompromis, który zaproponował mu George Easton.

Mieli go za łajdaka, na co, musiał przyznać, po trosze sobie zasłużył.

Easton zajmował się handlem i był zainteresowany importem amerykańskiej bawełny. Zaproponował Roanowi zawiązanie spółki, w której ten działałby jako jego agent w Ameryce, w zamian za zostawienie Prudence w spokoju, w Anglii.

- Rozumie pan naszą troskę. Przed pięciu dniami Prudence miała odwiedzić przyjaciółkę, która powiła dziecko. Dziś chce wyjść za niemal całkiem obcego mężczyznę!

Roan z trudem powstrzymał się od uduszenia Eastona. Spróbował jednak spokojnie wyjaśnić, że wcale nie zwabił jego szwagierki w pułapkę, i zasugerował, żeby George Easton ulżył sobie z kozą.

Po tej ostatniej uwadze lord Merryton nalał trzy szklaneczki whiskey.

- Spokojnie, Matheson - odparł Easton. - Nie miej do mnie pretensji. Przecież dopiero co sam wyrwałeś swoją siostrę z podobnego związku.

- Nie jestem Villeroyem - uciął Roan. - Naprawdę myślicie, że moja oferta jest palcem na wodzie pisana? Kocham Prudence. Przyznaję, że sprawy wymknęły się trochę spod kontroli i potoczyły szybko, ale to niczego istotnego nie zmienia. Najważniejsze jest nasze uczucie... Akurat wy dwaj powinniście to dobrze wiedzieć.

Merryton i Easton wymienili spojrzenia.

Merryton rozdał szklaneczki i rzekł jedno z nielicznych zdań tego wieczoru.

- Rozważ wszystko dokładnie. Wielka odmiana przynosi wielką odpowiedzialność.

Roan wiedział to bardzo dobrze.

Otworzył drzwi do swojej sypialni i niemal podskoczył na widok Prudence. Zauważył bladość na jej twarzy, smugi makijażu i podkrążone oczu, ale zignorował to, bo wtem pragnął po prostu przy niej być jak najbliżej. Odstawił świeczkę, podbiegł i obsypał pocałunkami jej twarz. Ona jednak położyła ręce na jego piersi i odsunęła się od niego.

- Co się stało? - zapytał.

- Roanie...

- Pru... Wyglądasz na chorą! Czy... jesteś przy nadziei?

- Co takiego? Nie, nie. - Pokręciła głową.

- Na pewno?

- Tak, na pewno.

- Zatem co się stało?

- Muszę ci coś powiedzieć.

Roan opuścił ręce i zrobił krok do tyłu. Tętno mu przyspieszyło.

Prudence wzięła głęboki oddech.

- Odwiedził mnie dzisiaj lord Stanhope.

Roan był wstrząśnięty. Pierwszy raz w życiu naprawdę chciał kogoś zamordować.

- Chce pieniędzy? Chodźmy do twoich szwagrów, są jeszcze w gabinecie...

- Chce się żenić.

Powietrze w pokoju zgęstniało od napięcia. Prudence chciała dotknąć jego twarzy, ale Roan się cofnął.

- Nie rozumiem - odparł szorstko.

- To dziecinnie proste. Potrzebuje mojego posagu, żeby podnieść majątek z długów.

- Co takiego?

- Istnieje prawo, które nie pozwala odsprzedawać dziedzicom ziemi z wielkich majątków, żeby dostały je kolejne pokolenia. A Stanhope zaproponował rozsądne rozwiązanie. Potrzebuje tylko pojąć mnie za żonę.

- Przecież ja ci się oświadczyłem, Prudence! Powiedziałaś mu to?

- Oczywiście. Uważa, że byłabym głupia, gdybym odrzuciła jego propozycję i wyjechała z Anglii. A jeśli ma rację?

Roan poczuł bolesne ukłucie w sercu.

- Co masz na myśli, Prudence? - Wziął ją za rękę. - Co to ma, do cholery, znaczyć?

- Może za bardzo się pospieszyliśmy...

- To twój pomysł? A może Stanhope powiedział coś jeszcze?

Prudence otworzyła usta, ale zaraz pokręciła głową.

- To sensowna myśl, Roanie. Tutaj mieszka moja rodzina, tu mam swoje życie. Nie mogę tego wszystkiego zostawić z powodu jednego tygodnia spędzonego z tobą! A jeśli podczas tych przygód poniosła nas wyobraźnia?

Roan nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Kocham cię, Prudence Cabot - przypomniał jej. - Nie wiem, jak do tego doszło, ale pokochałem cię. Miałem nadzieję, że z wzajemnością. Dlaczego nagle uznałaś, że ten tydzień nic nie znaczył? Dlaczego jego oferta jest ci miłsza?

- Nie jest! Nigdy nie była!

- A więc może się boisz? - Pogłaskał ją po policzku. - Przyznaję, że Ameryka jest bardzo daleko, ale nie będę cię trzymał z dala od rodziny. Będziemy przyjeżdżać do Anglii na każde twoje skinienie.

Nawet dla niego te słowa zabrzmiały fałszywie. Nie miało to jednak teraz znaczenia. Prudence i tak kręciła zapamiętałe głową.

- To nie jest takie proste.

- W sypialni wszystko jest proste. Czy na pewno wyznałaś mi całą prawdę?

- Tak. Po prostu uznałam, że to praktyczne rozwiązanie.

- Do cholery! - Przyciągnął ją do siebie i chwycił za ramiona. - Jak możesz, Pru?

- Wcale tego nie chcę - odparła we łzach. - Musisz mi uwierzyć! Po prostu muszę to zrobić!

Puścił ją.

- Nie zasługuję na takie traktowanie - rzekł gniewnie.

- Wiem. - Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku.

- Jesteś samolubna, nierozważna i odebrałaś mi coś, czego nigdy już nie odzyskam. Co gorsza, przez ciebie ja to samo odebrałem tobie! Czy ten twój Stanhope

zdaje sobie z tego sprawę?

Prudence przygryzła wargę i spuściła wzrok.

- Podjęliśmy oboje wielkie ryzyko, a ty teraz przekreśliłaś to, co nas połączyło.

Słumiła szloch.

- Tak mi przykro - szepnęła.

Odsunął ją od siebie.

- Powinienem być to przewidzieć. Omotał mnie nastrój chwili, ale powinienem był wiedzieć, że nigdy nie opuścisz Anglii.

- To nie tak...

- Dobranoc - powiedział Roan i otworzył przed nią drzwi.

- Roanie...

- Dobranoc - powtórzył nieubłaganie.

Nawet nie zauważył, kiedy wyszła. Wściekłość i rozczarowanie przyćmiły mu rozum.

O świcie Roan zaczął się pakować. Zamierzał się wyprowadzić z Aurorą do hotelu, a nazajutrz wyruszyć do Liverpoolu.

Na dole zastał panią Easton, Mercy i Aurorę nadal przy śniadaniu. Nie szukał Prudence ani nie chciał jej wcale widzieć.

Przywitał się grzecznie i zrezygnował z talerza, który podsunął mu Finnegan. Nie miał apetytu. Aurorze, oczywiście, apetyt dopisywał. Roan nie mógł się nigdy nadziwić, jak łatwo zapominała o przeszłości. Bardzo dziś pragnął posiąść tę umiejętność.

Do jadalni wszedł służący.

- Powóz czeka, panno Matheson.

- Dziękuję! - odparła Aurora radośnie, nie zwracając uwagi na przerażenie, które odmalowało się na twarzy brata. Wyjaśniła mu tylko pokrótce: - Jadę pożegnać się z przyjaciółmi. Pani Easton była tak kochana, że pożyczyła mi swój powóz.

- Co takiego? Nie! - Roan krzyknął stanowczo. - Dzisiaj przenosimy się do hotelu, a jutro jedziemy do Liverpoolu. Nie mogę pozwolić, żebyś włóczyła się sama po Londynie.

- Już jutro? - zdziwiła się pani Easton.

- Nie będę się nigdzie sama włóczyła - dodała Aurora. - Jedzie ze mną Mercy.

- Proszę mi tego nie odmawiać, panie Matheson - zwróciła się do niego najmłodsza z sióstr. - Kiedy będę studiowała w akademii Lisson Grove, zabraknie mi czasu dla przyjaciół.

Wstała i podniosła rękawiczki.

- Miłego dnia, Honor. Miłego dnia, panie Matheson!

Aurora też wstała od stołu i pocałowała Roana w policzek.

- Wrócę przed drugą. Obiecuję.

Kiedy dwie rozchichotane dziewczyny wyszły z jadalni, zapadła cisza. Roan popatrzył na panią Easton.

- Jutro? - zapytała ponownie.

- Tak - odparł.

- Prudence nic nie wspominała - dodała ostrożnie.

- O niczym nie wie. Nie jedzie ze mną, może pani spać spokojnie. Proszę mi wybaczyć, ale mam przed sobą sporo przygotowań.

Uklonił się i wyszedł, zanim zdołała zadać mu jakiegokolwiek pytania. W hallu natknął się na Prudence. Stała w drzwiach do gabinetu Eastona. Przebrała się, ale wyglądała chyba jeszcze gorzej niż w nocy.

Roan przystanął. Miał nadzieję, że usłyszy od niej coś, co wszystko zmieni.

- Proszę, nie nienawidź mnie - powiedziała. - Nie chciałam cię zranić.

Roan jęknął. Ileż razy słyszał podobne słowa od Aurory!

- Nie umiałbym cię nienawidzić, Pru - odparł. - Kocham cię. Ale nie będę cię okłamywał... ani udawał, że nie jestem rozczarowany.

- Ja też jestem - odparła.

Przyglądali się sobie przez chwilę, ale nie padły już żadne inne słowa.

Roan spędził wczesne przedpołudnie na poszukiwaniu hotelu i przejazdu do Liverpoolu. Wynajął posłańca, żeby w jego imieniu nabył bilety do Ameryki i zajął się rozmaitymi sprawami, aż pozostała już tylko sama przeprowadzka.

Wrócił do domu na Audley Street, żeby się pożegnać. Zebrali się tam państwo Easton z dziećmi, Mercy oraz Prudence, która stała na uboczu. Roan wolał na nią nie patrzeć. Wyglądała, jakby była na pogrzebie.

Easton poklepał go serdecznie po ramieniu. Całkowicie zmienił swój stosunek do Roana; szczerze go nawet polubił.

- Mam nadzieję, że przynajmniej pomyślisz o mojej propozycji - powiedział, nawiązując do handlu bawełną. - Mogę ci posłać dokumenty.

Wyciągnął do Roana rękę.

- Dziękuję za gościnę - odparł Roan i ją uściśnił. Nie wspomniał o współpracy handlowej. Nic go nie obchodziła.

Pani Easton uśmiechnęła się z sympatią. Trzymała na rękach najmłodszego syna.

- Niech Bóg pana prowadzi, panie Matheson - powiedziała. - Szczęśliwej podróży, panno Matheson.

- Mam nadzieję, że pogoda będzie nam sprzyjać - odparła beztrósco Aurora. - To taka długa podróż!

- Potrwa czterdzieści dni, przy odrobinie szczęścia - dodał Roan nieobecny głosem.

Kiedy Finnegan pomagał Aurorze wsiąść do powozu, Roan zwrócił się do Prudence.

- Pru... - rzekł. - Brak mi słów.

Przygryzła drżącą wargę.

- Wybacz mi, proszę. Przeżyłam z tobą najlepsze dni mojego życia. Zawsze będę ci za to wdzięczna.

- Och, Pru! - odparł ze smutkiem - na cholerę mi twoja wdzięczność?

Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru welinowego i włożył jej w dłoń. Mógł jej dać już tylko te słowa, które kreślił aż do samego świtu. Złożył jej palce na liście.

- Kocham cię, Pru. I zawsze będę cię kochał. Pamiętaj o tym.

Roan był świadomy tego, że otaczają ich ludzie, przypadkowi przechodnie, a także Finnegan i cała rodzina Prudence. Nie dbał o to. Chwycił ją nagle, uniósł w po-

wietrze i zaczął całować, nie mógł się powstrzymać. Wycałowywał usta, policzki i szyję. W końcu oderwał się od niej i odwrócił do niej plecami. Bał się, że inaczej by nie przestał. Wskoczył do powozu i dał sygnał do odjazdu.

Konie ruszyły.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Aurora, spoglądając na niego zdumiona.

Roan jednak wcale się nie czuł dobrze. Serce waliło mu jak młotem, oddychał płytko. Wyjrzał za okno, nie odpowiadając na pytanie.

Prudence nie ruszyła się z miejsca. Kurczowo trzymała w rękach list.

Aurora też ją zobaczyła.

- Nie smuć się, Roanie. - Położyła mu rękę na udzie. - W Londynie dżentelmenów nie brakuje. Jest piękna i dobrze urodzona, więc na pewno będą się do niej ustawiały kolejki. A tymczasem ty ożenisz się z Susanną Pratt. Tak jak planowałeś.

Roan zacisnął zęby, żeby stłumić cisnące mu się na usta przekleństwo.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Prudence patrzyła za powozem Roana, aż zniknął jej z oczu. Stałaby tak cały dzień, gdyby nie Honor, która objęła ją i wprowadziła do domu.

- Chodź, napijemy się herbaty - zaproponowała.

- Nie, dziękuję. Muszę odpocząć - wymówiła się Prudence. - Nie najlepiej spałam.

Kiedy została sama w pokoju, zwymiotowała ze zdenerwowania. Potem długo płakała.

Po jakimś czasie odwiedziła ją Honor. Chciała pocieszyć siostrę, ale Prudence nie ruszyła się z łóżka i nie pozwoliła otworzyć zasłon.

- Na litość boską, Honor, daj mi spokój - błagała.

- Chcę ci tylko pomóc.

- Nie możesz - odparła Prudence ze złością. - Nikt nie może. Po prostu mnie zostaw.

Minęło kilka godzin, zanim znalazła w sobie dość odwagi, żeby przeczytać list od Roana. Miał zamaszysty charakter pisma.

*Najdroższa Prudence!*

*Jest trzecia nad ranem i został już tylko ogarek świeczki. Leżąc w łóżku, sam, obok zimnego, pustego miejsca obok, ułożyłem w myślach piękny list, który oddawał moje uczucia do ciebie. Ale kiedy wstałem, żeby go zapisać, elegancja sformułowań całkiem mi umknęła. Nie jestem w stanie opisać głębi tych uczuć. Czy to miłość? Być może tak, ale nie bardzo znam się na sprawach serca. Wiem tylko, że cię uwielbiam. Zrobiłbym dla Ciebie wszystko, Prudence, i już zawsze będzie mi Ciebie brakowało.*

Czytała list raz po raz, popłakując. Następnego dnia udało się jej podnieść z łóżka. Ubrała się, a nawet pozwoliła się Honor zaciągnąć na wizytę u Augustine'a i Moniki.

- Moja droga Prudence - zawołał Augustine i ją uściskał. - Jestem przeszczęśliwy. Odwiedził mnie lord Stanhope, żeby porozmawiać o warunkach małżeństwa!

Augustine nie dostrzegał jej cierpienia. Najważniejsze, że problem młodszej siostry sam się rozwiązał.

- Przyjmiesz jego oświadczyzny? - zapytała Monica, patrząc na Prudence ciekawie.

- Dlaczego by nie? - Prudence wzruszyła ramionami. - Wszyscy mężczyźni są sobie warci.

Augustine roześmiał się głośno, a Prudence zapatrzyła się w okno.

Przez kilka dni do niczego innego nie umiała się zmusić. Obok niej życie toczyło

się zwyczajnym rytmem. Stanhope dwa razy przychodził w odwiedziny, ale Honor informowała go, że Prudence zaniemogła.

- Nie mogę go bez końca zwodzić - poskarżyła się, przechadzając się przed młodszą siostrą. - Co dalej zamierzasz?

- To, co powiedziałam. Wyjdę za niego za męża.

Honor zatrzymała się i popatrzyła siostrze w oczy.

- Prudence...

- Daj spokój, Honor. Nie chcę o tym rozmawiać.

Na dzień przed zaplanowanym powrotem Merrytona i Grace do Blackwood Hall, Stanhope odwiedził ją po raz trzeci. Tym razem Finnegan przyniósł wiadomość wprost do niej, bo nikogo innego nie było w domu. Prudence westchnęła, odgarnęła nieuczesane włosy i poszła bosą do salonu, żeby się z nim zobaczyć.

Stanhope wydawał się zaskoczony jej wyglądem.

- Dzień dobry - powiedział, przyglądając się sukience w nieładzie i rozpuszczonym włosom. - Słyszałem, że Amerykanin wyjechał. Teraz widzę, że to prawda.

Prudence patrzyła na niego beznamiętnie. Nie robił już na niej żadnego wrażenia. Czekala tylko, żeby powiedział, z czym do niej przyszedł.

- Czy rozważyła pani moją propozycję?

- Oczywiście.

- A zatem...?

- Przyjmuję ją, oczywiście. Nie mam innego wyjścia.

Uśmiechnął się niemal ze współczuciem.

- Rozumiem, że to teraz dla ciebie trudne, ale na pewno przyzwyczaisz się do tej sytuacji.

- Nie - odparła chłodno. - Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. I przyjdzie panu dźwigać ten krzyż, milordzie.

Posłał jej łaskawy uśmiech, jakby przechodziła atak nerwowy.

- Nie jestem bez serca - powiedział, podchodząc bliżej. - Dam ci czas, żebyś opłakała utratę kochanka.

- To niezwykle uprzejme z twojej strony.

Podniósł jej rękę i ucałował delikatnie, nie spuszczając jej z oczu. Potem pochylił się i pocałował ją w policzek. Przyłożył ciepłe i miękkie wargi do jej skóry i nie cofnął się, dopóki Prudence nie otrząsnęła się z obrzydzenia.

- Będę dla ciebie dobry, Prudence - powiedział cicho z ustami w jej włosach. Dam ci wszystko, czego zapragniesz. Nie będzie od ciebie szczęśliwszej żony.

Prudence roześmiała się niewesoło.

- Nie uda ci się to.

- Mogę cię zaskoczyć.

- Nie kocham pana, milordzie. I nigdy pana nie pokocham.

Uśmiech Stanhope'a zbladł. Odsunął się od Prudence i oparł wygodnie.

- Na szczęście miłość nie jest niezbędna w naszym układzie. Spotkałem się z Beckingtonem, a dzisiaj po południu porozmawiam o warunkach z Merrytonem. - Podniósł się i poszedł do wyjścia, ale zatrzymał się jeszcze. - Spotkałem po drodze Mercy. Jest bardzo szczęśliwa, że będzie się uczyć w Lisson Grove. Bardzo mnie to cieszy.



- Tak - zgodziła się Prudence. - Ma dużo szczęścia.

Odwróciła się od niego i zapatrzyła za okno. Dosłownie w następnej chwili w salonie zjawily się Honor i Grace.

- Prudence! - zawołała Honor i podbiegła do siostry. - Finnegan mówił, że odwiedził cię Stanhope!

- Tak.

Honor spojrzała na Grace.

- I co?

- Zgodziłam się - odrzekła Prudence bez emocji.

- Och, nie! - szepnęła Grace i usiadła naprzeciwko na krześle. - Co ty robisz, Pru? Co się stało z miłością?

Prudence zaśmiała się z goryczą.

- A co się miało stać? Wiele małżeństw zawiązuje się bez niej.

- Nie mówisz chyba poważnie - wtrąciła Honor.

- Mówię całkiem poważnie. Dlaczego nie miałabym go przyjąć? Najpewniej nigdy nie dostanę następnej propozycji, a Stanhope przynajmniej wie o mnie wszystko. Mam do końca życia żałować miłości, od której dzieli mnie ocean? Snuć się jak zjawą po Blackwood Hall? Muszę coś zrobić ze swoim życiem, nie mogę ciągle stać w miejscu. Wiecie, jakie to trudne?

- Przecież go kochasz! - zawołała Grace.

- Nie bądź taka melodramatyczna - zbyła ją Prudence. - Nie kochałaś Merrytona, kiedy za niego wyszłaś. A teraz kochasz. Mama wyszła za hrabiego i bardzo go pokochała.

- Ale mama wyszła za tatę z miłości. Za hrabiego wyszła z konieczności.

Prudence wzruszyła ramionami.

- W takim razie ja też wyjdę za hrabiego z konieczności. Tak samo jak ona. Na tak dobrą partię przed dwoma tygodniami nie mogłam nawet liczyć.

- Ale nie tego pragniesz! - nie dawała spokoju Honor.

Prudence pokręciła głową.

- Nie zniosę tego - odezwała się nagle Grace. - Idziemy, Honor.

- Ale dokąd?

- Po prostu chodź - zakomenderowała Grace. - I tak nas nie słucha.

Z tymi słowy wyprowadziła Honor za łokieć z pokoju.

Prudence próbowała sobie wyobrazić ślub ze Stanhope'em. Pewnie obecna będzie tylko najbliższa rodzina. Nie interesowało jej wcale, kiedy i gdzie się to odbędzie. Przez chwilę pomyślała o nocy poślubnej i wyobraziła sobie Stanhope'a w koszuli nocnej, kiedy stara się wejść w ciało, które go nie pragnie. Ogarnęły ją mdłości.

- Prudence.

Przestraszyła się. We drzwiach stał lord Merryton. Nie usłyszała, kiedy się pojawił. Jak zawsze był nienagannie ubrany, a czarny fular na białej koszuli sprawiał, że jego włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze.

- Milordzie - przywitała go i potarła policzek, żeby zamaskować rumieniec.

Merryton wszedł do pokoju, ale zachował dystans. Nigdy nie podchodził blisko. Przez chwilę przyglądał się Prudence.

- Przejdę do rzeczy. Byłem na ciebie bardzo rozgniewany za to, że uciekłaś.

- Wiem. Przepraszam...

Podniósł rękę, powstrzymując ją przed mówieniem.

- Byłem rozgniewany, ale zrozumiałem, dlaczego to zrobiłaś. Teraz jednak moja żona przyszła do mnie bardzo zdenerwowana. Dowiedziałem się od niej, że przyjęłaś oświadczyzny Stanhope'a. Czy to prawda?

Prudence pokiwała głową.

- Chce nas odwiedzić, żeby omówić warunki. - Merryton machnął ręką, jakby ta sprawa nic dla niego nie znaczyła. - Kochasz go?

- Słucham? Nie! - odparła zdecydowanie. Nauczyła się już, że rozmawiając z Merrytonem, należy mówić szczerze i bezpośrednio. Nie interesowały go czcze pogawędki.

- Kochasz Amerykanina?

Prudence westchnęła. Nie było sensu zaprzeczać czemuś równie oczywistemu.

- Kocham.

Merryton zmrużył oczy.

- Wybacz, że pytam, ale skąd ta pewność? Skąd wiesz, że to nie jest zwykłe zauroczenie?

- Po prostu wiem. Czuję to - odrzekła, kładąc rękę na sercu. - Nie przypomina żadnego innego uczucia. Czuję się tak, jakbym go znała lepiej, niż to jest w ogóle możliwe. To, że on jest tak daleko ode mnie, nie pozwala mi oddychać, chociaż oddycham pomimo to. Na pewno myślisz, że jestem głupia...

- Przeciwnie. Chyba dobrze opisałaś miłość. Nie znam natury waszego związku z Amerykaninem, ale wiem jedno. Przez intrygę twojej siostry mogłem ożenić się z niekochaną kobietą. Wiem, że wtedy moje życie byłoby zaledwie ponurym cieniem tego, czym jest teraz. Miłość rozjaśniła mi je bardziej, niż kiedykolwiek mógłbym w to uwierzyć.

Prudence była zaskoczona. Nigdy nie słyszała, żeby Merryton tak otwarcie mówił o uczuciach.

- Jeśli kochasz Mathesona, powinnaś wyjść za niego, Pru. Nie za Stanhope'a.

- Ale on wyjechał. Już odpłynęli! Nie mogę się wybrać sama za ocean, i to bez zaproszenia, po to tylko, żeby go odnaleźć.

Merryton wydawał się rozbawiony.

- Teraz nagle dopadły cię skrupuły?

Prudence zbladła.

- Nie, ale... nigdy nie byłem na morzu - odparła niepewnie. - Miałabym popłynąć sama?

- Nowy statek Eastona za dwa tygodnie wyrusza w dziewiczy rejs do Nowego Jorku. Możesz być na pokładzie. Kapitan na pewno dobrze się tobą zaopiekuje.

- Za późno, milordzie! Co będzie, jeśli się w tym czasie oświadczy albo pojedzie do Kanady... tyle może się wydarzyć!

- Jeśli nawet uda mu się ożenić w tak krótkim czasie albo wyjedzie, albo Bóg wie co jeszcze, statek George'a wróci do Anglii.

- A co będzie z wami? Z moimi siostrami, z ich dziećmi i z moją matką? Przecież nie mogę was wszystkich zostawić.

- Będziemy za tobą bardzo tęsknili - zgodził się. - Ale prawda jest taka, że Grace i Honor mają już swoje rodziny. Mercy już za dwa tygodnie będzie uczęszczała do Lisson Grove. A co do twojej matki, to wiesz równie dobrze jak ja, że ona nawet nas nie rozpoznaje. Hannah jest jej oddana i dobrze się nią zaopiekuje. Jestem też przekonany, że dopóki jeszcze była przy zdrowych zmysłach, najbardziej na świecie pragnęła twojego szczęścia.

Prudence nie mogła uwierzyć, że szczęście jest jeszcze możliwe.

- Nie mogę.

Merryton milczał, dając jej czas na wyjaśnienie.

- Stanhope zagroził... powiedział, że jeśli za niego nie wyjdę, dopilnuje, żeby Mercy została wydalona z Lisson Grove.

Merryton ściągnął groźnie brwi.

- Słucham?

- Powiedział, że jego rodzina wspiera tę szkołę od pokoleń i wystarczy jedno jego słowo, żeby jej marzenie na zawsze się rozwiało. Wymógł na mnie, żebym wzięła z nim ślub.

Merryton patrzył na nią przez chwilę w zamyśleniu.

- Dlaczego nikomu o tym nie powiedziałaś? - zapytał w końcu.

- Nie chciałam, żeby Mercy się dowiedziała...

- Nie przejmuj się tym. Załatwię tę sprawę. Ale jeśli tylko z tego powodu oddaliłaś Amerykanina, powinnaś chyba przemyśleć swoją decyzję.

Odwrócił się do drzwi. Wtedy Prudence podbiegła nagle do niego i wzięła go za rękę. Zaskoczony Merryton odwrócił się znowu, a ona zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała w policzek.

- Dziękuję, milordzie! Bardzo, bardzo dziękuję!

Merryton zeszywniał i cofnął się o krok.

- Proszę, kochanie - odrzekł po prostu i wyszedł.

Prudence stała tam, gdzie ją zostawił. W głowie kotłowały się jej gorączkowe myśli, a serce biło tak szybko, że aż sprawiało jej ból.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Nowy Jork*

*Dwa miesiące później*

Pan Gunderson jeśli nawet miał jeszcze jakąś nadzieję, to cierpliwość stracił na pewno, gdy Aurora wyznała mu, że w międzyczasie prawie wyszła za mąż za spotkanego w podróży Francuza.

W czasie, kiedy Roan próbował w Anglii znaleźć siostrę, pan Gunderson i panna Pratt nawiązali znajomość i wkrótce doszli do porozumienia, które ułatwiła im podobna sytuacja życiowa. Mieli się pobrać.

Firma Matheson Lumber nie stworzyła imperium, które z taką pieczołowitością zaplanował ojciec Roana.

- Powiniennem cię posłać do ciotki w Bostonie! - złościł się na Aurorę. Roan chyba pierwszy raz w życiu słyszał, żeby ojciec podniósł na nią głos.

Aurora przeprosiła całą rodzinę za swoje zachowanie. Zresztą zawsze przeproszała za swoje wybryki.

- Po co mu mówiłaś o Francuziku? - wypomniał jej brat Roana Beck. - Już i tak miał z tobą na pieńku. Teraz nas wszystkich nienawidzi!

- Nie sądziłam, że powinnam go okłamywać - wyznała Aurora. - Chciałam mu wyjaśnić, że to było tylko chwilowe zauroczenie, ale nie dał sobie nic powiedzieć.

Dla Aurory było już zdecydowanie za późno, ale Roan udał się jeszcze do Susanny, żeby przeprosić ją oraz jej ojca. Okazało się jednak, że ona też chciała go przeprosić.

- Przykro mi - powiedziała, patrząc na niego swoimi małymi oczkami. - Jednak nigdy nie odniosłam wrażenia, żebyś mnie naprawdę cenił.

Matheson przyglądał się niskiej i ciemnowłosej kobiecie, ale przed oczami miał cały czas obraz olśniewającej Prudence o zniewalającym uśmiechu.

- Obawiam się, że nie mieliśmy okazji dość dobrze się poznać - odparł.

Susanna tylko skinęła głową. Roan nie wiedział, czy zgadzała się z nim, czy tylko sygnalizowała, że go rozumie. Zateśknił za otwartością i bezpośredniością Prudence.

- Wybacz mi, Susanno - dodał jeszcze.

Skinęła znowu i odprowadziła go do drzwi.

Kiedy opowiedział o wszystkim bratu i siostrze podczas konnej przejażdżki, Aurora była zbulwersowana.

- Jak mogła tak do ciebie mówić? To chyba oczywiste, że ją trochę ceniłeś. Zaczynam żałować, że w ogóle broniłam jej przed panną Cabot.

Roan podniósł głowę.

- Co takiego?

Złapał jej konia za uzdę i zatrzymał oba wierzchowce.

- Roanie, co ty robisz?

- Przypomnij sobie, co powiedziałaś Prudence o Susannie, dobrze? Kiedy to było?

Aurora przybrała żaloszny wyraz twarzy.

- Myślałam, że robię dobrze - dodała szybko. - Tak bardzo narozrabiałam! Chciałam, żebyś chociaż ty dotrzymał słowa.

- O czym ty mówisz? - ryknął Roan.

- Roanie - próbował go mitygować Beck, ale Roan nie puścił konia Aurory.

- Wczorom, kiedy przyjechaliśmy do Londynu, mogłam przypadkiem powiedzieć pannie Cabot, że jesteś zaangażowany i masz o Susannie bardzo wysokie mniemanie...

- To kłamstwo!

- A... a skąd ja to miałam wiedzieć? - zająknęła się Aurora. - Myślałam, że trochę ci na niej zależało, skoro zgodziłeś się ją poślubić. Zależy mi na dobru naszej rodziny, więc pomyślałam, że przyda się pannie Cabot mały impuls, żeby dać ci spokój.

Roan popatrzył na siostrę pustym wzrokiem. Nie mógł uwierzyć w to, co zrobiła. Puścił uzdę jej konia i popędził przed siebie, żeby być jak najdalej od niej. Wołała za nim, ale nie zwracał na to uwagi.

Roan nie wiedział, czy bardziej jest zły na Aurorę, czy na Prudence. Aurora opowiedziała bajeczkę, a Prudence nawet go nie zapytała, czy to prawda. Najbardziej jednak miał żal do siebie, że o nią nie walczył. Przyjął jej odmowę i poddał się. Przez ostatnie dwa miesiące co dzień sobie to wyrzucał.

Choć sprawiał pozory pewności siebie, w głębi duszy czuł pustkę. Kiedy wyobrażał sobie Prudence zamężną, w ramionach innego mężczyzny, cierpiał niewypowiedziane katusze. Bolała go myśl, że mogła zapomnieć o ich wspólnym tygodniu i znowu się uśmiechać.

Roan tymczasem zdążył już zapomnieć, jakie to uczucie.

Ojciec mówił jeszcze przez jakiś czas o wysłaniu Aurory do Bostonu, w końcu jednak córka przemówiła mu do rozsądku.

- Susanna Pratt i Sam Gunderson biorą w przyszłym tygodniu ślub. Wszyscy jesteśmy zaproszeni. Nie mogę go opuścić, tato. Wszyscy by pomyśleli, że chowam urazę. Chyba zależy ci na tym, żeby jej ojciec nie odniósł takiego wrażenia?

- Aurora zostaje - ogłosił Matheson senior całej rodzinie podczas kolacji. - Jeśli nie pójdzie na ślub, wszyscy pomyślą, że się obraziła. Nie chcę, żeby jej ojciec w to uwierzył, szczególnie kiedy tak bardzo zależy nam na podtrzymaniu dobrych relacji i wspólnych interesach.

Aurora uśmiechnęła się do braci z odrobiną wyższości. Roan i Beck przewrócili oczami. Tak było przez ich całe życie i nauczyli się już, że nie warto się temu przeciwstawiać.

Wesele miało się odbyć w nowojorskim City Hotel. Tylko on mógł pomieścić tylu gości. W takim wydarzeniu chcieli wziąć udział wszyscy nowojorczykcy. Roan wołałby rodzinne spotkanie, które szybko by dobiegło końca i pozwoliłoby mu nie myśleć zbyt długo o Prudence.

Wciąż widywał ją na ulicy. Każda jasnowłosa kobieta, którą napotkał, przez ułamek sekundy stawała się Prudence. W przeddzień wielkiego ślubu Roan nocował u rodziców przy Broadway Street. Nie zamierzał zbyt długo pozostawać w mieście.

Wkrótce miały się rozpocząć rozmowy na temat budowy kanału. Planował wybrać się samotnie na północ, ze strzelbą i być może w towarzystwie jednego z rodzinnych psów. Tam, na pustkowiu, zamierzał raz na zawsze rozprawić się ze swoją słabością. Przez wiele tygodni nie napotkałby ani jednej jasnowłosej kobiety...

Kiedy przyjechał po południu do domu rodziców, kamerdyner Martin wręczył mu na tacy kopertę i powiedział, że chciał się z nim widzieć niejaki pan Lansing.

- Kto to taki? - zapytał.

- To kapitan jednostki, która zawinęła do portu. Powiedział, że przybył w imieniu pana George'a Eastona.

- Dziękuję, Martinie - rzekł Roan.

Powściągając emocje, przeszedł do biblioteki i drżącymi rękami rozpieczętował list. Znalazł w środku jedynie dokumenty odnośnie do handlu bawełną i krótką notatkę z nadzieją na nawiązanie kontaktów handlowych.

Ani słowa o Prudence.

Ślub Susanny Pratt i Sama Gundersona odbył się w kaplicy. Weselny poczęstunek podano w City Hotel. Pod oknami zebrały się tłumy gapiów, żądne widoku panny młodej i nowojorskiej śmietanki towarzyskiej.

W środku znajdował się Roan Matheson, ubrany w najlepszy ciemny garnitur z jedwabną kamizelką i odliczał minuty do końca tej piekielnej ceremonii. W następnej kolejności zamierzał porządnie się upić.

Aurora zabawiała starego Gundersona. Roan dostrzegł nawet cień uśmiechu na jego twarzy i pokręcił głową z niedowierzaniem. Jego siostra była w stanie oczarować każdego.

- Toast! - zawołał pan Pratt, który nie oszczędzał tego popołudnia na szampanie.

- Ty powinienes go wznieść, panie Roanie Matheson. W końcu tobie właśnie zawdzięczamy szczęście naszej córki!

Cała sala wybuchnęła śmiechem. Najwyraźniej wszyscy słyszeli już plotki.

Roan stłumił jęk i podszedł do Susanny. Musiał przy tym przyznać, że jaśniejac szczęściem, w sukni ślubnej, wyglądała dużo piękniej niż kiedykolwiek wcześniej.

Uniósł kieliszek i życzył jej i Gundersonowi wielu szczęśliwych lat wspólnego życia. Kiedy spełniono toast, został podany obiad dla tłumu gości.

Roan pomyślał, że gdyby to był jego ślub, posiłek zjedliby z Prudence sami, w pokoju hotelowym, a towarzyszyłaby im tylko pokojówka, która dolewałaby do wanny gorącą wodę.

- Coś ty taki ponury? - zapytała go Aurora. Zatopiony w myślach, nawet nie zauważył, kiedy do niego podeszła. - Co się stało?

- Jestem znudzony.

- Naprawdę? - Najwyraźniej mu nie uwierzyła. - A mnie się zdawało, że to piękne wesele. Panna Pratt wygląda olśniewająco.

Roan uśmiechnął się.

- Czy to nie dziwne, że jesteś znudzony? - zainteresowała się.

- Czy to nie dziwne, że się dobrze bawisz? - nie pozostał jej dłużny.

- O, to wszystko należy już do przeszłości. - Aurora machnęła ręką. - Miałam okazję wyrazić szacunek wobec pana Gundersona i żal, że zraniłam jego uczucia.

Odparł, że jestem niepoprawna, ale przyznał, że od początku był o tym przekonany.

- Myślę, że cały Nowy Jork nie ma już co do tego żadnych wątpliwości.

Aurora roześmiała się.

- Cieszę się ich szczęściem. Naprawdę się kochają. Co mi przywodzi na myśl...

Wiesz, widziałam coś niezwykłego.

- Co? - zapytał Roan bez zainteresowania.

- Widziałam kobietę, która mogłaby być bliźniaczką panny Cabot. Wyobrażasz sobie? Tutaj, w Nowym Jorku! Przypominam sobie, że była wyjątkowo ładna...

Roan miał wrażenie, że czas się dla niego zatrzymał.

- Gdzie? - wychrypiał.

- Na zewnątrz, na chodniku - odparła Aurora i wskazała jedno z okien.

Roan odwrócił się natychmiast.

- Jejku, Roanie, to nie była ona - próbowała go uspokoić siostra. - Po prostu ktoś, kto ją przypominał. Nie wiedziałam, że tak cię to wzruszy.

Roan upuścił kieliszek tam, gdzie stał, i rzucił się do drzwi, rozpychając kilku gości. Jakaś kobieta krzyknęła za nim, ale on był już na zewnątrz. Zbiegł po kilku stopniach i rozejrzał się. Panował ścisk, wszyscy chcieli zajrzeć na tak wyjątkowe przyjęcie.

Roan zwątpił w swoje zdrowe zmysły. Uznał, że Aurora miała rację. Gdyby tu była, na pewno zasłużyłaby na wzmiankę w liście od kapitana.

Poczuł się głupio.

Już chciał zawrócić do hotelu, kiedy jego uwagę przyciągnęła jasnowłosa kobieta w kapelusiku, kolejna Prudence, jakich widywał już w Nowym Jorku dziesiątki.

Mimo to zawołał:

- Prudence!

Zaczął przepychać się przez zbiegowisko.

- Prudence! - zawołał jeszcze raz. Dobiegł do niej i złapał kobietę za ramię.

- Pan wybaczy! - rzuciła obca kobieta.

Roan wyrzucał sobie, że znowu dał się nabrać. Postanowił, że od tej chwili nie podda się już ani razu podobnemu złudzeniu. Nadeszła pora, żeby ponownie wziąć życie we własne ręce.

- Bardzo przepraszam, pomyliłem z kimś panią.

Odwrócił się od niej.

W tym momencie jego serce na chwilę przestało bić.

Tuż przed nim, na chodniku, stała Prudence. Patrzyła na niego zaskoczona. Roan zaniemówił; nie wiedział nawet, czy to nie kolejna zjawka.

- Przepraszam - powiedziała i położyła rękę na piersi.

- Pru? - Roan nie rozumiał, co miała na myśli.

- Nie powinnam była przyjeżdżać - dodała szybko. - Nie zrozumiałam, co się miało zdarzyć w City Hotel...

- To naprawdę ty? - Roan zapytał głupio. Nie mógł pojąć, skąd się tu wzięła.

- To moja wina, Roanie. Znowu to zrobiłam! - Roześmiała się nerwowo. - Nie będę cię zatrzymywała. Jesteś przecież... zajęty. Miałam po prostu nadzieję, że nadal coś do mnie czujesz.

Zamilkła. Tymczasem Roan zrozumiał, że to nie jest sen. Ludzie mijali ich z prawa

i z lewa, niektórzy się odwracali, żeby się im lepiej przyjrzeć.

- Nie mogę uwierzyć, że cię widzę! - powiedział. - Kiedy przyjechałaś? Jesteś tu sama?

- Jestem taka głupia - wyznała ze smutkiem.

- Głupia? - powtórzył.

- Nie próbuj na siłę oszczędzać moich uczuć. Nie jestem tego warta. Widziałam cię przez okno, Roanie!

- Co widziałaś? - Roan spojrział przez ramię na hotel.

- Ciebie i twoją żonę! - wybąkała.

- Co? Nie! Nie, nie, Pru, to nie ja się ożeniłem z Susanną Pratt, tylko Sam Gundersen. Ja tylko wznosiłem toast.

Jedną rękę podniósł w górę, a drugą objął niewidzialną Susannę.

- Myślałaś, że to mój ślub? Po tym wszystkim, co się wydarzyło w Anglii? To niemożliwe.

- Nie? Ale Aurora powiedziała...

- Nigdy nie słuchaj tego, co opowiada Aurora. Prudence, nic się nie zmieniło od czasu, kiedy wyjechałem z Anglii. Codziennie umierałem z tęsknoty do ciebie!

Powoli na jej twarzy zaczął pojawiać się uśmiech.

- I nie masz mi za złe, że przyjechałam?

- Żartujesz? - Podeszedł do niej bliżej. - Mogę myśleć tylko o tobie, Prudence Cabot. Wspominam każdą chwilę, którą spędziliśmy razem, zadręczam się wyrzutami, że cię zostawiłem, nie mogę się doczekać końca każdego dnia, bo wyobrażam sobie, że wyszłaś za innego. Gdzie on jest? Czy Stanhope przyplłynął razem z tobą?

- Nie! - zawołała przerażona. - Och, tyle mam ci do opowiedzenia. Roanie, ja też myślałam tylko o tobie.

Roan ponownie poczuł bicie serca, które napełniło go nieposkromioną energią.

- Chodź! - Wziął ją za rękę. - Tu niedaleko jest tawerna...

- A co z weselem?

Uśmiechnął się.

- Nikt tam nie będzie za mną tęsknił.

W tawernie Roan zamówił dwa kufle piwa. Prudence swojego prawie nie tknęła. Opowiadała mu wszystko, co się wydarzyło po jego wyjeździe, także o szczegółach propozycji Stanhope'a i jego szantażu.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Nie wierzyłam, że można coś na to poradzić.

Wyjęła z kieszeni list, który jej zostawił. Był poprzecierany, najwyraźniej czytała go wiele razy.

- Tylko on trzymał mnie przy życiu - wyznała. - A na koniec to Merryton mnie przekonał, żebym tu przyjechała.

- Merryton?! - Roan nie mógł uwierzyć.

Opowiedziała mu, jak wyciągnął od niej prawdę i pomógł podjąć właściwą decyzję.

- Dzięki Bogu! A co się stało ze Stanhope'em?

Prudence wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Grace wspomniała, że miał wielki dług karciany i podobno Merryton zagroził, że go zrealizuje. A Stanhope oczywiście nie ma czym zapłacić. Jakoś doszli



do porozumienia.

- A co z Mercy?

Twarz Prudence pojaśniała z radości.

- Kiedy wyjeżdżałam, była ze swoją klasą w drodze do Włoch. Jest bardzo szczęśliwa. Marzy o podróżach i malowaniu. - Zamilkła. - Wyruszyłam w rejs trzy tygodnie po tobie, ale podróż przeciągnęła nam się o tydzień. Tak bardzo chciałam cię zobaczyć, że wolałam nie wysłać listu. Kiedy tylko mogłam, sama pojechałam pod adres, jaki wynalazł dla mnie agent George'a. Tam kamerdyner wyjaśnił mi, że udałeś się do City Hotel. Chyba był wstrząśnięty moim nagłym pojawieniem się, bo zapomniał nawet wspomnieć o ślubie.

- Nie wyobrażasz sobie, ile miałem bezsennych nocy - odpowiedział Roan. - Kiedy wróciliśmy do Nowego Jorku, okazało się, że moja i Aurory umowa jest już praktycznie rozwiązana. Wszystko mi było jedno, bo i tak nie mógłbym się ożenić z Sanną. Nie byłbym w stanie żyć z kobietą, której nie kocham.

- Och, Roanie. - Wzięła go za rękę. - To chyba sen. Nie mogę uwierzyć, że jesteś tu przy mnie. Wybacz, że cię zawiodłam...

- To nieważne - odparł Roan. - Powiedz mi tylko jedno. Czy ty mnie kochasz?

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Kocham cię nad życie. Nie powinnam pozwolić ci odejść, zanim tego ode mnie nie usłyszałeś. A ty kochasz mnie jeszcze?

- Całym sobą - odparł. - Gdzie się zatrzymałaś?

- Kapitan zarezerwował mi pokoje w Harsinger Hotel. To całkiem niedaleko...

- Dobrze wiem, gdzie to jest.

Wstał i wziął ją za rękę. Prudence ze śmiechem pozwoliła się wyprowadzić na zewnątrz.

Portier w hotelu popatrzył na nich krzywo, ale poznał po garniturze Roana, że jest on człowiekiem zamożnym. Otrzymał też banknot, więc odwrócił wzrok, kiedy szli do jej pokoju.

Prudence odrzuciła czepek, Roan zdjął jej z ramion spencer i zaczęli się całować i dotykać. Po chwili byli już razem na łóżku.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś ze mną, Pru. Nareszcie znowu jestem sobą - wyznał, całując ją w szyję.

- Byłam taka nieszczęśliwa, odkąd wyjechałeś... - szepnęła i zanurzyła palce w jego włosach. - Nigdy w życiu nie cierpiałam bardziej.

- Wyjdź za mnie, Pru. Jesteś już tutaj... Proszę...

- Tak, pobierzemy się - zgodziła się i wzięła jego twarz w dłonie. - Kocham cię i zawsze będę cię kochała.

Uśmiechnęła się do niego łobuzersko tak jak pierwszego dnia, gdy się poznali, i Roan poczuł, że jest w niebie.

## EPILOG

Po popołudniu spędzonym w Harsinger Hotel sprawy potoczyły się bardzo szybko. Najpierw Roan zajął się zorganizowaniem ślubu. Z pomocą ojca udało się zakończyć wszystkie przygotowania bardzo szybko. Prudence wydawało się zabawne, że rodzina Mathesonów praktycznie z dnia na dzień dowiedziała się, że Roan żeni się z Angielką. Mieli też niewiele czasu, żeby się z tą myślą oswoić, bo niemal natychmiast młodzi państwo Matheson wyruszyli konno na północ.

Prudence bardzo się to spodobało. Za radą Aurory pojechała w spodniach. Czuła się w nich doskonale i podobała się Roanowi.

Noce też były dla niej cudowne. Spali razem, ich wierzchowce były przywiązane obok siebie, a u ich stóp leżały dwa wierne psy. Przypominało to Prudence ich pierwszą wspólną noc pod gwiazdami. Tyle tylko że było lepiej.

- To najwspanialsza przygoda w moim życiu - zawołała pewnego dnia.

Roan uniósł ostrzegawczo brew.

- No, dobrze - poprawiła się i udobruchała go pocałunkami. - Druga najwspanialsza.

Kiedy po miesiącu wrócili do Nowego Jorku, usłyszeli niezwykle wiadomości. Okazało się, że młodszy brat pana Gundersona, Ben, był podczas wesela tak oczarowany pięknnością Aurory, że zakochał się w niej bez pamięci. Pobrali się w sylwestra, dokładnie sześć tygodni po ślubie Roana i Prudence.

Wszyscy zgodnie uważali, że bardzo dobrze się stało, bowiem Aurora urodziła pierwsze dziecko dość wcześnie, po siedmiu i pół miesiąca.

Roan i Prudence powitali na świecie swojego pierwszego syna kilka miesięcy później.

Drake Matheson, duży i silny chłopiec, stał się dla ojca pępkiem świata. Prudence pragnęła jednak, żeby zobaczyły go jej siostry. Jako że chłopiec był za mały na taką podróż, Roan i George sprowadzili wszystkich Cabotów do Ameryki, by poznali najmłodszego członka rodziny.

Roan i George nawiązali współpracę handlową. Mathesonowie skupowali bawełnę i wysyłali do Anglii na statkach George'a. George posiadał już dwie pełnomorskie jednostki i układ obu rodzinom zaczął przynosić bardzo duże zyski. Mathesonowie stali się jeszcze zamożniejsi, a Roan i Prudence rozpoczęli budowę nowego domu. Mieli nadzieję na liczną rodziną.

Wkrótce Honor z George'em, Grace oraz Augustine i Monica przybyli do Nowego Jorku. Brakowało Merrytona, który został w domu z najmłodszym dzieckiem, oraz Mercy, która nadal przebywała we Włoszech.

- Mam wrażenie, że już tam zostanie - skomentowała jej nieobecność Honor.

- Naprawdę? - zdziwiła się Prudence.

- Mam wrażenie, że ma kochanka - dodała Grace i zachichotała.

Tego wieczoru, przy kolacji, Grace zrelacjonowała wszystko, co Mercy napisała

w kilku listach do domu. Czekał ją jeszcze rok studiów, a ostatnio udało się jej sprzedać obraz za niewielką sumę. Mercy była szczęśliwa, że jej własne dzieło będzie zdobiło prawdziwy włoski dom.

- To niewiarygodne - przyznała z dumą Prudence.

George przyjrzał się trzem najstarszym siostram.

- Dziewczyny Cabotów zawsze dopną swego - zauważył ze śmiechem.

Wśród tej całej radości nie zabrakło też dla Prudence przykrych wieści. Jej matka zmarła minionej zimy. Mimo smutku poczuła także pewną ulgę. Przed wyruszeniem do Ameryki odwiedziła matkę i napotkała jej pusty wzrok. Dusza lady Beckington dawno już opuściła jej ciało. Honor przyznała, że pod koniec życia przestała już nawet rozpoznawać Hannah.

Honor przywiozła też wieści o Stanhopie, o czym wspomniała pewnego dnia podczas wspólnej przechadzki.

- Słyszałam, że jego sytuacja jest bardzo zła - zwierzyła się siostrze. - Podobno majątek nie przynosi mu zysków, a jego długi rokrocznie wzrastają.

- To okropne - odrzekła Prudence. - Mam szczęście, że koniec końców, nie przyjęłam jego propozycji.

- Może zamiast czyhać na bogate debutantki, powinien znaleźć sobie jakieś zajęcie - zauważył Roan, kiedy mu o wszystkim opowiedziała. Prudence zachichotała.

- Co takiego?

- Angielscy lordowie nie miewają zajęcia. W tym tkwi szkopuł.

- Widzisz, to właśnie jest problem całej arystokracji.

Cabotowie zwiedzili podczas wizyty cały Nowy Jork i uznali jednogłośnie, że jest mniejszy, niż im się zdawało, ale na swój sposób czarujący.

Kiedy nadszedł czas powrotu do Anglii, Prudence i jej siostry wypłakały morze łez, podczas gdy Roan i George stali przy nich, czując się niezręcznie, i bezskutecznie próbowali je wszystkie pocieszać.

Augustine i Monica wykorzystali przedłużające się pożegnania, żeby jeszcze raz przejść się alejkami ogrodu Mathesonów.

Ten wieczór Roan i Prudence spędzili razem w domu przy Broadway Street. Drake spał w kołysce, jego niania przy nim, a małżonkowie w ciszy jedli kolację. Kiedy posiłek dobiegł końca, a służba posprzątała i udała się na spoczynek, Roan sięgnął przez stół i pogłaskał Prudence po policzku.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Prudence tęskniła za rodziną, ale wiedziała, że nareszcie jest na swoim miejscu. Nie mogła uwierzyć, że kiedyś obawiała się małżeńskiej rutyny. Jak na razie nie brakowało jej przygód.

- Wiem, że za nimi tęsknisz.

- Okropnie - przyznała.

- Żałujesz?

- Czy żałuję? - Prudence wstała i podeszła do Roana. Usiadła mu na kolanie. - Niczego nie żałuję, kochany. I nie będę żałować. Moje miejsce jest przy tobie.

Roześmiał się, kiedy kolanem przywarła do niego i rozpalonym wzrokiem spojrzała mu w oczy.

- Pani Matheson, pani jest rozpustnicą!

Objęła go za szyję.

- Ty mnie nią uczyniłeś, łajdaku.

- Ostrzegałem cię, ale oczywiście mnie nie posłuchałaś.

Prudence wspomniała tę krótką chwilę w Ashton Down, kiedy postanowiła za nim pójść. Nie mogła się nadziwić, jak taka porządna dziewczyna mogła w jednej chwili porzucić wszystko, co знаła i ceniła. Być może tak długo już stała w miejscu, że kiedy się ruszyła, wszystko musiało nastąpić błyskawicznie.

Pocałowała go w kącik ust.

- Znacznie lepiej poczuję się po kąpieli - szepnęła. - Umyjesz mi włosy?

Roan uśmiechnął się i ugryzł ją w dolną wargę.

- A pozwolisz mi się wykąpać z tobą?

Przesunęła rękę w dół jego torsu.

- A będę mogła położyć stopę tam, gdzie zechcę?

Wziął jej pierś w dłoń.

- A ja będę mógł pocałować, co tylko zechcę?

- Nalegam, panie Matheson.

- A jednak jesteś rozpustnicą... Jakże ja cię kocham!

- Więc okaż mi to, łajdaku.

Roan spełnił jej życzenie, a miesiąc później Prudence wyznała, że spodziewa się drugiego dziecka.

Tytuł oryginału: The Scoundrel and the Debutante  
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2015  
Redaktor serii: Dominik Osuch  
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch  
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2015 by Dinah Dinwiddie  
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.  
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.  
Harlequin i Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.  
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.  
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-276-3050-6

Konwersja do formatu MOBI:  
Legimi Sp. z o.o.

# Spis treści

Strona tytułowa  
Rozdział pierwszy  
Rozdział drugi  
Rozdział trzeci  
Rozdział czwarty  
Rozdział piąty  
Rozdział szósty  
Rozdział siódmy  
Rozdział ósmy  
Rozdział dziewiąty  
Rozdział dziesiąty  
Rozdział jedenasty  
Rozdział dwunasty  
Rozdział trzynasty  
Rozdział czternasty  
Rozdział piętnasty  
Rozdział szesnasty  
Rozdział siedemnasty  
Rozdział osiemnasty  
Rozdział dziewiętnasty  
Rozdział dwudziesty  
Epilog  
Strona redakcyjna